



***Alix Girod de l'Ain***



***Po nie swoich  
stronach łózka***

# 1

## Styczeń

*Jak na Nowy Rok leje, to źle się dzieje.*

mądrość ludowa

Wrrruuum, wrrruuum. Grot wiertarki udarowej wdarł się do lewego ucha Ariany Mar-siac. Otworzyła oczy. Zegar na pilocie kablówki wskazywał dziewiątą dwanaście. Niech to cholera, musiała znowu zasnąć. Przypominała sobie jak przez mgłę, że w niedalekiej przeszłości poruszała palcami, zaplatając długie włosy swojej córki Luizy. Potem, jak co czwartek, Hugo zawiózł dzieci do szkoły. Chyba wtedy, kiedy słyszała ruszające z podjazdu audi, popełniła błąd, przykładając na chwilę głowę do poduszki „Sen Nimfy”, gorąco zachwalanej przez Pierre'a Bellemare'a w TF1 pół roku wcześniej. Przez moment podejrzewała, że pracownicy „Telezakupów” nasączyli gęsi puch molekułami psychotropowymi; wiadomo, że narkomani to wierni klienci.

Czuła się winna, okropnie winna. Na pewno w całym Le Vésinet ona obudziła się ostatnia. Pomyślała o setkach domów, gdzie energiczne kobiety dopijają już drugą kawę, a wcześniej zdążyły odbyć poranne rozmowy przez telefon, posprzątać po śniadaniu, sprawdzić dwa razy rozkłady zajęć swoich dzieci i położyć w przedpokoju stertę spodni, które trzeba oddać do pralni. Tymczasem ona, bezwolna, leży płackiem w łóżku, ze śladem prześcieradła odcisniętym na policzku: nie ma nawet pewności, czy wsunęła synowi do tornistra strój na WF. Jest... żal-sna.

Na dodatek spóźniona. Hałas wiertarki wskazywał na obecność robotników pracujących na parterze. Ariana miała świadomość, że trafia jej się wyjątkowa okazja. Przez trzy miesiące zdążyła sobie przyswoić podstawowe reguły, którym podlegają wszystkie remonty domowe:

1. Podobnie jak podwyżek cen ropy, bliźniaczych cięż albo powrotów spółnicospodni na łamy żurnali, nie ma co spodziewać się rzemieślników wtedy, kiedy człowiek ich oczekuje.

2. Jeżeli, wyjątkowo, stawia się w umówionym dniu, pracują od siódmej trzydzieści do dziewiętej dwadzieścia pięć. Potem robią przerwę, a potem przekąszają. Potem się kłóć, bo elektryk nie „podciągnął” jeszcze przewodów, co „absolutnie” rozwała murarzowi harmonogram. Potem godzą się i praca wrę od czternastej dwadzieścia dwie do piętnastej zero siedem. Potem dzwoni komórka: jakaś klientka - inwalidka obarczona półtuzinem dzieci - na gwałt potrzebuje kosztorysu, więc wszyscy wychodzą.

Jeśli Ariana chce ich dopaść, musi to zrobić od razu.

Zniosła bez protestów czule powitanie poranne Markiza, zwierzęcia przypominającego do pewnego stopnia mieszańca pudła z jamnikiem, które znalazła dziesięć lat wcześniej przywiązane u stóp dzieła sztuki w stylu Jeana Claude'a Decaux\*, skąd też wzięło się jego imię. Ile lat mógł mieć ten przedstawiciel wielkiej rodziny psów, o kuriozalnym wyglądzie rozdeptanej kanapki? Sądząc po niedającym się usunąć kamieniu nazębnym, który zatruwał mu oddech - sto piętnaście. Zdaniem weterynarza - mniej. Tak czy owak, Markiz był stworzeniem subtelnym i wrażliwym, zwłaszcza jeżeli chodzi o jego żołądek. Wydając z siebie odgłosy wścieklej kanonady, przeciągnął się i opuścił łóżko w ślad za swoją panią.

\* Rzeźbiarz i architekt, projektował m.in. stylowe markizy

Ariana wciągnęła przez głowę wełnianą sukienkę w kolorze śliwkowym, ozdobioną na ramieniu czymś w rodzaju kapusty.

Był to strój bosko nowoburżujski, utrzymany w duchu postmodernistycznym Marie France Garaud, doskonale nadający się na spotkania, które czekały Ariane po południu.

Lekki makijaż - odrobina podkładu u nasady nosa i na podbródku, tusz typu stretching na końce rzęs, morelowy błyszczek na usta, muśnięcie różem morelowo-brzoskwiniowym pod kośćmi policzkowymi, przeciągnięcie szczotką po włosach farbowanych férią w odcieniu „ukraińska pszenica” z pasemkami régécolor „radosna wiewiórka” - genialny wynalazek fryzjerki Régine, mistrzyni w uzyskiwaniu supermodnego blond yorkshire, szpiczaste buty na obcasach firmy Zara - podróbki Manola Blahnika, które mogłaby rozpoznać jedynie dyrektorka artystyczna „Vogue'a”, ale, Bogu dzięki, nie zaliczała się ona do klientek Ariany - i gotowe. Do roboty, Simono (Veil, ma się rozumieć).

Na dole czekała śmierć z kosą, sześć wcieleń śmierci w roboczych drelichach. Chociaż Arianie wcale nie było do śmiechu, na widok szpaleru honorowego zanuciła piosenkę o tych,

co stawili się w komplecie, bo *la mamma* jest umierająca. Zaniepokojony Markiz przywarował u jej stóp, schował długi pysk między przednie łapy i zaczął skowyczeć.

W ten ciemny poranek styczniowy ani pan Dilabault - kierownik budowy, ani pan Pedro - hydraulik, ani pan Bouchikrian - malarz, któremu zawsze towarzyszyło dwóch milczących uczniów, ani pan Nervo - elektryk, nie tryskali radością. Co było powodem ich konsternacji? Nieobecność pana Gonçálva - murarza. Jak się można domyślać, to „absolutnie” rozwalalo plan remontu. Była zaledwie dziewiąta dwadzieścia siedem. Jak na nich, to wcześniej dziś skończyli - pomyślała Ariana. Hydraulik wziął w obronę swojego rodaka, wyjaśniając z okolicznościową miną, że tamtemu „żnowu ktosz umarł sz jego matki”. (Przez dwadzieścia lat harówki na francuskiej ziemi pan Pedro nie zdołał się pozbyć uporczywego akcentu lizbońskiego). Pan Dilabault przerwał mu oschle jednym z kłopotliwych przysłów, którymi szpikował każdą wypowiedź jak kaczkę śrutem: „Niemożliwości od nikogo nie wymagają”. Nikt nie podejrzewał o miganie się od roboty Gonçálva, pracowitego i uczciwego rzemieślnika, nieszczęsnej ofiary rodzinnej epidemii. „Tak czy owak, trzynaście zgonów od początku remontu” - pomyślała Ariana. Kłopot w tym, że jego nieobecność blokuje resztę ekipy, co jeszcze bardziej oddala termin zakończenia remontu.

- Nieszczęścia chodzą zawsze parami, prawda, proszę pani?

Boże, ależ ten kierownik budowy jest irytujący! Tamtego ranka Ariana zapragnęła mu się odgryźć. Też znała co niemiara przysłów.

- Oczywiście, ale każdy kij ma dwa końce.

- O co pani chodzi?

- Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie. A gdyby tak znaleźć zastępstwo na czas, kiedy pan Gonçálvo będzie oplakiwał bliską mu osobę?

- Niestety, nie znam nikogo godnego zaufania, kto byłby akurat wolny. Krowa, która dużo ryczy, mało mleka daje, proszę pani.

- Ciii, dla chcącego nic trudnego!

- Niestety, każdy orze, jak może, wiem coś o tym. Kto raz się sparzył, ten na zimne dmucha.

W porządku, dwa do jednego, ale ona jeszcze nie powiedziała ostatniego słowa.

- Może weźmiemy jakiegoś ucznia. Zostaje się kowalem, kując.

Cisza.

- Kto nie ryzykuje, ten nie wygrywa! - krzyknęła. Kierownik budowy uniósł się dumą.

- Ostrożność jest matką bezpieczeństwa!
- Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą, prawda?
- Nie mów hop, dopóki nie przeskoczysz.

Dobry jest, skurczybyk. Ariana poczuła, że przegrywa. Postawiła na patos.

- Każda potwora znajdzie swego amatora. Dilabault znokautował ją z szatańskim uśmiechem.

- Spiesz się powoli.

Przyznając się do porażki, młoda kobieta wyjąkała: - Niech pan coś wymyśli. Czego chce kobieta, tego i Bóg chce. Mężczyzna potrząsnął głową i powiedział, że musi już iść, bo niepełnosprawna klientka, obarczona szóstką dzieci, na gwałt potrzebuje kosztorysu robót malarskich. Kiedy mówili sobie do widzenia, jedna ze stron z westchnieniem stwierdziła, że nie można się martwić o wszystko naraz, a po deszczu pogoda i po kłótni zgoda.

Poprawa pogody nie była jednak przewidziana na tamten dzień. Ariana długo otrzępywała się z pyłu, żeby deszcz nie zamienił jej prochowca w stylu działaczki RPF\* w gipsowy futerał - lepiej nie wyglądać jak mumia młodej zwolenniczki Giscarda d'Estaing. Wyszła z domu z Markizem. Nie czekał jej ciężki dzień, raczej taki jak zwykle:

\* Rassemblement du Peuple Français (Zgromadzenie Ludu Francuskiego) - utworzone w 1947 roku przez generała Charles'a de Gaulle'a ugrupowanie, które odegrało ważną rolę polityczną w IV Republice (wszystkie przypisy tłumaczkii).

*Dziewiąta czterdzieści siedem: odebrać z pralni różne rzeczy. Przepraszać, tłumaczyć się, błagać (zgubiony kwit).*

*Dziewiąta pięćdziesiąt trzy: zadzwonić do ortodonta Hektora. Umówić się na wizytę, o ile to możliwe, przed czerwcem 2003 roku. Wyjaśniać. Błagać.*

*Dziesiąta zero cztery: Auchan, kupić żarcie. Nie zapomnieć, że od ubiegłego tygodnia Luiza jada tylko płatki śniadaniowe „Chocapic”, Hektor - „Cheerios”, a Hugo - „Special K”.*

*Dziesiąta czterdzieści dwie: wpaść do weterynarza i spytać, czy jest jeszcze jakiś środek, który pozwoliłby usunąć okropny zapach z psiego pyska. Błagać.*

*Dziesiąta pięćdziesiąt siedem: przygotować południowy posiłek dla dzieci.*

*Jedenasta zero dwie: odebrać telefon pod tytułem „mama dzwoni o jedenastej zero dwie”. Na polecenie, żeby natychmiast sprawdzić godziny odjazdu pociągów na zimowisko w końcu lutego, odpowiedzieć, że wyjazd jest planowany dopiero za osiem tygodni, więc nie ma powodu, żeby się tym zajmować teraz.*



*Jedenasta dwadzieścia jeden: wyruszyć do szkoły po dzieci. Dobrze policzyć, we czwartki jest ich siedmioro, tak wynika z grafiku dyżurów ministrolówki zorganizowanej wraz z innymi matkami w trosce o lepszy rozwój potomstwa z dala od głośnych stołówek, które może zaoferować Ministerstwo Oświaty. Szkoda, że inne matki tak często opuszczają „swoje dni”, bo daje to nieprzemijające uczucie, że ich kolej przypadnie na święty nigdy (nie zapomnieć spytać pana Dilabaulta, co dokładnie znaczy to wyrażenie).*

*Jedenasta trzydzieści - dwunasta czterdzieści pięć: pilnować hordy bachorów w remon-  
towanym domu. Hałas, szaleństwo. Zmywarka zatkana makaronem z sosem pomidorowym.  
Druciak do szorowania garnków wyrwany osobnikowi lat osiem, który usiłował sprawdzić jego  
skuteczność na głowie młodszej siostry.*

*Dwunasta czterdzieści pięć: odstawić z powrotem smarkaczy do szkoły. Ulga na widok  
zamykającej się bramy i poczucie winy, że jest się wyrodną matką.*

*Trzynasta zero siedem: dotrzeć do pracy. Lekki obiad (wiejski chleb ze smalcem i ze  
skwarkami) w pobliskim bistrze w towarzystwie Zofii, najlepszej przyjaciółki i współpracownicy w  
interesach. Poczucie winy z powodu zamówienia: „wiejski chleb ze smalcem i ze skwarkami”,  
zamiast „tylko sałatka, dziękuję”. Mimo wszystko pośmiać się z koleżanką, która zamówiła ta-  
lerz buraków. Spóźnione poczucie winy na myśl o dławiącym lęku w obecności dzieci godzinę  
wcześniej.*

*Czternasta zero zero: kierat pracy. Wyruszyć na umówione spotkania. Sprzedawać w  
domach klientek sztuczną biżuterię zaprojektowaną przez Zofię. Dyskusje. Przymiarki. Przeko-  
nywać. Zaprzeczać: „Ale skąd! W perłach wcale nie wygląda pani jak Margaret Thatcher”.  
Stanowczo odmawiać negocjowania cen. Albo opuszczać tylko dziesięć procent.*

*Dziewiętnasta: powrót do domu. Zirytować się, stwierdziwszy, że w ciągu czterech godzin  
opiekująca się dziećmi dziewczyna z Chorwacji nie wpadła na pomysł, żeby je wykąpać.*

*Dziewiętnasta zero dwie: wyprowadzić psa na spacer. Zirytować się na widok rozplasz-  
czonego i drżącego zwierzęcia, które odmawia zrobienia siusiu na deszczu.*

*Dziewiętnasta zero sześć: przypilnować syna lat osiem przy odrabianiu lekcji. Zirytować  
się, stwierdziwszy, że mimo wielotygodniowych wysiłków obu stron nie opanował mnożenia  
przez siedem.*

*Dziewiętnasta osiemnaście: zrobić z córką pachnące świeczki pływające, zgodnie z ame-  
rykańską teorią „quality time” - w przypadku dzieci nie liczy się długość spędzanego z nimi*

czasu, ale jego jakością. Zirytować się, bo córka znów wylała stopiony wosk na obrus - imitację Paula Smitha. Gwałtowny gest. Poczucie winy.

*Dziewiętnasta trzydzieści osiem: podczas kąpieli dzieci zastanowić się nad menu kolacji. Wydostać z lodówki minikabaczki zaklinowane za pomarańczami na sok.*

*Dziewiętnasta czterdzieści dwie: chlapanie wodą. Wrzaski. „Hektorze, przestań się drażnić z siostrą. Co z tego, że masz siusiaka, skoro wciąż nie pamiętasz, ile jest osiem razy siedem? Czego nie rozumiesz? Wystarczy, wychodźcie już z wanny”. Irytować się, irytować i jeszcze raz irytować.*

*Dziewiętnasta czterdzieści dwie: nakryć dzieciom do kolacji. Wrzucić makaron do garnka z wrzącą wodą.*

*Dziewiętnasta pięćdziesiąt osiem: makaron gotowy.*

*Dziewiętnasta pięćdziesiąt dziewięć: powrót bohatera.*

Zanim Ariana usłyszała koła samochodu toczące się po żwirze, już wiedziała, że wraca jej mąż. Szósty zmysł zakochanej kobiety, równie wyostrzony po dziesięciu latach małżeństwa? Być może. Ale przede wszystkim nos Markiza. Przez czterdzieści dwie sekundy, zanim otworzyły się drzwi wejściowe, zwierzę, jak mała kałuża nienawiści, leżało w przedpokoju, z obnażonymi kłami, gotowe skoczyć do podbrzusza intruza. Markiz od początku nie cierpiał Hugona i nie bez powodu: kilka tygodni po przygarnięciu psa Ariana przyjęła również jego pana - nader niezręczne posunięcie w kwestii dominacji terytorialnej. Co gorsza, zdaniem psich psychologów, występujących w programach telewizyjnych dla gospodyń domowych, wywołało to u Markiza klasyczny syndrom przywódcy stada.

Od dziesięciu lat Markiz uważał się za samca dominującego w domu i usiłował wyrzucić z niego Hugona, znieważając go na różne sposoby, takie jak gwałtowna masturbacja, przy obcych, na jego łydce albo ataki czołowe. Krótkie łapy nie pozwalały psu na przegryzienie tętnicy szyjnej rywala, stał się więc mistrzem w podstępnych próbach kastracji. Dobroduszny Hugo zbytnio nie protestował przeciwko tym zaskakującym zachowaniom, wiedząc, że czas pracuje na jego korzyść. Z wiekiem kły Markiza mocno już się starły i nie przedstawiały żadnego zagrożenia, a biorąc pod uwagę statystyki, to, co najlepsze, czyli wzruszająca uroczystość pochówku tego wiernego towarzysza człowieka, było już blisko.

Ariana powitała wchodzącego do salonu męża cichym pomrukiem; było to coś w rodzaju westchnienia, jaki wydają z siebie dziewczyny, kiedy na skali wagi widzą liczbę zaczynającą się od piątki. Hugo Marsiac, wysoki, o siwiejących włosach, gładkiej cerze, słowiańskich ko-

ściach policzkowych, jasnym spojrzeniu... „Wysłałam za najprzystojniejszego faceta w całym zachodnim Le Vésinet. W każdym razie od avenue Michel Droit do rue Pierre Messmer żaden nie jest tak przystojny jak on. Z wyjątkiem, być może, reumatologa z rue Pages, ale ten się nie liczy, bo woli chłopców” - pomyślała. Kiedy poznała Hugona, mógł ze swoim szerokim torsem pozować do reklam, na których facet, spryskując się nonszalancko dezodorantem od ramienia do pachy, wytwarza coś w rodzaju tarczy z mrugającym napisem: „Maksimum świeżości przez czterdzieści osiem godzin”. Teraz, chociaż widziałyby go raczej jako budzącego zaufanie czterdziestolatka w reklamie napędzanych elektrycznie żaluzji, pozostał jednym z tych mężczyzn, na których widok kobiety zaczynają mówić głosem o oktawę wyższym. Był absolutnym uosobieniem męskości. Nie tej wyzywającej, krzykliwej, ociekającej testosteronem, ale łagodnej, otulającej, kojącej. Była dumna, że jest jego żoną: nie pyszniła się tym, po prostu cieszyła się, choć i lekko dziwiła, że wybrał właśnie ją.

Dodatkowa godzina snu dobrze wpłynęła na humor Ariany. Widząc dzieci skaczące wokół ojca, który czubkiem buta delikatnie odtrącał zapędy kopulacyjne Markiza, poczuła, jak zalewa ją fala obezwładniającej radości. Zapomniała o znużeniu, które ogarniało ją w ostatnich tygodniach, prawie miała ochotę być miłą dla męża. A to już było coś. Każdy wie, że dziesięć lat po ślubie, kiedy małżonkowie spotykają się wieczorem w domu, ich ulubionym zajęciem jest mówienie sobie rzeczy niemiłych. Tym razem było na odwrót. Posypując świeżo utartym parmezanem makaron z cukinią, Ariana Marsiac, rozmarzona, przyłapała się nawet kilka razy na stwierdzeniu, że jako szczęśliwa mężatka nie ma czego zazdrościć, kiedy słucha najbardziej wzruszających zwierzeń w programie typu „talk-show” *Dzień po dniu*, wydanie „dla zakochanych”.

Niestety, Hugo zepsuł tę chwilę szczęścia rodzinnego jednym zdaniem. Spłukując talerz, który miał wstawić do zmywarki, powiedział:

- Dzisiaj rano, kiedy już odjeżdżałem, zobaczyłem, że przyszli robotnicy. Posunęli się trochę z remontem?

Nad przyszłym salonem z kuchnią w stylu amerykańskim zawisły wielkie, czarne chmury.

Każdy, kto robił u siebie w domu remont, już to wie. Pytanie: „Co z remontem?”, tak samo jak: „Podoba ci się chemioterapia?”, jest gorsze od gafy, bo dowodzi złego smaku. Dziwne, że na słynnej skali stresu, opracowanej przez psychiatrów, remont nie sąsiaduje z utratą pracy albo współmałżonka. Nie tylko, jak się przekonamy, w licznych przypadkach po-



ciąga za sobą jedno i drugie, ale też u osoby, która ma za zadanie czuwać nad jego przebiegiem, zawsze wywołuje burzę sprzecznych uczuć: nadzieję (hydraulik wreszcie znalazł termę o wymiarach wnętrza zbudowanej przez stolarza trzy miesiące wcześniej), zawód (okazuje się, że wymiary są podane w calach, a nie w centymetrach), radość (blat kuchenny z łupku jest naprawdę ładny), smutek (szkoda, że znajdujące się pod nim szafki nie wytrzymały ciężaru). W końcu czujesz się sterana i stać cię tylko - wcale nie przesadzam - na wątpliwości egzystencjalne: czy jestem głupia, czy też inni biorą mnie za kretynkę? Ten stan lękowy, który jeszcze nie został opisany w psychiatrii, ulega zwielokrotnieniu, kiedy zleceniodawcy remontu przeżywają go na miejscu. Było tak, jak już wiecie, w przypadku naszych bohaterów. W rezultacie tamtego czwartkowego wieczoru w styczniu, przy rue du Gai-Pinson dwanaście w Le Vésinet, departament Yvelines, doszło do wyjątkowo gwałtownej sceny, którą dałoby się jedynie wytłumaczyć silnymi wstrząsami, jakich doznała psychika Ariany Marsiac.

Mimo pozornej beztroski młoda kobieta gonila resztką sił. Po tygodniach udawania jej nerwy przypominały gumki do włosów, które przeleżały się pół roku w suszarce na bieliznę. Nie można się skarżyć, skoro ma się środki na przebudowę takiego sobie domku i przerobienie go w obiekt nadający się na okładkę pisma o dekoracji wnętrza. Jak tu przeklinać swój los, skoro kierownik robót, który ma papier firmowy z nagłówkiem: „Medal Pracy w 1996 roku”, w ogóle raczył spojrzeć na wasz projekt przebudowy wnętrza domu.

Nie ma co się wściekać, skoro pracując w niepełnym wymiarze godzin, chce się śledzić na bieżąco, jak postępuje remont. Trudno wykrzyzczyć swoje lęki, skoro twój mąż jest zupełnie spokojny, że doprowadzisz remont do końca, a dzieci podskakują z radości na myśl, że wreszcie każde będzie miało swój pokój. Nie można jęczeć, skoro ma się świadomość przynależności do tej najcieńszej warstwy społeczeństwa, której się powiodło pod względem uczuciowym, rodzinnym, towarzyskim, zawodowym i finansowym. Nie można czuć się nieszczęśliwą, skoro jest się szczęśliwą. Nawet na zdrowie Ariana nie mogła narzekać, co, rzecz dziwna, dodatkowo ją przygnębiało. Na jej usprawiedliwienie powiedzmy, że urodziła się pod znakiem Raka, a przy takiej konfiguracji astralnej źle się znosi remont; każdy student astrologii na Sorbonie wie, że te stawonogi zaczynają się złościć i kłapać szczypcami, jeżeli ich potrzeba komfortu nie jest zaspokojona.

Kiedy jej małżonek, Strzelec - zero wrażliwości na wystrój wnętrza - spytał, jak postępuje remont, poczuła nagle, że ma ochotę kogoś zamordować, ale opanowała się i odpowiedziała: „Obawiam się, że postępy są niewielkie”. Kiedy spytał: „Nie rozmawiałaś o tym z Dilabaul-

tem?", pomyślała, że z przyjemnością zamordowałyby kogoś, ale chyba całkiem to by jej nie uspokoiło. Uśmiechając się, wyszeptła: „To z powodu Gonçalva. Nie przychodzi, bo jego babcia znów zmarła na gripę”. Kiedy Hugo powiedział: „On sobie z nas kpi, mamy już trzy tygodnie spóźnienia, trzeba koniecznie wziąć kogoś innego, chyba można znaleźć jakiegoś murarza”, zobaczyła, dość wyraźnie, nóż wycinający plastry mięsa w czyimś udzie, ale tylko westchnęła: „Dilabault mówi, że wszyscy są akurat zajęci, a pokorne cielę dwie matki ssie. Tymczasem możemy, w ramach zaliczki na dalsze prace, wypisać mu czek na dwa i pół tysiąca euro brutto”.

Hugo popełnił wtedy błąd, bo przechylił głowę do tyłu. Jabłko Adama trzy razy wyskoczyło i znikło nad kołnierzykiem koszuli. Ach, ach, ach! Ariana Marsiac zrozumiała, że ma ochotę zakatrupić nikogo innego, tylko własnego męża, mężczyznę, którego kocha nad życie.

Oniemiała ze zdziwienia i zimnym jak stal głosem powiedziała, że pora zabrać dzieci na górę i położyć spać. Czytanie bajek, mycie zębów, drapanie po plecach zajęły im jak zwykle około kwadransa. Schodząc na dół, Hugo wziął żonę za rękę i obszedł z nią plac budowy, żeby „wspólnie ustalić, jak się sprawy mają”. Otóż remont zbytnio się nie posunął. Wszędzie pył, kupki gruzu, worki z gipsem, powalane farbą narzędzia, tu i ówdzie dziury, z których wystawały przewody, przypominające zagony porów po przymrozkach. Hugo pokazał żonie, milczącej i lodowatej, przewody elektryczne zwisające nad schodami.

- Jutro spróbuj chociaż porozmawiać z elektrykiem...

Głos przypominający brzmieniem automatyczną sekretarkę odpowiedział:

- Jak przyjdzie, to z nim rozmawiam.

- Musisz wykazać więcej inicjatywy, jeżeli chcesz z nim porozmawiać. Haruję jak wół, dobrze wiesz, że się nie rozdwoję. Kiedy wreszcie zdecydujesz się walnąć pięścią w stół?

Boksyerski hak, który wylądował na słowiańskich kościach policzkowych Hugona wraz z okrzykiem: „Masz, palancie!”, jasno wykazał, że, po pierwsze, Ariana postanowiła od tej chwili walić pięścią, a po drugie - u Marsiaców zanosilo się na okres silnych turbulencji.

Hugo zaparkował swoje audi w miejscu oznaczonym: „Totalwynajem Dyrekcja”. Czuł się mniej więcej tak znużony jak anemiczne topole, posadzone w regularnych odstępach na parkingu. O wczesnej porze część przemysłowa centrum rzemieślniczo-handlowego, prawie pusta, wydawała się równie gościnna jak równina afgańska. Schował panel radia w bocznym schowku, zakrył GPS i wysiadł z samochodu, masując obolałe policzki. Zdecydował się odłożyć na później rozmowę z żoną, nie do uniknięcia po wczorajszym wieczorze.

Naprzeciw niego wznosiła się majestatyczna sylweta budowli z prefabrykatów, poprzecinanej w poprzek napisami: Wynajem sprzętu zmechanizowanego", „Promocja mechanicznych ładowarek", „Maszyny budowlane", „Australijskie samoładowacze". Budynek był podzielony na dwie równe części przez wymalowany na nim gigantyczny dźwig w kształcie wielkiej litery „J". Po lewej królował napis: „Wejście dla klientów", po prawej tablica z lapidarną informacją: „Biuro", i umieszczoną pod spodem drugą, przeznaczoną dla nierozgarniętych, wypisaną małymi literami: „Obcym wstęp wzbroniony".

Hugo spojrział zamyślony na fasadę i po raz kolejny zdziwił się, że serce już mu nie pika z dumy na widok własnego dziecka. Pomyśleć, że kilka miesięcy wcześniej z przyspieszonym tętnem wypatrywał każdego ranka krwistoczerwonych liter szyldu, dobrze widocznego od zjazdu z autostrady! Totalwynajem w Bachelay, departament Yvelines, był jego dzieckiem, tłustym bobasem z blachy falistej, symbolem firmy, którą można prawie nazwać grupą przemysłową!

W ciągu piętnastu lat jego dzidzius wyrósł i wypiękniał, stał się grubawym nastolatkiem; w zeszłym roku zysk spółki z o.o. „Totalwynajem Unlimited" wyniósł sześćset trzydzieści cztery tysiące sześćset siedemdziesiąt osiem euro. Dziecię to bowiem nie pozostało długo jedynakiem: na fali sukcesu Hugo mógł otworzyć jeden, dwa, trzy punkty wynajmu, rozrzucone po departamencie Yvelines.

Wynajem maszyn budowlanych okazał się dobrym interesem: podczas recesji przedsiębiorstwa nie chciały ich kupować i ustawiały się w kolejce do wynajmu, a kiedy sytuacja ekonomiczna się poprawiała, mnożyły się place budów, co również zwiększało popyt. Osoby prywatne, rzemieślnicy, przemysłowcy z całego departamentu spotykali się pod purpurowym dźwigiem zdobiącym logo Totalwynajmu! Ale tego nieprzyjemnego zimowego poranka Hugo nie był w odpowiednim nastroju, żeby cieszyć się z sukcesów zawodowych. Z ponurą miną skierował się do drzwi po prawej stronie budynku.

W holu powitał go słodki głos sekretarki i recepcjonistki w jednej osobie.

- Dzień dobry. Och, co się panu stało w policzek?

- A ja panią o coś pytam, Miss Universum?

W Totalwynajmie wszyscy wiedzieli, że szef ma poczucie humoru.

Parsknęła śmiechem, zakrywając usta wierzchem dłoni jak licealistka, której niedawno założono aparat ortodontyczny.

Jak we wszystkie dni robocze od kwietnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku, Adolf Nicard był już w firmie, z palcem na przycisku „duża z cukrem” automatu stojącego w holu. W ciągu piętnastu lat współpracy Hugonowi ani razu nie udało się przyjść przed Nicardem. Również ani razu nie udało mu się zobaczyć, jak wybiera coś innego niż „duża z cukrem”. Czasami myślał, że pewnego pięknego ranka Nicard naciśnie „espresso bez cukru”, „herbatę z mlekiem” albo nawet, w przyпіływie niesłychanej odwagi, „zupę pomidorową”, ale nie, lewa ręka jego „prawej ręki” nie pozwoliłaby sobie, nawet na jedną chwilę słabości.

Hugona o mało nie zemdlilo na widok garnituru z brązowej wełny w połączeniu z trykotowym krawatem w kolorze zupy z homarów, przywitał się jednak tak jak zwykle: „Ależ jesteś elegancki, Adolfie. Znow umówiłeś się na lunch z jakąś ślicznotką?” Nicard prawdopodobnie nie jadł nigdy południowego posiłku z inną kobietą niż kostyczna Antonina, która była jego żoną od czterdziestu dwóch lat, ale ten dowcip należał do porannego rytuału, więc przytaknął, mrużąc oczy krótkowidza. Nic nie powiedział na temat policzka Hugona, a ten docenił jego dyskrecję.

W życiu Hugona Marsiaca Nicard był kimś w rodzaju Dzwoneczka. Niewątpliwie ten specjalista od zakrojonego na szeroką skalę wynajmu był łysy, miał ponad sześćdziesiąt lat i kłopoty z prostatą, na pewno też zbierał punkty, jakie dają wiernym klientom w C&A Messieurs, mimo to do złudzenia przypominał dobrego skrzydlatego elfa.

Kiedy Hugo założył firmę, odbył spotkania z tłumem energicznych, obytych i wyluzowanych menedżerów z dyplomami, którzy absolutnie go do siebie zniechęcali, i w rezultacie nie zatrudnił żadnego z nich. Wreszcie któregoś dnia wszedł do jego gabinetu mężczyzna niskiego wzrostu, mogący się jedynie poszczycić kursami prowadzonymi przez francuskiego lidera w podnoszeniu kwalifikacji zawodowych. Z przekrzywionym tupecikiem i w trykotowym krawacie, wsuniętym za pasek spodni, wyglądał jak z serialu z lat siedemdziesiątych. Młody przedsiębiorca poczuł, że mięknie jak wosk.

Nawet przed piętnastu laty bezrobotny pięćdziesięciolatek miał takie widoki na przyszłość jak pit bull bez rodowodu, blakający się po placu zabaw na terenie przedszkola. Hugo dostrzegł jednak ukryte zalety swojego rozmówcy. Na początku życia napiętnowano go niełatwym do noszenia imieniem. Kiedy się urodził w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku, rodzice uznali za sprytne posunięcie oddać hołd młodemu, obiecującemu przywódcy państwa niemieckiego, zyskując jednocześnie pewność, że ich mały Adolf też będzie miał charyzmę i odwagę. Po pewnym czasie państwo Nicardowie przestali być wielkimi germanofilami i dalszy

ciąg kariery Adolfa H. traktowali jak osobistą obrazę, ale zło już się dokonało. W urzędzie stanu cywilnego zgodzono się jedynie na zmianę pisowni imienia z niemieckiej na francuską. Przez następne pół wieku Nicard na szczęście nie poszedł w ślady swojego słynnego poprzednika, choć też nigdy nie wycofywał się z raz obranej drogi. „Jako specjaliście od dźwigów z platformą samojezdną” - co podkreślił z całą prostotą, kiedy go przyjmowano do pracy - łatwiej było mu sięgać po coraz wyższe stanowiska podczas długiej już kariery zawodowej. Hugo sam za wiele nie studiował, uznał więc, że lepiej dać szansę komuś z doświadczeniem niż pozwolić, by pouczał go jakiś pajac, umiejący tylko wypluć z siebie papkę przyswojoną w renomowanej uczelni handlowej.

Przez piętnaście lat nie było dnia, żeby Hugo nie gratulował sobie, że tak szybko awansował Adolfa Nicarda na generalnego dyrektora firmy. Nicard nie cierpiał kobiet, był staroświecki i drobiazgowy, nie rozumiał żadnego dowcipu, który powstał już po śmierci Fernanda Raynauda\*, ale był również kompetentny, uczciwy i chytry jak lis, słowem - niezastąpiony. Rola wiceszefa najbardziej mu odpowiadała, Adolf nie zazdrościł niczego Hugonowi, za to był mu wdzięczny za drugą szansę, którą dostał po upokarzającym okresie bezrobocia, a poza tym nie czuł powołania na szefa przedsiębiorstwa. W wieku sześćdziesięciu siedmiu lat, mając na koncie sto dziewięćdziesiąt osiem przepracowanych kwartałów, mógł spokojnie przejść na emeryturę, ale ta oczywista, zdawałoby się, perspektywa doprowadzała go do śmiechu: odejść, on? Już? Nie miał dzieci ani kochanki, tylko małżonkę, która marzyła, żeby go od wieczora do rana gonić do prac ogrodowych i belotki, emerytura nie wchodziła więc w grę.

\* Aktor francuski (1926-1973), najbardziej znany z przedstawień typu *one man show*.

Zaskakujący tandem, jaki tworzyli Hugo i Nicard, uczynił z Totalwynajmu chlubę centrum rzemieślniczo-handlowego w miejscowości Bachelay, departament Yvelines. Dopiero potem zagnieździły się tu Auchan, Kiabi, Décathlon, But Hala, Eléphant Bleu, Soldorak i inne owiane już legendą firmy... Na ogólnym zgromadzeniu miejscowych kupców Hugo i Nicard zajmowali z godnością miejsca oznaczone pleksiglasowymi tabliczkami z napisami „przewodniczący” i „wiceprzewodniczący”. Żadnemu nowemu agentowi nie przyszłoby na myśl rozpocząć tu działalność, nie złożonywszy im wcześniej kurtuazyjnej wizyty. Żaden kierownik sprzedaży, mijając ich w automatycznych drzwiach centrum rzemieślniczo-handlowego, nie omieszkałby przepuścić ich, szepcząc: „Proszę bardzo”, z pełnym szacunku stuknięciem podkutymi obcasami. Nie doszukujcie się w moich słowach ironii: wprowadźcie Hugo Marsiac



pierwszy uśmiechnął się na wiadomość, że jest big bossem podmiejskiego CRH, ale jego sukces zawodowy nie mógł być powodem do kpin. Startując prawie od zera, wcale nie wylądował gorzej niż jego aroganccy koledzy z liceum imienia Jeana d'Ormesson w La Celle-Saint-Cloud.

Tamtych studia na prestiżowych uczelniach zapewniły ciepłe posadki w bankach, z pensjami w wysokości około siedemdziesięciu tysięcy euro rocznie, on zaś kierował własną firmą i zarabiał prawie dwa razy tyle. Pomyślał o nich, kiedy z Nicardem u boku wszedł do sali posiedzeń na pierwszym piętrze. Słuchając jednym uchem Benchetrita, brygadzysty, który rozważał możliwość wzbogacenia ich oferty o agregaty tynkarskie, Hugo rozmarzył się.

Zobaczył na szkolnym dziedzińcu, wśród innych dzieci, skorego do śmiechu chłopca. Potem swoich rodziców, zmartwionych stopniami w dzienniczku; jeden z nauczycieli, złośliwy zboczeniec, dopisał: „Dużo się uczył, ale mało się nauczył”. Przypomniał sobie swój gniew, kiedy zrozumiał, że przed tymi, którzy są w tak zwanej lepszej sytuacji, otwiera się autostrada ułatwień.

To ojciec wbił mu do głowy te drogowe metafory, których odtąd stale używa. Tamtego dnia Piotr Marsiac wytłumaczył synowi, że życie jest jak autostrada numer trzystaście, z pasami szybkiego ruchu, bramkami opłat, zatokami postoju awaryjnego, pasami wyłączania... Potem, jak na ironię, w wieku pięćdziesięciu pięciu lat zginął, biedak, w wypadku drogowym, pozostawiając po sobie wiele przyczepkę żalu i nienadającego się do jazdy renault 14. Pragnąc oddać ojcu hołd, w dzień pogrzebu Hugo obiecał na głos, że będzie zawsze jak najdokładniej oceniać swoje szanse na „życiowych zakrętach”, „nie przekraczać dozwolonej prędkości” i, rzecz jasna, „nie zasypiać na parkingu przy autostradzie”. Później logo jego firmy pięknie zaświeciło czerwonym neonem nad autostradą, ale Hugo Marsiac nie odczuwał już z tego powodu żadnej satysfakcji.

Miał wrażenie, że ugrzązł w korku. Albo w czymś jeszcze gorszym. Jego życie przypominało wiejską drogę nocą. Pędzący samochód, zwierzak przebiegający drogę. On był tym zajęcem, przerażonym długimi światłami samochodu.

Problem polegał na tym, że życie przestało mu się podobać.

Podczas gdy Benchetrit proponował, żeby porozmawiać o wadach najnowszych ładownic hydraulicznych trzyipółtonowych, Hugo Marsiac zrozumiał, że nie uniknie bolesnej introspekcji, której nieuchronność dręczyła go od przebudzenia. Pod pretekstem pilnego telefonu poprosił Adolfa, żeby poprowadził za niego zebranie, i wyszedł. W swoim gabinecie opadł

ciężko na fotel „home salon”, obity cielecą skórą w odcieniu gold (promocja z ostatnich sześciu dni bajkowych wyprzedaży w Bachelay). Zamyślony potarł dłonią policzek.

Ariana przyłożyła mu z całej siły. Bolała go lewa część twarzy, a skóra nad stłuczoną kością policzkową była przecięta na długości ładnych kilku milimetrów. Nie miał jednak żalu do żony, tylko do siebie. Dlaczego nie zdobył się na rozmowę po tej idiotycznej scenie? Dlaczego nie rozzłościł się tak, jak by to zrobił każdy na jego miejscu? Dlaczego zszedł z placu boju, zamiast ją zaatakować? Fakt, że jak większość mężczyzn obawiał się tylko dwóch rzeczy: niemocy seksualnej i małżeńskich scen, powinien mu dać do myślenia, ale nie wyjaśniało to jego apatii.

Po zadaniu ciosu Ariana oniemiała i jakby nagle przytomniejąc, wyszeptała:

- Kochanie, gdybyś ty mi to zrobił, zgłosiłabym się na posterunek, żeby cię aresztowali.

Kiedy pobiegła po kostki lodu, zamknął się w pralni. Ariana zrozumiała, co chciał jej przez to powiedzieć, i wycofała się.

Na trzy tysiące pięćset siedemdziesiąt dziewięć minionych nocy trzy tysiące pięćset siedemdziesiąt sześć spędzili w jednym łóżku. Tylko trzy razy w ciągu dziesięciu lat Hugo nocował na kanapie w salonie: po raz pierwszy, gdy Ariana przyłapała go na imprezie, jak się ocierał o biust jakiejś wulgarnej dziewczyny, po raz drugi, gdy Markiz obsiusiał mu prochowiec, co wywołało u żony wybuch radości, i wreszcie trzy lata temu, kiedy wydarzyła się ta głupia historia z przesolonym sufletem; Hugo zwrócił uwagę Arianie, ta się obraziła i zaczęła robić niepotrzebne uwagi o niewdzięczności mężczyzn, niedocenianiu pracy kobiet itd., krótko mówiąc - wolał dać nogę, zamiast stawić czoło dialektyce moralizatorskiej małżonki, prenumerującej cztery pisma kobiece.

Ostatnią noc Hugo spędził na materacyku z leżaka u stóp suszarki do bielizny. Jak palant. Korzystając z tego, że Ariana śpi, bladym świtem opuścił ukradkiem schronienie, żeby wziąć czyste ubranie na piętze. Jak palant. Potem, żeby zjawić się w biurze dopiero o przyzwoitej porze, czmychnął do bistra, zadowolony, że udało mu się uniknąć rozmowy z żoną. Jak palant! Dlatego miał w gardle pół tuzina gul: to, co wczoraj uznał za najlepszy sposób na okazanie dezaprobaty bez dalszego pogarszania sytuacji, okazało się w rzeczywistości tchórzliwą i głupią reakcją palanta.

Siedział przez chwilę z pustką w głowie, przyglądając się rodzinnemu zdjęciu, zrobionemu poprzedniego roku na wyspie Yeu. Było to zdjęcie z rodzaju tych, których kobiety nie chcą wklejać do albumów pod pretekstem, że nikt dobrze na nim nie wyszedł. Zdjęcie z rodzaju

tych, które mężczyźni po cichu podkradają, bo chociaż nieudane, bez sensu i w ogóle do niczego, tchną jakąś prawdą. Zdjęcie z rodzaju tych, które wywołują uśmiech, ale tamtego ranka niemal doprowadziło Hugona Marsiaca do łez. Hektor, wybuchający śmiechem, wyglądał jak słoneczko bez dwóch górnych jedynek. Mała Luiza, kokietka, wyciągała tłuste łapki, a Ariana, wysoka i szczupła w jednoczęściowym kostiumie kąpielowym, robiła do niego oko, okolone dwoma pasmami włosów sztywnych od morskiej wody.

Jak on je kochał, te swoje dzieciaki, jak on ją kochał, tę swoją bojową żonę! Co się z nią działo? Ariana była ostatnio dziwna. Od początku remontu nie poznawał jej: kiedyś radosna, skora do śmiechu i tryskającą energią, stała się okropnie drażliwa. Można pomyśleć, że dopadła ją burza hormonów o niespotykanej sile. Ale trzydzieści sześć lat, według tego, co słyszał, to o wiele za wcześnie na menopauzę.

Postanawiając po raz kolejny rzucić palenie, Hugo wyjął z biurka paczkę benson & hedges. Z przymkniętymi oczyma zaciągnął się głęboko, co przyprawiło go o zawrót głowy. Uspokoił się trochę i postanowił „nakreślić panoramiczną tablicę koniunktury”, jak na zebraniach poświęconych planowaniu perspektywicznemu, które prowadził co kwartał.

Podsumujmy. Bardziej od samego faktu, w sumie banalnego, jakim było zainkasowanie bokerskiego haka za to, że przykazał żonie podkręcić elektryka, niepokoiła go jej małomówność. Od pewnego czasu Ariana prawie się nie odzywała. To było groźne. Kobieta, która przestaje gadać, jest jak samochód, który zużywa za dużo oleju - wróży to same kłopoty. Możesz się pocieszać, że to nie twoja wina, tylko błąd konstruktora, na który nie ma rady. Ale Hugo Marsiac był facetem zbyt uczciwym, żeby zwać własne błędy na innych. Teściowa nie była tu winna. To on nie potrafił już uszczęśliwić żony.

Postanowił z nią porozmawiać. Albo, lepiej, nagrać się na jej komórkę. Wyrwał kartkę z notatnika opatrzonego sloganem: „Totalwynajem u totalwynajemcy”, żeby sprecyzować myśli; chodziło mu o wiadomość krótką i zrozumiałą. Dwadzieścia minut później, kiedy kończył redagować pierwsze zdanie: „Ariano, to ja, chciałbym porozmawiać z tobą o wczorajszym wieczorze...”, zadzwonił telefon.

Nicard należał do tych ludzi, którzy przekazują złe wiadomości w wyjątkowo irytujący sposób, tak jakby się nimi delectowali. Jego wtargnięcie sprowadziło Hugona na ziemię: doszło do tego, że jako szef firmy zajmował się przede wszystkim załatwianiem przedstawianych mu spraw, które pojawiały się jedna po drugiej jak prosięta podążające truchcikiem do korytka. Adolfowi było przykro, że przeszkadza, ale, wielkie A, ubiegłej nocy wysięgnik teleskopowy

Totalwynajmu spadł na budynki Algeco na budowie w Souvigny-sur-Bitons i trzeba na gwałt skontaktować się z ubezpieczycielem, wielkie B, klient uparcie odmawia zapłaty za wynajem dwóch wywrotek, które się zepsuły, wielkie C, co Hugo postanowił w sprawie nabycia nowych ładowarek hydraulicznych trzyipółtonowych? Po tym nastąpiłby prawdopodobnie dalszy ciąg alfabetu upierdliwości: samoladowacze, które przestały się obracać, platformy transportowe, których silniki oszalały, platformy z chwytakami, zafakturowane przez pomyłkę po cenie podnośników teleskopowych, i tak dalej aż do zet, do plus albo minus nieskończoność.

Hugo westchnął i kartkę ze zredagowanym wstępnie SMS-em do żony wrzucił do wiszącego na tablicy kosza-maskotki, który dostał na trzydzieste piąte urodziny. Nie trafił.

Ariana spojrzała na kurzą szyję brzydkiej kobiety siedzącej naprzeciwko i krzyknęła:

- Słowo daję, ma pani kręgi szyjne jak żyrafa, co za szczęście! Jak sądzisz, Zofio? Prawda, że pani Plantois mogłaby sobie nawet pozwolić na tę psią obrozę, którą nazwałyśmy „Nieważkość”?

Jej współniczka kiwnęła głową, wołała to przemilczeć. Zofia Baignon nie miała żyłki do handlu. Zgodziła się pomóc Arianie, bo klientka, bogata małżonka dentysty z Louveciennes, wyraziła życzenie „poznania projektantki”. Ciemnowłosa i chuda Sonia Plantois spędzała popołudnia w klubach golfowych, na kursach jogi i w instytutach piękności ze swoimi kumami, potencjalnym tabunem nadzianych klientek, które trzeba przekonać, jaka to rozkosz nosić wyroby firmy „F jak Frywolna”. Dłonie Ariany tańczyły nad walizeczką ozdobioną dwiema stylizowanymi literami. Czekala na aprobatę przyjaciółki, ze skupioną miną neurochirurga podczas operacji na otwartym mózgu. Zofia skwitowała jej wybór uśmiechem. Ta obroza była, oczywiście, najdroższa.

Ariana zapięła przesłiczną ozdobę z górskiego kryształu i łabędziego puchu, po czym odsunęła się, żeby ocenić efekt. Szyja nieszczęsnej klientki wyglądała jak butelka wody mineralnej z brzdowanymi uchwytemi ozdobionymi samoprzylepnymi kryształkami. Ariana zagadała jak perliczka i klaszcząc w dłonie, podziwiała kark klientki: „Zupełnie jak u Audrey Hepburn”. Przesadziła. Pani Plantois pozwoliła im odejść, nic wcześniej nie kupiwszy. Powiedziała, że musi poradzić się męża.

- Jak mi jeszcze raz powie, że musi poradzić się męża, to cisnę ją o ścianę. Co mogą obchodzić dentystę miliardera obroze za sto pięćdziesiąt euro, nie wiesz przypadkiem?

Ariana Marsiac była tak wściekła, że jej opel Agila koloru rozdeptanej maliny aż dostał czkawkę.

- Co ci jest, kotku? - spytała Zofia z niezmaconym spokojem. - Nigdy cię nie widziałam w takim stanie.

- Byłam beznadziejna. Wiem o tym, ale już nie mogę znieść tych kretynek.

- Na pewno pokłóciłaś się z Hugonem.

- Co ty? Dlaczego zawsze, gdy kobieta jest w złym humorze, musi od razu mieć kłopoty ze swoim facetem? Zozo, ty masz cechy macho. Wiesz, kim jesteś? Mocno starszym panem. Urodą wprowadzasz ludzi w błąd, ale psychicznie masz sto pięćdziesiąt lat, balkonik i włosy w uszach.

- Dziękuję, miła jesteś.

- Daj spokój. Zresztą nie wiem, co nas łączy prócz piętnastu lat przyjaźni. Zawsze byłaś szczuplejsza ode mnie, myślisz, że to bez znaczenia? Może po prostu dlatego sfuszerowałam z panią Plantois, że za plecami czułam twoją obecność, kościstą i złowrogą. To jasne, gdyby ciebie tam nie było, stara wydarłaby mi co do sztuki całą kolekcję „Nieważkość”, z prezentami od firmy włącznie.

- Dziękuj Bogu, bo z piórami w odstających uszach ta cała Sonia wyglądałaby jak babcia Asteriksa i jej mąż byłby zmuszony wybić ci wszystkie zęby, żeby sobie ulżyć. Nie zapominaj, że on jest dentystą. O co chodzi z Hugonem?

- Nic wielkiego, o mało go wczoraj nie powaliłam.

Młoda kobieta wytrzymała blisko dwie godziny, zanim opowiedziała najlepszej przyjaciółce scenę, która się rozegrała poprzedniego wieczoru. „Najlepsza przyjaciółka”. Określenie jest dziecinne, ale Ariana i Zofia zawsze tak do siebie mówiły. Chociaż obie skończyły trzydzieści pięć lat, przyjaźniły się jak małe dziewczynki, bezwarunkowo, demonstracyjnie i niezmiennie. Zwykłej przyjaciółce można najwyżej „wszystko opowiedzieć”, Zofia i Ariana opowiadały sobie znacznie więcej. Nasza bohaterka była rozdarta między niejasnym pragnieniem nieujawniania swoich małżeńskich tajemnic a upajającym uczuciem, że ma się coś naprawdę ważnego do opowiedzenia, ale nie wahała się zbyt długo.

Poza tym musiała się poradzić. Skąd kobieta ma wiedzieć, co robić, jeżeli koleżanka jej nie poradzi? Rady to cenny towar, niewielkie wartości dodane do damskich przyjaźni. Rady, których - jak podrywaczy z włoskich plaż - zawsze się słucha, ale nader rzadko robi się z nimi cokolwiek więcej. Chociaż dobra rada nic nie kosztuje, jak by powiedział Dilabault, ale nawet mała podpowiedź się przyda, prawda? Tym bardziej że gdyby przyznawano Oscary w kategorii przyjacielskich rad, Zofia Baignon mogłaby ustawić na swoim kominku cały las statuetek.



Zawsze dawała dobre rady, dostosowane do sytuacji, Przemyślane, niezawodne i rozsądne. Standard mercedesa wśród przyjacielskich rad.

Zofia wysłuchiwała swojej współpracownicy w milczeniu. W przeciwieństwie do Ariany nigdy nikomu nie przerywała, była to zaleta, która wprawiała jej przyjaciółkę w osłupienie. Do innych głównych cnót Zofii Baignon należały również powściągliwość - kto znał Piotra, ten dopiero mógł docenić wytrzymałość nerwową jego żony - spora doza fantazji - młoda kobieta jadła tylko czerwone produkty, bo uważała, że są piękne, i jeździła na wakacje tylko w takie miejsca, których nazwy zaczynają się na literę „M”, bo Maroko, Mauretania, Morze Śródziemne nie zaczynają się na „P”, tak jak Pipidówka - i niespotykane wycucie sytuacji: czyż nie zapisała Arianie w testamencie całej swojej kolekcji sandałów Christiana Louboutina (kupionych wprawdzie na wyprzedży, za to aż dwunastu par nienoszonych, bo założycielka firmy „F jak Frywolna” nie lubiła patrzeć na swoje paluchy)?

Kiedy Ariana skończyła opowiadać, Zofia spytała, czy próbowała się skontaktować z mężem w ciągu dnia. Tak i nie. Co najmniej tuzin razy szukała numeru Totalwynajmu zapisanego w komórce, ani razu jednak nie udało jej się nacisnąć „wybieranie”. Zofia szybko wydała ocenę „jakościową”: najgorsze w tej sytuacji jest nie to, że Ariana jak dzikuska zaatakowała swojego Bogu ducha winnego męża, ale że nie potrafiła go za to przeprosić. Nad tym należy się zastanowić.

Po długim namyśle Ariana powiedziała:

- To nie Hugo stanowi problem. Chyba nie mogę już znieść mojego życia.

Młoda kobieta jeszcze nie wiedziała, że przynajmniej w tej kwestii jest całkowicie zgodna z mężem.

## Luty

*Luty chłop w łóżku ostudzi, a babę w chałupie.*

mądrość ludowa

Podczas każdego remontu przychodzą błogosławione chwile, kiedy naraz wydaje się, że ściany wyrastają z podłogi, przewody elektryczne wiją się po gzymsach jak glicynia, a kaloryfery zakwitają w rogach pokoju jak zagajniki na wiosnę. Nic takiego nie wydarzyło się jednak pod dwunastym przy rue du Gai-Pinson.

Prawdę mówiąc, remont jakby wszedł w fazę regresu. W przedpokoju ściany, „podszykowane” przez malarzy, wyglądały jak przypadek rozlanej egzemy, rozsianego liszaja albo jednej z tych chorób skórnych, których zdjęcia dermatolodzy trzymają w swoich gabinetach, zamknięte na klucz w bibliotekach. Kuchnia, częściowo zdemolowana, mogła służyć jako tło do reportażu z Bałkanów o bombardowaniach ludności cywilnej. „Projekt werandy”, w fazie realizacji, ograniczał się nadal do czterech czerwonych słupów, sterczących nieprzyzwoicie pionowo na zimnej mżawce w tym niewesołym miesiącu lutym. Co gorsza, hydraulik postanowił wreszcie wziąć sprawę w swoje ręce. Dwa tygodnie wcześniej Ariana, wracając do domu, zobaczyła, że wszystkie kaloryfery na parterze są „zdjęte”. Trochę za szybko ucieszyła się widocznym postępem robót. Gonçalvo nadal był nieobecny, a pan Pedro wyłożył jej kolejno, że: po pierwsze, godzina ponownego montażu kaloryferów nie wybije zbyt szybko; po drugie, najwyższa pora uregulować należność za pierwszą część robót, wynoszącą sześć tysięcy siedemset osiemdziesiąt pięć euro (brutto).

Marsiacowie wycofali się więc do dwóch pokoi na piętrze i tam gotowali posiłki na palniku podłączonym do butli gazowej, ustawionej na przewiązkach. Od makaronu z cukinią i z parmezanem przeszli, chcąc nie chcąc, do gotowych dań Bolino, obficie podlewanym keczupem. Dzieci, początkowo zachwycone tym dzikim kempingiem, szybko zaczęły odczuwać ciasnotę. Odgłosy ich kłótni odbijały się echem od pokrytych liszajem ścian i docierały aż do garażu.

Na domiar złego młoda Chorwatka, która się nimi opiekowała, wstrząśnięta widokiem domu, przywodzącego jej na myśl najgorsze wspomnienia z niedalekiej przeszłości, posta-

nowiła wrócić do Zagrzebia, gdzie przynajmniej nie trzeba już kłaść się spać „w pełnym rynsztunku”.

Czekając na wieści z agencji opiekunek do dzieci „O'per O'key”, która miała się wystarać o zastępstwo, Ariana postanowiła poprosić o pomoc matkę. Możecie być pewni, że nie uczyniła tego z lekkim sercem.

Liza Honfleur miała tylko jedną wadę, za to niebagatelną: była chodzącym ideałem. Skończyła sześćdziesiąt dwa lata, wszyscy wychwalali jej urodę, wyrafinowany smak, delikatność, równe usposobienie i odwagę. Po śmierci swojego męża, co miało miejsce ćwierć wieku wcześniej, matka, która do tamtej pory nie pracowała zawodowo, musiała znaleźć zatrudnienie. Zaczęła jako hostessa w towarzystwie ubezpieczeniowym, ale wkrótce przekonała dyrekcję, żeby dać jej szansę: została jednym z najbardziej cenionych w firmie agentów. Jako młoda emerytka była nadal wyjątkowo aktywna. Rozdawała batony z proteinami w jadłodajniach dla ubogich i prezerwatywy w więzieniach. Pisała petycje w sprawie kobiet afgańskich. Rozlepiała plakaty zielonych i pocieszała konających. Dla córki wybrała imię na cześć Ariany Mnouchkine, madonny teatru samorządnego od maja sześćdziesiątego ósmego roku. Dla wnuków wymyślała czarujące bajki, które również sama ilustrowała i oprowaiała. Robiła, własnymi rękoma, czteropiętrowe torty z masą pralinową. Ubierała się na wyprzedazach u Driesa van Notena. Była żywą reklamą farby do włosów „Garnier Color” w odcieniu „radosna mysz polna”.

Ariana natomiast nigdy nie walczyła ani w imię czegokolwiek, ani w imieniu kogokolwiek, poza przywróceniem lepszej pory emisji programu *Kto chce wygrać miliony?* Robiła torty, dolewając do różnych proszków wody z kranu. Dla córki wybrała imię na cześć koleżanki z podstawówki, Luizy Artichou, która zdobyła dla niej autograf Daniela Guicharda w maju siedemdziesiątego ósmego roku. Dzieciom czytała napisane przez kogo innego bajki i wykorzystując każdy moment ich nieuwagi, przeskakiwała strony książki. Wszystkie ubrania, które kupowała na wyprzedazach, wyglądały na niej żałośnie albo były za małe. Gdyby położyła sobie na włosy farbę w odcieniu „radosna mysz polna”, wyglądałaby jak Laura Bush.

Godna wielkiego podziwu matka budziła w niej mieszane uczucie dumy i przygnębienia. Nigdy nie dorośnie jej do pięt. Ariana często zadawała matce pytanie: „Myślisz, że łatwo być córką matki, która jest połączeniem Sophii Loren z Goldą Meir?”, Liza zaś odpowiadała: „Nie pleć głupstw, ja jestem kopciuszkiem, a ty dziełem sztuki”. Bo, na dodatek, Liza Honfleur była naprawdę miła, nigdy niczego nie wypominała i okazywała córce szczery podziw. W wieku dojrzenia trudno było się buntować przeciwko tak wspaniałej osobie. Ariana dała więc sobie

spokój z protestami; zarzucała tylko matce, że za dużo pracuje, co w stu czterdziestosiędmio-stopniowej skali Richtera do pomiaru buntów nastolatków wynosiło zaledwie trzy stopnie.

Liza ubóstwiała zięcia, wielbiła wnuki i nie szczędziła pochwał córce w sprawie jej wyborów życiowych.

- Praca w niepełnym wymiarze godzin jest idealnym rozwiązaniem dla młodej kobiety. Masz czas dla męża i dla dzieci, a jednocześnie wychodzisz z domu, jesteś bohaterka. Mnie się to nigdy nie udało.

Byłoby przesadą twierdzić, że Ariana miała skrupuły, wrabiając matkę w odbieranie jednego dziecka ze szkoły, a drugiego z przedszkola, odrywając ją tym samym od kryminalistów - Liza mówiła o nich „osadzeni” - od potrzebujących i od walczących ekologów. Obawiała się, że matka, nie w ciemną bitą, spędzając u niej codziennie trzy godziny, domyśli się, że coś jest nie tak. Ariana musiałaby wtedy wszystko wyznać. Wiedziała, że brakuje jej argumentów; czy komuś, dla kogo chlebem powszednim jest pocieszanie trędowatych, można opowiadać o problemach małżeńskich, wynikających z tego, że murarz nie pokazuje się od miesiąca? Dlatego Ariana pilnowała się, żeby wyglądać na osobę zadowoloną. Tym razem matka nie odgadła tak szybko jak zwykle, że córka ma problemy. Zajęło jej to ponad dwie godziny.

Tamtego poniedziałku, kiedy Liza miała podjąć swoje obowiązki, Ariana wróciła około osiemnastej, żeby pokazać matce, co ma robić na zakurzonej powierzchni około czterdziestu metrów kwadratowych, która stała się nowym domem Marsiaców. Oczywiście dzieci były już umyte, ubrane w piżamy i szlafroki, na czterech stopach miały bambosze w odpowiednich rozmiarach i kolorach. Lekcje odrobiły wcześniej i Luiza spacerowała, promieniejąc z dumy z powodu dwóch warkoczyków, skręconych na uszach w obwarzanki i ozdobionych niebieskimi wstążkami. Oszłomiony Markiz chodził za Liza, śliniąc się z zadowolenia. Z podłączonej do butli gazowej kuchenki dochodził smakowity zapach. „Kulebiak z krabami, o ile nie wysiądzie elektryczny minirożen” - wyjaśniła babcia, która w komplecie koloru kości słoniowej Atsura Tamai wyglądała jak królowa.

Ariana o mało się nie rozplakała.

- Jesteś czarodziejką, mamusiu.

- To ty jesteś wspaniała, kochanie. Wyglądasz zjawiskowo na tym gruzowisku.

Młoda kobieta miała wielką ochotę się powiesić, ale odpowiedziała wesoło:

- Fakt, nie załamuję się. Teraz jest jeszcze trochę niewygodnie, ale potem będzie super.

- Na pewno. Na razie trudno to sobie wyobrazić, ale jak cię znam, poprowadzisz to wszystko po mistrzowsku.

Ariana pomyślała, że samobójstwo przy użyciu gazu też nie byłoby najgorszym wyjściem. Parsknęła śmiechem.

- Nie da się ukryć, że kask zostawiony tu przez kierownika budowy wygląda śmiesznie.

- Skarbie, gdybyś wiedziała, jak cię podziwiam za to, że dajesz sobie z tym wszystkim radę!

Córka roześmiała się jeszcze głośniej, powstrzymując chęć rzucenia się ze schodów.

- Nie jest znowu tak źle, nie mam na co się uskarżać.

- Nie pomniejszaj swoich zasług, od tego masz męża.

Rozmowa ciągnęła się dalej w tym samym tonie, czuła i pełna zrozumienia wymiana zdań między matką a córką. Pod koniec Liza szepnęła:

- Muszę z tobą porozmawiać w cztery oczy. Nie zeszlabyś ze mną na chwilę na dół? Puściłam Luizie i Hektorowi kasetę *wideo ATTAK w wersji dla dzieci*.

Na parterze usadowiła się na kanapie pokrytej plastikowym pokrowcem i łagodnie zagała:

- Powiedz mi teraz, co się z tobą dzieje. Ostatni raz widziałam taki wyraz twarzy na obrazie Edwarda Muncha.

- Nawet nie wiesz, mam, jakie to straszne. W dodatku nie mogę ci nic powiedzieć, nie tobie, nie Matce Teresie.

- Ariano, po raz pierwszy w życiu dostaniesz ode mnie po buzi, jeżeli będziesz mi wymyślać od zakonnicy.

Od śmierci męża Liza, przedtem praktykująca katoliczka, stała się ateistką. Biada temu, kto wytknąłby palcem tej zdecydowanie świeckiej obywatelce, że żyje, działa, a nawet myśli jak zakonnica. Każde zapożyczenie ze słownictwa religijnego było przez nią natychmiast sankcjonowane.

- Przepraszam cię, mam, wycofuję Matkę Teresę. Jak zastąpię ją Różą Luksemburg, to będzie lepiej? Otóż moje życie stało się jednym wielkim MPB.

- Co znaczy „MPB”?

- Megaproblem bogaczy, na pewno wiesz, o co chodzi, to jedna z teorii J.G. Lepica, tego od Nagrody Nobla. Nic mi nie brakuje do szczęścia i jestem bardzo, ale to bardzo nieszczęśliwa. Nie wytrzymuję już rutyny, w którą wpadłam, w kółko dzieci, praca, dom. To się zaczęło



jakiś czas temu, ale ujawniło w całej jaskrawości dopiero podczas remontu. Nic mnie nie cieszy, biję swojego męża, nie mam cierpliwości do Luizy ani do Hektora, nie mogę ścierpieć swoich klientek, nie potrafię przypilnować robotników, wszystko robię źle, wszystko. Chciałabym... chciałabym żyć inaczej.

Matka spojrzała na nią zaskoczona.

- Jak chciałabyś żyć wobec tego?

- Chyba chciałabym... być mężczyzną. Mężczyzną, który jedzie do pracy o ósmej rano, wraca o ósmej wieczorem i w tym czasie zupełnie się wyłącza, zero zainteresowania czymkolwiek innym. Mężczyzną w dawnym stylu, monolitem, który potrafi tak serdecznie się śmiać, że aż trzęsą się mu ramiona, i narzeka, że zabrakło piwa w lodówce. Mężczyzną, który nie ma wielu wcieleń, jednych bardziej interesujących od drugich. Kiedy Hugo wraca wieczorem, zazdroszczę mu, że miał dzień wypełniony prawdziwą pracą, prawdziwymi wyzwaniem. Co ty na to?

Liza spojrzała na córkę, jakby zobaczyła Nicole Notat\* w kolorowej telewizji.

- Myślę, że jeszcze nie całkiem masz „przechlapane”, że się tak wyrażę. Musisz porozmawiać z mężem, Ariano, jak najszybciej.

\* Sekretarz generalny francuskiej centrali związkowej Confédération Démocratique Française de Travail w latach 1992-2002.

- Skurwysyn! - krzyknął wściekły Hugo.

Piotr rozłożył go na obie łopatki... Zdarzyło się to po raz pierwszy od ośmiu lat, odkąd co poniedziałek grali w tenisa, od dziewiętnastej do dwudziestej. Przyjaciel, rozbawiony, wykonał układ choreograficzny w stylu *all blacks*, poruszając delikatnie biodrami i chrząkając jak torbacznik w rui.

- Nie ciesz się tak, pofarciło ci się i tyle. Za tydzień znów dam ci popalić.

- Chyba śnisz, Marsiac. Przestałeś myśleć. Skończyło się wygrywanie, wypaliłeś się, jesteś przegrany. Dobrze jest. Uścisnęli sobie dłonie i ruszyli w kierunku szatni.

Jak wszyscy prawdziwi faceci, wymieniali mniej więcej pół tuzina słów na tydzień. Mogli nie opowiadać sobie wszystkiego, ich żony wzięły to na siebie. Poznali się, kiedy Ariana i Zofia założyły firmę „F jak Frywolna”. Zostali kumplami, po prostu. Na pewno sześćdziesiąt minut, spędzane co tydzień na doprowadzaniu się nawzajem do siódmych potów, umacniało ich przyjaźń bardziej niż milion jednostek telefonicznych, które ich żony marnowały co miesiąc,

dzwoniąc jedna do drugiej na komórkę. I co sobie mówiły? Chyba to, w jakich sklepach są wyprzedaże, albo coś zabawnego o dzieciach. W najlepszym razie - jak zareagowały klientki, które nie otrzymały swoich zamówień na czas. A więc nic ważnego.

Ale tamtego wieczoru po raz pierwszy Hugo poczuł, że musi się zwierzyć. Tak, zwierzyć się, porozmawiać o tym, co go dręczy, pomówić o czymś innym niż o zaletach rakiet tytanowych albo o przedpotopowych kłódkach w szatni. Zastanawiał się, jak zacząć tę rzecz dziwną i dotąd mu nieznaną: PRAWDZIWĄ rozmowę mężczyzny z mężczyzną.

Widząc, że Piotr popija pół tuzina kapsulek dużymi łykami napoju wzbogaconego proteinami, wiedział już, jak zagaić. Wszyscy znamy hipochondryków, nozofobów i innych nieuleczalnie chorych z urojenia. Każdy ma w swoim otoczeniu jakichś krewnych albo współpracowników, głęboko przeświadczonych, że są poważnie chorzy. Odnosimy wrażenie, że nikt nie potrafi lepiej od nich wmawiać sobie raz na tydzień nowotworu, raz na miesiąc ataku serca, raz na kwartał stwardnienia rozsianego. Otóż dopóki na waszej drodze nie stanie Piotr Baignon, wszyscy będziecie wiedzieli o życiu tyle, co nowo narodzone dziecko.

Każdego ranka mąż Zofii zaczynał dzień od sięgnięcia po supernowoczesny termometr - prezent od Świętego Mikołaja. Co dwa tygodnie robił analizę krwi, kontrolując nieuchronne podnoszenie się poziomu cholesterolu albo trójglicerydów we krwi. Wyniki badań, podejrzenie w normie, wpędzały go w popłoch. Mogły świadczyć o najgorszym. Co kwartał wirtualne badanie skanerowe oskrzeli umacniało tego byłego palacza (trzy papierosy dziennie przez dwa lata) w przekonaniu, że następne wykaże raka płuc. Teraz już wiecie, dlaczego kasom chorych wciąż brakuje pieniędzy. Odkąd lekarze z departamentu Yvelines przestali przyjmować Piotra, zaczął chodzić po lekarzach w pobliżu swojego biura w Paryżu. Zaliczywszy tych z Dzielnicy Osiemnastej, już od kilku miesięcy krążył po gabinetach w Siedemnastej. Jego największym marzeniem było napisanie książki na wzór przewodnika gastronomicznego Gaulta i Millau, tyle że poświęconej wybitnym lekarzom ogólnym z Paryża i okolic. A potem, kto wie, może i specjalistom... Jedyne pod literą „G” jak ginekolodzy miał w swoim notesie służby zdrowia mniej niż pięć nazwisk. Jako dziennikarz sportowy Piotr przyjął tryb życia atletów, z którymi obcował. Drobnym i szczupłym, wkładał tyle trudu i uczucia w dbałość o kondycję, ile starsza pani w trefienie uszu swojego miniaturowego pudełka przed wystawą psich piękności. Połykał około dwudziestu najróżniejszych kapsulek na dobę i nigdy nie kładł się spać, póki nie stanął na wadze - urządzeniu mogącym powiedzieć na głos, ile wynosi stosunek masy tłuszczowej do masy mięśni.

Gdy tylko Piotr skończył mierzyć sobie tętno - zaniepokojony, czy szok wywołany zwycięstwem nie wpłynął aby źle na pracę jego serca - Hugo spytał łagodnie:

- Dalej masz zawroty głowy?

- Nawet mi nie przypominaj, znów mnie dopadły po meczu Lille-Guingamp. Kiedy wstałem z kanapy, cały dom zaczął mi wirować przed oczami. Wiem, że były dogrywki i miałem zbyt niski poziom cukru, bo nic nie jadłem przez Zofię, która uciekła do jakiejś koleżanki i nie zostawiła mi nawet kawałka pizzy, ale i tak się przeraziłem.

- Ja też ostatnio dziwnie się czuję.

Z wrażenia Piotr aż przerwał wiązanie sznurowadeł.

- Co takiego? Ty też? Ten szczęściarz, który nigdy nie chorował? Zaraz, ile ty masz lat? Czterdzieści dwa? To normalka, zaczyna się. Zobaczysz, za trzy lata upodobnisz się do mnie, wszystko będzie ci dolegać.

- Nic mi konkretnie nie dolega, zastanawiam się, czy powód nie tkwi w głowie.

- Cierpisz na migreny?

- Nie, to jest raczej psychiczne.

- Psychiczne? Już ci nie staje?

- Nie jest jeszcze tak źle, chodzi o sen. Nie mogę spać. I o apetyt, jem tak mało, że niedługo popadnę w anoreksję. O kondycję też. Nie mam już prawie siły, skoro przegrałem w tenisa z wariatem.

Piotr nawet się nie uśmiechnął. Przez chwilę pogwizdywał, jakby mówił: „Uuu”, a potem ogłosił werdykt:

- *Mid-life crisis*, stary. Jakiś czas temu myślałem, że mnie to dopadło, i sporo przeczytałem na ten temat. Okazało się, że to jednak nie było to. Chyba zaczynało się coś gastrycznego...

Hugo przerwał mu.

- Co to jest *mid-life crisis*, Piotrusiu?

- Depresja wieku średniego. Dość rozpowszechniona. Dotyka głównie mężczyzn po czterdziestce. Zaczynają myśleć o śmierci, podliczać, co już osiągnęli... na ogół niewiele... co mi się nie udało... na ogół wychodzi dużo... ile zostało im czasu... na ogół wychodzi, że niedużo... To może okazać się bardzo groźne. Objawy są zawsze takie same. Jaki masz stosunek do swojej pracy?

- Prawdę mówiąc, nie najlepszy.

- A do żony?

- Trudno powiedzieć. Ostatnio nie bardzo mam ochotę z nią rozmawiać.

- Oczywiście, to typowy *mid-life crisis*. Źle z tobą.

Piotr postawił zwalającą z nóg diagnozę tonem prawie radosnym. Wreszcie przyjaciel zachorował. Dał mu natychmiast telefony do psychiatry, psychoterapeuty i androloga, radząc, żeby jak najszybciej zażądał od nich prozacu. Hugo, który z oporami połykał tabletkę dolipranu dopiero wtedy, kiedy miał powyżej czterdziestu stopni gorączki, spojrzał na niego zaskoczony. Swoje przygnębienie, o ile w ogóle o to chodzi, pokona sam. Piotruś z powątpiewaniem pokręcił głową.

- Nie używaj nigdy słowa „przygnębienie”, ono nic nie znaczy, jasne? Wskutek źle leczonoj depresji możesz w ciągu kilku tygodni znaleźć się na samym dnie. Będziesz dalej zgrywał bohatera, Hugonie, i masz jak w banku osobistą klęskę, samobójstwo, dzieci sięgające po narkotyki, rozrzutną albo niewierną żonę, słowem - koszmar.

Po tych optymistycznych prognozach dodał:

- Jak nie pójdziesz do psychiatry, to chociaż porozmawiaj z Arianą. Od razu dziś wieczorem.

W drodze powrotnej prześladowały Hugona Marsiaca dwie myśli. Pierwsza: był absolutnie zdecydowany już nigdy nie prowadzić PRAWDZIWEJ męskiej rozmowy. Druga: mimo wszystko ten głupek Piotruś miał rację; PRAWDZIWA rozmowa mężczyzny z kobietą, to znaczy z Arianą, była nieunikniona. Hugo aż się wzdrygnął, bo przypomniała mu się scena z amerykańskiej opery mydlanej, na którą natknął się miesiąc wcześniej, przeskakując pilotem z jednego kanału na drugi. Na ogół takie filmy doprowadzały go do dzikiej radości, lecz tego smutnego wieczoru zrozumiał dramatyczną wymowę zapamiętanej kwestii.

Nieważne, czy było to w *Modzie na sukces*, *The Young and the Restless* czy w *Santa Barbara*, wszyscy oglądaliśmy taką scenę ze sto razy: facet, blondynek z wymodelowaną fryzurą i koszulą rozpiętą aż do wżgórka łonowego, stoi w kuchni z kubkiem w ręku. Odwraca się w stronę brunetki, ubranej w dżersejowe spodnie koloru koralowego, i mówi z ustami wykrzywionymi lękiem: „Chcesz, żebyśmy o t y m porozmawiali, Jessico?” Z powodu złego dubbingu usta dziewczyny poruszają się, ale jej głos rozlega się dopiero po dwóch minutach i czterdziestu sekundach: „Tak, Johnie, najwyższy czas, żebyśmy o t y m porozmawiali”. Siadają. Rozmawiają o t y m przez dwadzieścia cztery minuty, muzyczne tło stanowią odgłosy windy. Scenę kończy zbliżenie kuchennej podłogi, z kubkiem rozbitym na tysiąc kawałków. Napisy końcowe.

Ku czemuś takiemu zmierzał Hugo. O Boże!

Była dwudziesta trzydzieści siedem, kiedy przekroczył próg domu. Nie wiedział, że za niecałe dwie godziny jego życie będzie przewrócone do góry nogami. Biedaka dręczyła obsesyjna myśl, która brzmiała jak modlitwa: „Wszystko, tylko nie scena z kubkiem”.

Teściowa stała w przedpokoju, ubrana w palto. Nie, nie zostanie na kolacji, dzieci już śpią, będą więc mieli spokój - podkreśliła z miłym uśmiechem, który przeraził Hugona. Za nią stała Ariana. Wyglądała blado w długiej beżowej sukni; przypominała mu delikatny biały szparag w sosie *mousseline*, ale powstrzymał się od powiedzenia tego na głos. Miał manię mówienia bez przerwy o jedzeniu, co doprowadzało żonę do szalu, lepiej więc było nie ryzykować.

Usiedli w przysłym salonie z kuchnią w stylu amerykańskim, żeby zjeść kulebiak z krabami przygotowany przez Lizę. Był to różowo-kremowy poemat we francuskim cieście, który chyba wyfrunął z pieca samego Alaina Ducasse'a. Markiz, rozplaszczony u stóp Hugona, nie spuszczał go z oczu, śledząc każdy ruch widelca podążającego do ust. Z obu stron szpiczastego psiego języka skapywały na podłogę kropelki śliny, tworząc lepkie kałuże. Od czasu do czasu zwierzę szczekało zębami, w brzuchu grzmiała mu rewolta, a spojrzenie czającego się jaszczura było wlepione w pana.

Poszukując rozpaczliwie tematu do rozmowy, Hugo powiedział:

- Nie wydaje ci się, że z wiekiem nasz pies zaczyna wyglądać jak Pasqua\*.

- Hugonie, teraz albo nigdy, przestańmy robić uniki. Musimy porozmawiać.

„Oj - jęknął Hugo - stało się”. Zaczepnął głęboko powietrza. Jako człowiek obdarzony poczuciem obowiązku, był gotów.

- Masz rację, musimy porozmawiać. Sama zauważyłaś, Ariano, że od kilku tygodni dzieje się coś dziwnego.

\* Charles Pasqua - były minister spraw wewnętrznych Francji.

Przerwała mu. Uff!

- Kochanie, wiem, co powiesz. Żyjemy obok siebie jak obcy ludzie, uprzejmi i obojętni, unikając rozmów o ważnych sprawach, takich na przykład jak ten remont, który wymyka się spod kontroli. Tak samo jak ja wiesz, że z każdym dniem coraz bardziej oddalamy się od siebie, i... przyznaję się bez bicia - to moja wina.

Oniemiały Hugo wyjąkał:



- Moja.

- Oczywiście, że nie. To nie twoja wina. Prawda jest taka, kochanie, że dzieje się ze mną coś złego...

Hugo wybałuszył oczy. Były wielkie jak budżet armii amerykańskiej na zbrojenia w 2002 roku.

- Z tobą też? Jęknęła.

- Jak to „z tobą też”? Rozumiem, jest gorzej, niż myślałam. Chcesz rozwodu, masz ochotę na miliard kobiet, które są bardziej sexy ode mnie... nic dziwnego, bo stałam się odpychającą staruchą... uważasz, że jestem zupełnie do niczego, i trudno ci się dziwić. Cholera, to całkowicie moja wina, masz rację.

- Wcale nie o to chodzi, nie wydaje mi się, żebym chciał rozwodu, nie jesteś odpychająca, to ze mną coś jest nie w porządku.

Ariana odetchnęła z ulgą, słysząc tak wiele miłych słów naraz, i krzyknęła prawie radośnie:

- Pleciesz bzdury! To mnie wszystko drażni. To ja nie mam na nic ochoty, energii, odwagi.

- Ależ skąd! Jesteś w świetnej formie, wystarczy na ciebie spojrzeć. To ze mnie uchodzi życie.

Młoda kobieta uśmiechnęła się, choć nie powinna.

- Uchodzi z ciebie życie? Na szczęście po raz trzeci dobierasz kulebiaka, to powinno przywrócić ci siły. Ja stoję nad przepaścią.

Hugo obraził się.

- Wybacz, Ariano, ale nie wiem, po co to sobie wmawiasz. Zresztą nie rozumiem, jak możesz być nieszczęśliwa, skoro dzięki mnie żyjesz jak w bajce.

- Słucham? Dzięki tobie żyję jak w bajce? Masz rację, jesteś chory, uważasz się za Donalda Trumpa.

- Bynajmniej. Musisz wiedzieć, że według Piotra najprawdopodobniej czeka mnie wkrótce *mid-life crisis*.

Młoda kobieta zdenerwowała się.

- Ten postrach graczy w golfa na wcześniejszej emeryturze? Tylko redaktorzy naczelni pism dla mężczyzn jeszcze w to wierzą.

Wściekły, podniósł głos.

- Ależ skąd! Mam wszystkie objawy, wyobraź sobie. Wciąż chodzę przygnębiony, nie sypiam już tak dobrze jak kiedyś, dawniej byłem znany z pracowitości, a teraz już mi się nie chce wysilać, nie mam takiej ochoty na seks jak kiedyś. - Triumfującym tonem wymieniał drobne dolegliwości, wyliczając je na palcach.

- Oczywiście, ale ja NAPRAWDĘ mam wrażenie, że palma mi odbija. Na przykład... chciałabym być TOBĄ, wyobrażasz to sobie?

Zaskoczony Hugo długo milczał.

Znów odezwała się Ariana:

- Nie chcę być tobą jako ofiarą *mid-life crisis*, ale tobą jako mężczyzną. Chciałabym żyć tak jak ty.

- Życ tak jak ja, powiedziałaś?

- Kiedy wracasz wieczorem do domu, zazdrozczę ci. Myślę sobie, że miałaś wspaniały dzień, z prawdziwymi wyzwaniem, zamiast rozmieniać się na drobne tak jak ja. Ustabilizowane życie kobiety, akurat! Obecnie moje życie to powtarzające się w kółko obowiązki, które nic mi nie dają. Dzieci, klientki, dom - błędne koło. Żyję jak chomik, który biega po swoim kole z poprzeczkami. Dotąd siedziałam cicho, bo miałam wrażenie, że syndrom niedocenionej mieszczeni nie zasługuje na narodowy komitet wsparcia, ale, sam się przekonałem, to mi się rzuca na mózg. Boję się o ciebie, Hugonie, nie wiem, do czego mogę się posunąć, myślę o moich niekontrolowanych reakcjach. Rozmawiałam z mamą, wspaniale zareagowała, ma się rozumieć. - Westchnienie. - Powiedziała, że według Gertrudy Stein wszystkie ludzkie kompleksy zasługują na uwagę i że musimy ze sobą porozmawiać.

- Masz zajęcie, które lubisz, kochanie...

- Błagam cię, przestań do mnie mówić, jakbym była księżniczką Anną! Hugonie, ja od ośmiu lat wegetuję, moja firma też się nie rozwija, czuję się beużyteczna, całkowicie beużyteczna.

- A dzieci? Możesz się nimi cieszyć do woli...

- Mogę się nimi cieszyć? Akurat! Karmię je, kąpię, odprowadzam na treningi piłki nożnej, na lekcje tańca, opiekuję się nimi, besztam je, pocieszam, dzień w dzień, odkąd się urodziły. One już nawet mnie nie zauważają i, co gorsza, ja ich też. To ciebie dzieci cieszą, bo spędzasz z nimi trzy razy mniej czasu niż ja. Zauważyłeś ich radość, kiedy wracasz z pracy?

Mnie mówią: „Mamo, znów zapomniałaś podpisać stopnie w dzienniczku”.

Hugo spojrział na nią zbity z tropu.

- Myślisz, że ja zawsze bawię się w pracy jak na koncercie Madonny? Też robię wciąż te same nudne rzeczy. Osiemdziesiąt procent czasu spędzam na rozwiązywaniu problemów, a tylko dwadzieścia na stwarzaniu ich innym. Wyobraź sobie, że ja też mam ochotę żyć inaczej... Ariano, skończyłem już czterdzieści dwa lata, nie widzę, jak rosną moje dzieci, prenumeruję dwa pisma dla przedsiębiorców, myślę tylko w kiloeuro, mam ochotę na każdy nowy model audi, chyba już się wypaliłem. Spojrzałem dzisiaj na las za CRH i pomyślałem: „O, promień słońca”. Zamiast dalej negocjować ceny dźwigów z konsolami sterowania ręcznego, zrobiłbym dzieciom niespodziankę i odebrał jedno ze szkoły, a drugie z przedszkola. Wyobraź sobie, że to ja chętnie zamieniłbym swoje życie na twoje.

W Ariane jakby piorun strzelił. Spytała:

- Co nas przed tym powstrzymuje?

Hugo spojrział na nią, ona na niego i oboje zrozumieli, że przy rue du Gai-Pinson dwanaście, w Le Vésinet, departament Yvelines, dzieje się coś wielkiego.

Po raz PIERWSZY mężczyzna i kobieta szykowali się do doświadczenia nad prawdziwą równością w ich związku. Czy świadomość, że są w przededniu rewolucji, sprawiła, że nasi bohaterowie poczuli cykora, zawahali się? W każdym razie po długiej wymianie zdań, kiedy, wydawało się, czas stanął w miejscu i wszystko stało się możliwe, kiedy przepaść braku porozumienia, dzieląca płci, omal nie została zasypiana, Hugo znów się odezwał.

- Koniec wygłupów. Zanim zacznę sprzedawać kolczyki, w naszym domu znów musi być ogrzewanie! Jutro sprowadzę komornika, żeby spisał protokół z opóźnień w remoncie. Di-labault udławi się tymi wszystkimi przewodami.

\*

Z jedną nogą na poręczu schodów, a drugą na piramidzie puszek farby winylowej, niewysoki mężczyzna przymierzał się do ustawienia obiektywu aparatu fotograficznego pod najlepszym kątem. Oszalały z miłości Markiz usiłował wielkimi, nieskoordynowanymi skokami kopulować z nogawkami jego spodni. Po raz kolejny Ariana pomyślała, że Maurycy Cantuis wcale nie wygląda na komornika. Kiedy godzinę wcześniej stanął na progu, w śmiesznej czapeczce na ciemnych lokach, o mało nie spytała: „Pan Said, stolarz? Rychło w czas, spodziewałam się pana trzy tygodnie temu”. Na szczęście nieznajomy ją uprzedził i dzięki temu nie wyszła na pełną rasistowskich uprzedzeń mieszczkę, którą nie była, co to, to nie, słowo honoru. Modulując głos w trochę dziwaczny sposób, jakby był członkiem akademii, od razu sam się przedstawił.

- Pani Marsiac? Jestem Maurycy Cantuis - wymówił „Meurycy Kuntli” - z Francuskiego Stowarzyszenia Młodych Komorników Sądowych. Byliśmy umówieni o dziesiątej, przepraszam, że przyszedłem kilka minut wcześniej.

Zwrócenie się do FSMKS-u było pomysłem Hugona. Na licznych stronach internetowych, poświęconych komornikom sądowym, zwróciło jego uwagę słowo „młodzi”. Czyżby można było tak łatwo odzyskać zainwestowane pieniądze? Zachęcony taką ewentualnością Hugo natychmiast umówił się z zatrudnionym najbliższym przedstawicielem FSMKS-u. Arianie wyjaśnił:

- Lepiej, żeby był młody i energiczny. Będziemy mówić tym samym językiem.

Jak wielu mężczyzn „średniowiecznych”, Hugo, przekonany, że nadal jest nastolatkiem, wciąż podkreślał swoją młodość. Stosując tę samą logikę, stowarzyszenie mające w nazwie słowo „młodzi” też skupiało wyłącznie czterdziestolatków: „chłopak” od nich miał tyle lat, że musiał zapamiętać, co robił w dniu śmierci generała de Gaulle'a. Arianę ten sądowy dzidzius oczarował od progu. Fakt, że przyszedł za wcześnie, też miał na to wpływ. Młoda kobieta była potwornie punktualna, po matce, rzecz jasna, z tą różnicą, że u Lizy nie przerodziło się to nigdy w obsesję. O ile matka była zwyczajnie punktualna, o tyle córka była punktualna chorobliwie. Większość czasu była nawet za bardzo punktualna i stawiała się na spotkania dobry kwadrans za wcześnie. Także wtedy, kiedy usiłowała wyjść z domu spóźniona i starannie wybierała najbardziej zakorkowane jezdnie, zawsze docierała na miejsce pierwsza. Dziwna forma samodreżczenia: być punktualną w świecie niepunktualnych; jako ofiara tego dziwnego, ciężącego na niej przekleństwa spędzała większość czasu, czekając na innych. Nic dziwnego, że od razu poczuła do komornika sądowego sympatię. Bez czapki Maurycy Cantuis już nie przypominał urzędnika ze swojego ministerstwa, który zawiadamia o czynnościach procesowych albo ma dokonać egzekucji... Obejrzał cały dom, kiwając głową. Z nieprzeniknioną miną tybetańskiego bonzy zrobił tonę notatek.

W odróżnieniu od starszych kolegów - wyjaśnił dumny jak kogucik - wszyscy członkowie FSMKS-u używają palmtopów. Po obfotografowaniu każdej szczeliny w ścianie, każdego grzejnika porzuconego na ziemi, wszystkich drzwi wyjętych z futryn, jakby to nie były drzwi, tylko, za każdym razem, skąpo odziana Laetitia Casta, spytał Arianę, czy może z nią porozmawiać.

Młoda kobieta, oczarowana, odpowiedziała na wszystkie jego pytania. Jak wyglądał początkowo projekt? Oprócz budowy werandy trzeba było skontrolować instalację wodno-kanali-

zacyjną, założoną około tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku, zmodernizować instalację elektryczną, wymienić podłogi na parterze, przebudować kuchnię, przesunąć ściany działowe i wygospodarować dwa dodatkowe pokoje na piętrze. W sumie niewiele. Remont zaczął się we wrześniu poprzedniego roku. Miał się skończyć na Boże Narodzenie. Ponad dwa miesiące po przewidzianym terminie pan Dilabault - kierownik budowy, pan Pedro - hydraulik, pan Bouchikrian - malarz, stale występujący w towarzystwie dwóch niemych uczniów, pan Nervo - elektryk, i pan Gonçalvo - murarz, nadal zrzucali winę jeden na drugiego. Od dwóch tygodni twierdzili, że ze sobą nie rozmawiają, i nie chcąc się spotykać, przychodzili na plac budowy na zmianę, co, jak można się domyślić, nie przyczyniało się do lepszej koordynacji prac. Tamtego dnia była kolej pana Bouchikriana - malarza. Maurycy Cantuis uśmiechnął się, bo wymieniając kolejno robotników, Ariana podała dokładnie, w czym który się specjalizuje, tak jakby pan Dilabault był TYM generałem armii, a pan Gonçalvo TYM słynnym pieśniarzem. Z dziwnymi włosami w różnych kolorach, które przypominały sierść zwierzęcia - tylko jakiego? - i z długimi nogami widocznymi spod mini, młoda kobieta wydała mu się naprawdę sympatyczna.

- Naturalnie przewidzieli państwo kary za opóźnienie? - spytał.

- Oczywiście nie. Pamiętam, że wspomnieliśmy o tym na etapie ustalania kosztorysu, ale kierownik budowy, pan Dilabault, stanowczo nam odradził, mówiąc, że to wytworzyłoby niezdrową atmosferę wśród fachowców.

- Jasne, to klasyczny numer, że się tak wyrażę. Nasuwa mi się jedno pytanie. Zatrudniliście państwo kierownika budowy po to, żeby koordynował pracę fachowców, prawda?

- Wiem, do czego pan zmierza. To powinno być zmartwieniem pana Dilabaulta, tak? Od pół roku wciąż mu to powtarzam i oto skutki. Zabawne, mówi pan jak mój mąż. Wie pan, pracuję w niepełnym wymiarze godzin, podjęłam się więc doglądania remontu, ale nie daję sobie rady.

- Nie ulega wątpliwości... proszę się nie gniewać... że okazała pani zbyt dużo zaufania. Nie można pani za to winić. Odkąd mianowano mnie komornikiem, to jest od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku, ani razu, powtarzam: ani razu, nie słyszałem o remoncie, który się skończył w ustalonym terminie. O zamordowanych hydraulikach owszem, tak samo jak o elektrykach, którym wyszarpano wnętrzności, i to o wielu, ale o remoncie wykonanym w terminie - nigdy. W dzisiejszych czasach, z winy robotników, przestaje się wierzyć w ludzi.

Skrzywił się jak kot, który poślizgnął się na rozlanym chlorku.



- Spiszę dokładny protokół, to oczywiste, ale kłopot polega na tym, że w dokumentach brak ostatecznego terminu ukończenia remontu.

Naraz przypomniał sobie, z jakiego zwierzęcia sierścią kojarzyły mu się włosy klientki. Jak one się nazywają, te maleńkie pieski podobne do mioteł? Chihuahua? Nie. Niech to cholera! Mówił więc dalej:

- Ma się rozumieć, umowa ustna też jest wiążąca. Obawiam się jednak, że państwo mają nikłe szanse wyegzekwowania jej na drodze prawnej. Jest inny sposób, nie wiem tylko, czy mogę...

Ariana, zaintrygowana, powiedziała, że może. Maurycy Cantuis, kiedy mówił, miał rozczulający zwyczaj wydymania ust. Kóleczko, które tworzyły, było fascynujące, prawie obsceniczne.

- Jak pani wie, celem Stowarzyszenie Komorników Sądowych jest unowocześnienie image'u naszej profesji, tak bardzo zdeprecjonowanego, niestety! Nie chcemy straszyć biedaków, przynajmniej nie tylko ich. Uważamy za punkt honoru doradzać naszym klientom. Przed chwilą - nawiązał do przerwane go wątku - kiedy robiłem zdjęcia na piętrze, rozmawiała pani z panem Bouchikrianem - malarzem. Całkiem przypadkowo słyszałem waszą rozmowę. Przepraszam za śmiałość, ale taka rozmowa powinna przebiegać całkiem inaczej. Ani przez chwilę nie wierzyłem panu Bouchikrianowi, kiedy mówił pani, że w dwa tysiące drugim roku tak powinno się malować spatynowaną farbą, żeby na ścianach robiły się pęcherze. A pani była... zbyt miła, zbyt ugodowa. Rozmawiała pani... jak kobieta. Żeby nadzorować remont, trzeba być mężczyzną, a jak nie, to kobietą, która zachowuje się jak mężczyzna.

Ariana aż podskoczyła.

- Zaciekawiał mnie pan. Jak takie coś, taka kobieta, która się zachowuje jak mężczyzna, rozmawia z malarzami?

- Spróbuję to wyjaśnić... W pani przypadku... pozwoli pani, że to powiem... przy tak czarującej aparycji nie ma mowy o rozwiązaniach siłowych, bo nic by z tego nie wyszło, ale musi pani wzbudzić szacunek. W budownictwie liczy się tylko ten, kto potrafi wzbudzić szacunek. Mogła pani powiedzieć na przykład: „Bardzo pan dowcipny, naprawdę bardzo. Udał się panu ten dowcip z modą na pęcherze. Ale ja też mam poczucie humoru i jak za dwie godziny te pęcherze nie znikną ze ścian w przedpokoju, to wezmę puszkę farby i wyleję ją na to nowiutkie kangoo. Też pan będzie na czasie w trzecim tysiącleciu z pneumatyczną młotowiertarką w kropki.

- To dobry pomysł: łączyć stanowczość z dowcipem. Jest pan bardzo sprytnym człowiekiem, szcwanym lisem... teraz z kolei pan daruje moją śmiałość - odpowiedziała zamyślona Ariana.

Maurycy Cantuis, zachwycony swoim wystąpieniem, śmiał się tak serdecznie, że aż trzęsły mu się ramiona. Nagle zakłuło w oczy, że jego swobodne zachowanie wcale nie pasuje do surowego wyglądu. Jakby Wim Duisenberg zaproponował partyjkę strip-pokera kolegom z Centralnego Banku Europejskiego.

- Wie pani, jak człowiek od piętnastu lat wchodzi do domów dziesięciu różnym osobom na dzień, to ma lepszego nosa niż po ukończeniu psychologii. Nie wiem, co robić z pani remontem, ale mogę panią nauczyć, co robić, żeby zachowywać się jak mężczyzna. Będzie to w ścisłym związku z programem FSMKS-u! W końcu pierwotnym znaczeniem słowa „komornik” jest „ten, który wdziera się do komory, wyważa drzwi”...

- Może pan zrobić coś więcej. Ma pan wolny wieczór w tym tygodniu? Chciałabym, żeby spotkał się pan z moim mężem.

Maurycy Cantuis usiadł na kanapie, postawionej, z braku podłogi, na czterech przewiązkach. Specjalnie włożył niezobowiązujący strój. „Tak wygląda komornik sądowy we *friday wear*” - pomyśleli Marsiacowie na widok pana w aksamitnym garniturze i brązowym golfie.

Mężczyzna nie wahał się długo z przyjęciem zaproszenia Ariany. Jego zawód nie sprzyjał kontaktom międzyludzkim, opartym na wzajemnym zrozumieniu, ale tej pani w zdewastowanym domu było mu żal. Oglądał już niejedną nieudany remont, ale to, co tu się działo, przechodziło wszelkie wyobrażenia. Oczywiście nie powiedział, że robotnicy, utrzymując dotychczasowe tempo, nie skończą remontu przed czterdziestym dziewiątym tygodniem najbliższego roku przestępnego. Maurycy Cantuis myślał tak, jak mówił, używając zwrotów prawnych i ścisłych sformułowań.

Młoda kobieta zaprosiła go na wpół do dziewiątej wieczorem. Upewnił się: „Dwudziesta trzydzieści, tak?” Zadzwoił do drzwi o dwudziestej trzydzieści jeden, wiedząc, że wypada przyjść z małym opóźnieniem, żeby nie wyciągnąć pani domu z kąpieli. Ariana, której z powodu nerwicowej punktualności nic takiego nie groziło, stała już przy drzwiach, gotowa je otworzyć.

Miała na sobie dopasowane wdzianko i szerokie spodnie w kwiaty, zdaniem komornika okropne. (W rzeczywistości spodnie pochodziły od Marniego, z wyprzedaży, i były absolutnie

rewelacyjne). Co się zaś tyczy reszty, Maurycy Cantuis, jako człowiek niemalostkowy, był gotów potwierdzić na piśmie, że Ariana Marsiac jest bardzo ładną kobietą.

Dwoje jasnowłosych dzieci w wieku szkolnym zbiegło po schodach, a za nimi osobnik około metra osiemdziesięciu pięciu wzrostu, ubrany w lekko wygnieciony garnitur, co nie uszło uwagi Maurycyego Cantuis. Cała trójka grzecznie się przywitała. Mężczyzna zaprosił Maurycyego do salonu, a młoda kobieta poszła na górę położyć dzieci spać. Jej ręce otaczające ich ramiona wyglądały jak ucha amfory. Miała krągłe kształty i była opiekuńcza. „Na dodatek niepozbawiona wdzięku” - pomyślał komornik.

Hugo Marsiac zaproponował drinka. Maurycy poprosił o nieprzyprawiony sok pomidorowy, dodając, że nigdy nie pije alkoholu. Pan domu, najwyraźniej zaskoczony tą wiadomością, usiadł naprzeciw gościa, z kieliszkiem côtes-de-roussillon w rękę, i patrzył na niego bez słowa, ponurym wzrokiem. Maurycy wydedukował, że Hugo musi cierpieć na depresję albo coś w tym rodzaju. Trochę speszony, zaczął się wiercić na kanapie, zastanawiając się, jak by tu kulturalnie zagaić. „Ma pan piękną żonę” mogłoby zostać źle zrozumiane. Postanowił powiedzieć coś miłego o czworonogu, który usiłował porwać na strzępy mankiety jego spodni.

- Jaki sympatyczny zwierzak, chyba bardzo lubi się bawić.

- On nie lubi się bawić, to psychopata. Powiniennem go uśpić jedenaście lat temu, ale żona powiedziała, że jak to zrobić, to każe mnie zastrzelić. Ubóstwia go, nic na to nie poradzę.

Mężczyzna westchnął.

Przez kilka minut rozmawiali o psie. Nie, chów wsobny nie mógł być powodem jego dziwnego usposobienia, bo na pewno Markiz nie należał do żadnej znanej ludziom rasy. Niestety, źródło traumy, jakiej doznał w wieku szczenięcym, pozostało niewykryte: żaden specjalista od psychologii psów nie potrafił odkryć tajemnicy Markiza.

Powrót Ariany został powitany z ulgą przez obu mężczyzn. Zaproponowała, żeby, nie zwlekając, zasiąść do stołu. Podaną na początek zupę - z mrożonych szparagów i topionego sera „Krówka Śmieszka” - nazwaną „krem z główek szparagów”, zjedzono w czasie, który wystarczył na różne uwagi o braku spolegliwości robotników z branży budowlanej, a zwłaszcza murarzy. Przy doradzie w tymianku przyszła pora na bardziej prywatne pytania. Były dziwne, uznał komornik. Czy jest żonaty? Rozwiedziony, ach, tak... Dorosły syn, student prawa. Marsiacowie byli zafascynowani jego zawodem. Musi spotykać ludzi różnego rodzaju; na pewno, zważywszy na jego staż zawodowy, byle co nie jest w stanie go zdziwić, prawda? Maurycy

Cantuis przytaknął. Nie da się ukryć. Gdyby miał w sobie coś z artysty, co, Bogu dzięki, zostało mu oszczędzone, mógłby napisać *Komedie ludzką II*.

Wkrótce komornik sądowy zaczął się zastanawiać, co tu robi. Kiedy tylko otwierał usta, Ariana spoglądała na męża, jakby czekała na jego przyzwolenie. Ten ostatni obserwował gościa z przymkniętymi oczyma, jak handlarz bydła, i nie budził zaufania. Kiedy na stół wjechały seiry, Cantuis nie zdzierzył i spytał:

- Z przyjemnością przyjąłem zaproszenie na kolację, ale wątpię, żeby mnie państwo ściągnęli tylko po to, bym dostarczył protokół z oględzin.

- Zgadza się.

Ariana zaczerpnęła głęboko powietrza i dodała:

- Wydał mi się pan bardzo sympatyczny tamtego dnia, naprawdę. Spodobała mi się pańska wizja, tak rozległa, zawodu komornika i w ogóle świata.

„Cholera, ona mnie prowokuje” - pomyślał Maurycy.

- Wcale się nie znamy - mówiła dalej, jakby nigdy nic, Ariana - ale czuję, że moglibyśmy się świetnie porozumieć. Razem z mężem chcemy panu coś zaproponować. Wydaje się, że ma pan nowoczesne poglądy.

„Otóż to - pomyślał komornik - byłem pewien, że za fasadami mieszczańskich domów kryją się najwstrętniejsze zbrocenia. Chcą mi zaproponować udział w orgii. To obrzydliwe... ale kuszące”.

- Rozumie pan, z powodu tego remontu przeżywaliśmy ostatnio trudne chwile, nasze małżeństwo było zagrożone, ale kochamy się i postanowiliśmy robić, co się da, żeby pozostać razem. Potrzebujemy elektrowstrząsów. Tu pan miałby rolę do odegrania.

„Jeżeli chcą, żebym ich chłostał, odmówię. W każdym razie jej na pewno nie będę chłostał” - postanowił Cantuis.

- Od razu powiem... mogę do pana mówić „Maurycy”?... że to nie był mój pomysł - uprzedzi! go Hugo. - Żona jest osobą o bujnej wyobraźni, ale wszystko ma swoje granice. Zgodziłem się w końcu, bo Ariana mnie przekonała, że to dla nas ostatnia szansa.

„Za chwilę przestaniesz się mądrzyć, kiedy będziesz leżał nagi na tych swoich przewiązkach” - uśmiechnął się w duchu Maurycy.

- Chodzi o to, że mąż i ja chcielibyśmy zamienić się rolami. Przez rok ja żyłabym i pracowałabym jak mężczyzna, podczas gdy mąż zająłby moje miejsce w domu i w pracy. Boimy się,

że sami nie damy rady. Żebym ja mogła stać się mężczyzną, a on kobietą, potrzebujemy trenera. Wybraliśmy pana.

Jak opisać minę Maurycego Cantuis w tamtej chwili? Nie ma słów, które oddałyby ogrom jego zaskoczenia. Powiedzmy, że miał do dziesiątej potęgi minę gracza, który dowiaduje się z transmisji na żywo, że brakuje mu ostatniej liczby do wygrania szóstki na loterii, choć z trafioną piątką zalicza się jednak do grona szczęściarzy.

Maurycy był młodym i błyskotliwym komornikiem sądowym, ale w sumie nie miał zbyt barwnego życia. Wprawdzie należał do najaktywniejszych członków FSMKS-u, ale, tak jak innym urzędnikom tego ministerstwa, dziewięćdziesiąt dziewięć procent czasu pracy zajmowały mu pozwы, wezwania do zapłaty, protokoły, zajęcia majątku dłużników, upomnienia i inne oprotestowania weksli, a tylko jeden procent - czynności nieco zabawniejsze. Marsiacowie złożyli mu najbardziej zaskakującą propozycję, odkąd, przed piętnastu laty, pewna siedemdziesięciolatka chciała mu się oddać w zamian za przemilczenie faktu, że z urzędu przyłapał ją na cudzołóstwie.

Z trudem wyjąkał:

- Dlaczego ja?

- Bo nauczył mnie pan, jak mam rozmawiać z malarzem. - Młoda kobieta się uśmiechnęła. - Po pańskim wyjściu zrobiłam tak, jak pan mówił. Nie minęło popołudnie, i podest został pomalowany od nowa. A nazajutrz zdarzył się cud: wszyscy fachowcy, którzy podobno nie mieli ze sobą kontaktu od czterech tygodni, stawili się o ósmej. Widząc, jaką siłę rażenia ma u komornika podejście psychologiczne, pomyślałam, że mógłby pan nam pomóc. Poza tym czy nie powiedział mi pan, że celem przewodnim waszego stowarzyszenia jest doradztwo? O to nam chodzi.

- Czego dokładnie się po mnie spodziewacie?

- Dwóch rzeczy. Po pierwsze, żeby wystąpił pan jako komornik - włączył się Hugo. - Nasz eksperyment z zamianą ról musi się skończyć trzydziestego pierwszego grudnia. Będzie pan musiał sporządzać comiesięczne raporty z postępów naszego prywatnego „remontu”. Będzie pan wyznaczał nam granice; jako osoba neutralna, czego możemy się spodziewać, zważywszy na pański zawód, będzie pan mówił, czy nie posuwamy się zbyt daleko albo zbyt wolno. Po drugie, co nie znaczy, że to mniej ważne, zostanie pan naszym trenerem w amerykańskim stylu. Musi pan, jako osoba bezstronna, wskazywać nam właściwy kierunek, trenować nas i dodawać otuchy.

- Przede wszystkim należy się upewnić, czy zamiana zawodów jest wykonalna i legalna - dodał zamyślony komornik. - Jak zamienić jedną pracę zawodową na drugą, skoro różnią się one od siebie?

- Oczywiście zastanawialiśmy się nad tym. To nie powinno być zbyt trudne - zapewnił Hugo. - Mam prosperującą firmę i mój zastępca potrafi nią pokierować... do czasu, aż Ariana się wciągnie - dodał, widząc, że żona ma minę strażniczki miejskiej, której obcasy zaklinowały się w metalowej kracie nawiewu z metra.

- Ja - dodała młoda kobieta - pracuję z przyjaciółką, która na pewno na to przystanie. Zgodzi się pan nam pomóc? - spytała prawie nieśmiało, obciążając wdzianko.

Komornik pomyślał, że przypomina uczennicę, która poprawia bluzkę przed wejściem do gabinetu dyrektorki. Uśmiechnął się.

- Jest jeszcze coś, czego nie potrafię zrozumieć: przyjmijmy, że pani Marsiac ma ochotę pełnić bardziej zaszczytną funkcję... - („Co za głupek!” - pomyślała Ariana, lecz mimo to mu nie przerwała) - ...ale pan NAPRAWDĘ chce zostać kobietą?

- Tak. A raczej nie, w znaczeniu, w jakim to się powszechnie rozumie. Nie chcę mieć sztucznego biustu ani robić sobie makijażu; chyba nie jestem transwestytą, rozumie pan, o co mi chodzi?

Cantuis i Hugo wybuchnęli zgodnie głośnym śmiechem, który oznaczał, że „jeden facet z jajami rozumie drugiego”. Zbili tym Arianą z pantałyku.

- Żona i ja nie chcemy zamienić naszych tożsamości, tylko raczej role, stanowiska. Mam dość, rozumie pan, zarządzania i wiecznego wyścigu szczurów. Dzieci rosną, a ja ich prawie nie widuję. Ariana natomiast twierdzi, co wydaje mi się idiotyczne, że nie doceniam jej, bo jako facet jestem tępym. Chciałbym, żeby przez kilka miesięcy ona pobyła tępym facetem, a ja niedocenianą idiotką. W ten sposób lepiej będziemy się rozumieć - dokończył z papieską powagą.

- Rozumiem. Muszę to przemyśleć... Pomoc przy zmianie płci, nawet w sensie przenośnym, nie mieści się w statucie FSMKS-u.

Cantuis długo im się przyglądał. Zamieniać się rolami! Ta para miała nierówno pod sufitem, to pewne. Ale był wystarczająco rozgarnięty, żeby docenić, jakie korzyści może wyciągnąć z tej przygody. Gdyby eksperyment Marsiaców się udał, gdyby zamiana ról mogła przywrócić spokój i harmonię w ich małżeństwie, nieuchronnie byłoby o tym głośno. Media, które wciąż tropią nowe zjawiska społeczne, rozgłosiłyby to wcześniej czy później... A wtedy... A wtedy...



Maurycy przypomniał sobie skwaszoną rzeczniczkę prasową, z którą się skontaktował prezes FSMKS-u, kiedy zaczęli się promować. Było to na początku lat osiemdziesiątych, kiedy wszystkie ważniaczki w jej rodzaju wpinały sobie we włosy wielkie czarne kokardy. Dziewczyna potrząsnęła swoim alzackim czepkiem, mówiąc:

- Nie mam zwyczaju rezygnować z klientów, ale powiem szczerze: nie potrafię sprawić, żeby wasza profesja była postrzegana z sympatią. Jeżeli nie macie takiego budżetu jak NASA, nigdy wam się to nie uda.

Być może wybiła godzina zemsty. Maksimum zysku przy minimum kosztów. Maurycy już sobie wyobrażał, jak udziela wywiadu: Mireille Dumas\*, z głową całą w lokach i łakomymi ustami, dopytuje się o tajemnicę jego sukcesu. „Komornik wyrzuca na bruk małżeńskie niesnaski” - brzmiałby tytuł artykułu w „Le Mondzie”, zamieszczonego na stronie „Horyzonty”. Byłby chlubą komorników. Jean Luc Bilâtre, prezes, który zawsze patrzył na niego jak na karalucha w zlewie, klepałby go po plecach, mówiąc: „Ach, ten Maurycy, to dopiero...”.

\* Popularna dziennikarka telewizyjna.

- Dobrze, zgadzam się - odpowiedział z powagą. - Jestem bardzo wzruszony, że obdarzyliście mnie zaufaniem.

Pod koniec wieczoru dobili interesu. Znacznie wcześniej zarzucili ceremonialne „proszę pana, proszę pani” i zaczęli mówić sobie po imieniu. Maurycy nabrał animuszu po kieliszku nalewki z gruszek - absolutny wyjątek od abstynencji, jak zapewnił, ale przy takiej okazji... - wyznał, że koledzy mówią do niego Momo, i spytał Marsiaców o zdrobnienia ich imion. Ariana zapewniła go, że nikt nie zdrabnia ich imion, broniąc się w ten sposób przed „Riri”, sugerowanym jej z zapalem przez komornika.

Mężczyzna wypił mało, ale jak na niego za dużo. Kiedy się żegnał, powiedział z trudem:

- Muszę wam coś wyznać. Nie jestem wcale tym, za kogo mnie bierzecie. Jeżeli mamy współpracować przez dłuższy czas, powinienem wyłożyć karty na stół. Naprawdę jestem komornikiem sądowym, ale nie nazywam się Maurycy Cantuis, tylko Mohamed al-Kantoui. Jestem Francuzem, lecz moi rodzice są Marokańczykami i wychowali mnie w wierze muzułmańskiej. Z oczywistych powodów wołałem w życiu zawodowym używać pseudonimu.

- Dlaczego? - zdziwiła się młoda kobieta. Komornik uśmiechnął się smutno.

- W moim zawodzie, Ariano, Arabów widuje się raczej po drugiej stronie drzwi.

- Jak mogłeś pomyśleć, że dla nas stanowi to jakąś różnicę? - zachnął się jej mąż. - Wiemy naszego marokańskiego trenera!

Hugo mylił się jednak, sądząc, że to nie stanowi żadnej różnicy. Wkrótce miał się przekonać, że trener w stylu amerykańskim i trener w stylu marokańskim to nie całkiem to samo.

Nazajutrz, z powodu kieliszka nalewki z gruszek, Maurycy Cantuis obudził się z głową jak w diademie z nakrętek. Zaprzął się jednak odważnie do swojego nowego zadania. Trochę się wstydził dać raport do napisania dependentowi, więc zrobił to sam. Oto pismo, które Marsiacowie otrzymali wkrótce potem pocztą:

Laboueuse-sur-Seine,

28 lutego 2002

Mecenas Maurycy Cantuis

Komornik sądowy

Członek kierownictwa FSMKS-u

Avenue de Longuepeine 16 78 900 Laboueuse-sur-Seine

Drodzy Państwo,

w następstwie naszego spotkania w dniu 27 lutego br. przekazuję Państwu trzyczęściowy raport, podzielony w sposób następujący:

#### 1. Cele

Z powodu sprzeczki małżeńskiej o charakterze ściśle prywatnym, ale prawdopodobnie mającej związek z poważnymi niedoróbkami zaistniałymi podczas zleconego przez Państwa remontu, oddanego pod nadzór pana Dilabaulta, przedsiębiorcy budowlanego (patrz załączony protokół z oględzin, sporządzony przez niżej podpisanego w dniu 26 lutego br.), zwrócili się Państwo do nas celem przeprowadzenia pionierskiego eksperymentu socjomalżeńskiego. Swoim „coachem”(sic), chociaż „Le Journal Officiel” zaleca określenia „trener” lub „akompaniator”, osobiście ustanowili Państwo mnie, to znaczy mecenasa Maurycego Cantuis, komornika sądowego w Laboueuse-sur-Seine. W ramach naszej umowy powinienem pełnić tę funkcję przez dziesięć miesięcy z rzędu, licząc od dnia dzisiejszego. Moje wynagrodzenie stanowi zryczałtowana kwota 10 000 euro (słownie: dziesięć tysięcy) brutto, płatna w dwóch ratach, pierwsza po podpisaniu umowy, a druga po złożeniu ostatniego raportu. Zlecenie obejmuje dwa uzupełniające się zadania:

A. Podsumowanie comiesięcznym raportem kolejnych etapów doświadczenia i - po ostatecznym wykonaniu zlecenia w dniu 31 grudnia 2002 roku - przekazanie moich wniosków w dwóch egzemplarzach.

B. Jednoczesne przekształcenie pana Marsiaca Hugona, urodzonego 7 grudnia 1960 roku w Levallois-Perret, w osobnika reprezentującego wszystkie cechy charakterystyczne dla zachowań kobiety, a jego żony, pani Marsiac Ariany, z domu Honfleur, urodzonej 3 lipca 1966 roku w Boulogne-Billancourt, w mężczyznę.

## 2. Sposób postępowania

Zleceniobiorca zobowiązuje się niniejszym do czynienia co w jego mocy celem pomyślnego przebiegu doświadczenia. Niemniej odnosi się to do prowadzenia eksperymentu, a nie do jego wyników, i gdyby przypadkiem panu Hugonowi Marsiacowi nie udało się stać kobietą lub gdyby jego małżonka, z domu Honfleur, napotkała zbyt wielkie trudności, stając się mężczyzną, ich coach/trener/akompaniator nie będzie za to odpowiedzialny, ponieważ jego rola ogranicza się wyłącznie do porad dotyczących ich zachowań. Wykonalność, z prawnego punktu widzenia, zamiany zawodów obciąża jedynie zleceniodawców: jeżeli nie będą mogli, z powodów materialnych lub technicznych, kontynuować swoich nowych zajęć do wymienionej powyżej daty, rola zleceniobiorcy ograniczy się do zwykłej porady prawnej. Skądinąd rezygnacja jednego z małżonków Marsiaców zakończy doświadczenie, ponieważ zleceniobiorca może wykonać swoje zadanie jedynie przy pełnej zgodzie wszystkich stron Umowy.

## 3. Realizacja

Umowa, nazwana „eksperyment Marsiaców”, będzie realizowana od dnia jej podpisania. Zobowiązuje ona każde z małżonków do osobistego wkładu pracy: przez pierwszy miesiąc, w poniedziałek, będą oni otrzymywać spis zadań do wykonania. Każdej środy udam się osobiście do ich miejsca zamieszkania celem oceny osiągniętych postępów i - w razie potrzeby - zmiany rodzaju lub ilości przydzielonych im indywidualnie zadań. Zleceniodawcy zobowiązują się wstępnie do spełniania poleceń zleceniobiorcy.

Pod koniec pierwszego miesiąca zostanie sporządzony pierwszy raport podsumowujący wykonane zadania. Posłuży on jako odniesienie w następnym miesiącu. Dla przykładu podaję poniżej instrukcje na pierwszy tydzień:

5 marca: badania indywidualne. Celem ustalenia, kim jest mężczyzna, a kim kobieta, państwo Marsiacowie będą musieli, każde ze swojej strony, ustalić listę zachowań charakterystycznych dla obu płci.

Jeżeli praca indywidualna zostanie oceniona pozytywnie, miesiąc później, to znaczy 1 kwietnia, rozpocznie się właściwy eksperyment Marsiaców, z rzeczywistą zamianą zawodów, funkcji i rozkładów zajęć.

Uprzejmie proszę o podpisanie każdej strony dokumentu, a także o poprzedzenie podpisów końcowych pisemnym oświadczeniem: „Przeczytano i zatwierdzono”.

Sporządzono w Laboueuse-sur-Seine, dnia 28 lutego 2002 roku, w trzech egzemplarzach.

## 3

### Marzec

*Za marcową niepogodą wiosna się czai.*

mądrość ludowa

Z dużej papierowej torby bez żadnych napisów Momo wyjął plik pism kobiecych i około tuzina dzieł, które chyłkiem nabył tamtego ranka w księgarni: *Mężczyźni są z Marsa, kobiety z Wenus, Czego chcą mężczyźni, Kobiety i ich pragnienia, Zrozumieć wreszcie mężczyznę, Dwanaście przykazań, jak uszczęśliwić kobietę, Jak uatrakcyjnić wasz związek - dla niezdolnych.*

Komornik po raz pierwszy miał w ręku takie książki. Ciekawe, że przypomniał sobie wtedy o swojej żonie Annie Marii. Coś takiego zdarzało mu się tylko trzydziestego każdego miesiąca, kiedy wypisywał czek z alimentami. Zadał sobie pytanie, co by się stało, gdyby zgodził się na terapię małżeńską, której na próżno domagała się jego żona dziesięć lat wcześniej. Westchnął, po czym rozsiadł się wygodnie w jednym z foteli w stylu Karola X, zamawianych hurtowo przez Stowarzyszenie Komorników Sądowych („nadają bardziej dynamiczny image niż fotele w stylu Ludwika XVI”, jak zachwalał okólnik Stowarzyszenia), i zaczął robić notatki. W miarę lektury miał wrażenie, że dostał się do innego świata, zamieszkanego przez szarych ludzików wykonujących dziwny zawód psychoterapeuty, bandę pajaców gotowych wyciągnąć ostateczne wnioski ze sposobu, w jaki wieszka się ręczniki na suszarce. Wszystko to mocno go wkurzało. Ale, jak zawsze u niego, sumienność zawodowa wzięła górę. Zapomniał nawet o poleceniu zajęcia, które miało się odbyć o dziesiątej piętnaście.

Gdyby nie wstrzyknięty botoks, Ariana chętnie zmarszczyłaby czoło. Przykładnie, jak mała dziewczynka, już prawie kończyła swoje zadanie. U góry pokratkowanego arkusza napisała szpiczastym pismem:

*Lista rzeczy, które robią mężczyźni, a my nie:*

- nie wiedzą, gdzie się podziały niebieska koszula i czarne buty, ale mają to w nosie;
- nie wiedzą, gdzie w żelazku jest zbiornik na wodę, i mają to jeszcze głębiej w nosie;
- umieją rozmawiać z kimś, kto sprzedaje coś z silnikiem w środku;
- mylą Bena Afflecka z Benem Stillerem;
- ściskają pilota w dłoni jak najmłodsze dzieci grzechotki i inne zabawki;
- nigdy nie mówią o swoich uczuciach;
- śmieją się, potrząsając ramionami;
- w domu potrafią zlokalizować w rekordowym tempie tablicę elektryczną i zawory zamykające dopływ wody;
- myślą o seksie trzy razy w ciągu kwadransa (źródło, Shere Hite, „Marie Claire”, listopad 2002);
- prowadzą samochód jedną ręką, trzymając dłoń płasko na kierownicy, i umieją naśladować odgłosy silnika;
- wciąż się boją, że się nie sprawdzą jako mężczyźni;
- myślą, że zawsze „musi być jakieś rozwiązanie”;
- przy najmniejszej sprzeczce wstają i wychodzą z pokoju;
- zasypiają nagle około dwudziestej drugiej trzydziści i czasem budzą się dwie godziny później, gdy właśnie zasypiają ich żony;
- są czuli na pochlebstwa;
- wrzeszczą na telewizor, jeżeli nie zgadzają się z sędzią sportowym;
- ubóstwiają seriale telewizyjne, zwłaszcza te z kosmitami albo z gliniarzami filmowanymi szalejącą kamerą;
- pękają z dumy, mówiąc: „W domu bardzo POMAGAM żonie”, i nie zdają sobie nawet sprawy, do jakiego stopnia czasownik POMAGAĆ jest w tym kontekście macho. Czy ktoś kiedyś słyszał, żeby jakaś facetka mówiła: „Jestem nowoczesna, uważam za punkt honoru pomagać mężowi zajmować się dziećmi podczas weekendów”?

W porównaniu z Arianą Hugo nie zabłysnął. Napisał zaledwie: *Lista rzeczy denerwujących u „babeczek”*:

- mają w łazience trzydzieści dwa kosmetyki, ale używają czterech;
- są w złym humorze wiele dni w miesiącu, na pytanie „dlaczego?“, odpowiadają: „Nie jestem w złym humorze i mam cię gdzieś“;
- rozmawiają godzinami przez telefon, żeby przekazać jedną informację;
- opowiadają o swoich porodach;
- potrafią oglądać do końca na kanale Teva programy, w których inne kobiety porównują stosowane przez siebie samoopalacze;
- czytają artykuły pt. „Jak uratować swoje małżeństwo przy pomocy jiu-jitsu“;
- trzymają przyrządy kuchenne w idiotycznych miejscach.

Kiedy rozległ się dzwonek do drzwi, zerknął ukradkiem na pracę Ariany i dopisał w pośpiechu:

- lubią oglądać filmy w telewizji, zwłaszcza takie z przystojniakami przebranymi za Tybetańczyków, a kamera nawet nie drgnie przy zbliżeniach, które trwają osiem godzin;
- robią dwie rzeczy naraz.

(Jego żona redagowała swoją pracę pisemną, wrzeszcząc jednocześnie: „Ile jest siedem razy osiem?“, do syna, który się kąpał na piętrze).

\*

Momo miał wejście w wielkim stylu. Wymachując dwiema olbrzymimi torbami, wyglądał, jakby spłynęła na niego łaska.

- Nie bójcie się, nie wprowadzam się do was, tylko przynoszę materiały naukowe! - krzyknął radośnie, stawiając z impetem swój bagaż na terakocie w przedpokoju. Rzucił się na Ariane, pocałował ją głośno w oba policzki i zdziwił się na głos: - Bomba! Ten top to Cardin, kotku?

Ariana miała oczy wielkie jak Galeries Lafayette. Czyżby dwa dni wystarczyły, żeby komornik sądowy zmienił się w *fashion victim*? Gdyby Momo nie rzucił nazwiska słynnego krawca, który już wyszedł z mody, i na przykład powiedział: „Super ten twój twin-set z cekinami od Véronique Branquinho“, chyba zemdląłaby z wrażenia.

Tymczasem Cantuis zdążył odwrócić się do Hugona i spytał:

- Jak praca domowa? Dużo napisałeś? Pokaż szybko. Hugo udawał, że nie zauważył nagłego przejścia na „ty“.

Dał Maurycemu kartkę, którą ten przeczytał, marszcząc brwi.



- Dobrze, że chociaż spróbowałaś. - Uśmiechnął się. Za to aż gwizdnął z podziwu, czytając pracę Ariany.

- Ekstra, kotku, zrobimy to jeszcze raz, ale chyba już zaczynasz rozumieć, o co chodzi.

- Maurycy, bardzo cię lubię, ale nie mów do mnie „kotku”. Wybuchnął śmiechem.

- Ariano, jestem pewien, że wszystkie twoje koleżanki mówią do ciebie „kotku”, „koteczku” albo „kocie”. Powiedziałem „kotku”, bo chciałem ci udowodnić, że potrafię przeniknąć do twojego rozkosznego świata kobiet, moja panno.

Zatarł ręce, zadowolony z siebie. Lektura kącika z serduszkami czytelniczek pisma „Files” dostarczyła Maurycemu-Mohamedowi informacji, która wprawiła go w zachwyt: jak tylko kobiety zaczynają się lubić, od razu nadają sobie kocie przyzwiska. Boki zrywać. Czy mężczyźni muszą przystrajać swoje męskie przyjaźnie jakimiś odzwierzęcymi przyzwiskami? Żaden facet nie powie do swojego kumpla „ty wieprzu” albo „ty świni”. Ale pał sześć semantykę porównawczą, jest tu służbowo.

Sam też się napracował. Powiedział tak, jakby podśpiewywał:

- Oto wynik tygodnia żmudnych poszukiwań. Nabyłem, co trzeba, przeczytałem od deski do deski i chociaż nie jest to powód do dumy, wszystko zrozumiałem. Nie liczyłem się z czasem, ale chyba się opłaciło.

Wręczył swoim klientom odbitki ksero, tak jak się daje hostię.

Wzięli się do lektury. Wyglądało na to, że Ariana więcej rozumie niż Hugo. Czytała, owijając sobie pasma włosów wokół palca i posapując z aprobatą. Jej mąż po przeczytaniu dwóch stron rzucił plik kartek na niski stolik i mruknął:

- Nic nie rozumiem z tej gadaniny o falach i sprężynkach. Możesz to przełożyć na ludzki język, Momo?

Mohamed-Maurycy wymierzył w Hugona palec wskazujący jak dziekan z Sorbony na wykładzie dla doktorantów.

- „Fale i sprężynki” to teoria Johna Graya, wyłożona w jego książce *Mężczyźni są z Marsa, kobiety z Wenus*. To bestseller, który można określić jako połączenie Biblii z Koranem. Gray zbił majątek; ma w całych Stanach odczyty, na których głosi dobre słowo. Twierdzi, że kobiety są jak fale, ich nastroje się zmieniają i nie trzeba się tym przejmować. Faceci są raczej jak sprężynki, mogą się rozciągać do granic możliwości i wracać do pierwotnej postaci. Tym też nie trzeba się przejmować. Genialne, co?

- Hmm...

- Musisz z tego zapamiętać, Hugonie, że mężczyźni i kobiety nie są do siebie podobni. Wcale. Wszyscy specjaliści są co do tego zgodni. W *Gdyby mężczyźni potrafili mówić* psycholog Alan Gratch w zrozumiały sposób wyjaśnia, że ulegamy innym emocjom, co z kolei prowadzi do nieporozumień, a w *Jak atrakcyjnie wasz związek* doktor Ruth, seksuolog, nie znajduje dość mocnych słów na określenie partnerów, którzy nie Potrafią stworzyć klimatu empatii, niezbędnego do...

- Przepraszam cię, Momo, ale nie jestem pewna, czy Hugo nadaża - przerwała Ariana. - Zmierzaj prosto do celu.

- Dobrze. Po wglębieniu się w dwanaście dzieł dokonałem syntezy. Znajdziecie ją na ostatniej stronie mojego opracowania.

Rzeczywiście, na ostatniej stronie ksero Marsiacowie odkryli tabelę zbiorczą. Pionowo, dwie kolumny: mężczyzna i kobieta. Poziomo, trzy linijki, cechy charakterystyczne ponumerowane od jedynki do trójki. Pod „mężczyzną” można było kolejno przeczytać: „Nie mówi”, „Nie chce mówić” i „Potrafi być nonszalancki”. Pod „kobietą” było napisane: „Dużo mówi”, „Ma ochotę mówić jeszcze więcej” i „Potrafi być frywolna”. Hugona i Arianę najbardziej zaintrygowały określenia z ostatniej linijki obu kolumn. Ku ich zdziwieniu Momo bardzo się z tego ucieszył i wyjaśnił:

- Nonszalancja i frywolność? To moja własna teoria. Nawet mi się podoba.

W tym momencie muszka przelatująca przed oczyma komornika mogłaby dostrzec w jego oczach pół tuzina napisanych *petitem* tytułów: *Nonszalancja i frywolność - klucz do udanego związku*, *Nonszalancja i frywolność raz jeszcze*, *Nonszalancja i frywolność w łóżku* itd., a także sale konferencyjne wypełnione po brzegi czytelniczkami, które dyszą z przejęcia, odkrywając tak wrażliwe serce i tak wnikliwy umysł, dziesiątki tysięcy osób gotowych zapewnić mu sławę i pieniądze. Okaże się, że zrzędzeniem losu francuski John Gray wywodzi się z marokańskich emigrantów. Jaka okazja do rewanzu dla niewyrośniętego chłopca, który nie podobał się dziewczynom, bo miał zbyt kręcone włosy, dla mężczyzny odrzuconego przez żonę z powodu przywiązania do religii ojców, który nieraz słyszał: „Pamiętaj, że to nie Maroko. Biedny Momo, nigdy nie zrozumiesz kobiet!” Na te wspomnienia komornikowi uśmiech zamarł na ustach. Wziął się jednak w garść i rozwinął swoją teorię.

- Nonszalancja u mężczyzny i frywolność u kobiety. W moim odczuciu na tym polega prawdziwa różnica między jedną płcią a drugą. Weźcie mężczyznę: chce, żeby dać mu spokój. Jest nonszalancki. Nie spieszy się, żeby oddzwonić do dziewczyny, żeby się ożenić, mieć dzie-

ci, schować swoje skarpetki, skończyć sprawozdanie o wpływie przejścia na euro na dochody drobnych kupców. Dlatego nigdy nie zakręca tubki z pastą do zębów. Nieliczni mężczyźni, którzy nie mają tej odruchowej zdolności rozluźniania się, tęsknią jednak za luzem. Za to kobiety bardzo rzadko wykazują autentyczną nonszalancję. We wszystkim dążą do perfekcji. Zastanawiają się, zadają sobie pytania: „Czy w moim małżeństwie wszystko jest w porządku? Czy wybrałam dobrą szminekę do ust? Czy mój mąż nie wrócił o dziewiętnastej trzydzieści dwie dlatego, że wpadł pod ciężarówkę, czy, co gorsza, dlatego, że mnie zdradza? Co potrafię?” Nieliczne kobiety, autentycznie nonszalanckie, które za późno odbierają dzieci ze żłobka albo w rok po przeprowadzce nie potrafią się zdobyć na powieszenie zasłon, czują się winne. Na szczęście mają do dyspozycji ten cudowny wynalazek, o którym dowiedziałem się nie dalej niż wczoraj, czytając prasę kobiecą: jest nim frywolność. Żeby uciec od minimalnej skłonności do nonszalancji, kobiety wykorzystują swoją wielką skłonność do cieszenia się z rzeczy, które ich partnerom wydają się śmieszne.

Momo pomachał wycinkami z gazet i mówił dalej: - Wybrane na chybił trafił w ostatnim numerze „Elle”. Stwierdziłem, że zarówno „sandalki retro”, jak i „spódnica w kolorze pudru, uszyta ze skosu”, a także „szminka powiększająca usta” - są w stanie uszczęśliwić kobietę. Mężczyzna nie wie, czym jest stan radosnego oszołomienia, wywołany parą różowych kolczyków w kształcie gwiazdek, nabytą za niecałe pięćdziesiąt euro. Nawiasem mówiąc, spółka Ariany nieprzypadkowo nazywa się „F jak Frywolna”. Kobiety wykazują szósty zmysł, trafiając w sedno. Mówię poważnie: frywolność jest przymiotem kobiet, a nonszalancja mężczyzn. Osoba, której udałoby się zrozumieć albo, co lepsze, opanować cechy charakterystyczne dla drugiej płci, osiągnęłaby globalną świadomość psychologicznego wszechświata istot ludzkich. To właśnie wam proponuję.

Socjologowie mają słynną formułę: „Przynależność do środowiska określa możliwości poznawcze”. Wynika z tego, że w określonej sytuacji prawda ujawnia się tylko tym, którym na niej nie zależy. Rozwijając swoją teorię o nonszalancji i frywolności, komornik, który o psychologii małżeństwa wiedział tyle, co lemur o zmieniającej się koniunkturze na rynku dzieł sztuki współczesnej, odkrył, być może, kamień filozoficzny małżeństwa. W każdym razie Maurycy Cantuis nie miał wątpliwości, że dokonał wielkiego odkrycia. Oczywiście złośliwi mogliby powiedzieć, że jego mętna teoria sprawdziłaby się również przy odwróceniu dwóch głównych pojęć: czy kobieta nie traktuje nonszalancko debetu na koncie, a mężczyzna nie staje się ewidentnie frywolny na widok dziewczyny w mini, zwłaszcza czternastego sierpnia, kiedy

małżonka bawi z dziećmi w Tréport? Na szczęście można się nie przejmować złymi językami. Jako ludzie rozsądni, Marsiacowie woleli interesować się tymi, którzy, podobnie jak Momo, próbują wprowadzić coś nowego, podejmują ryzyko. Jego teoria zyskała więc aprobatę żony i męża.

Ariana wybuchła śmiechem i wtuliła się w swojego Hugona, siedzącego przy niej na kanapie.

- Kochanie, jutro kupisz sobie srebrne sandały i farbę do robienia pasemek w domu. Zobaczysz, jaki staniesz się frywolny. Mnie za to bardzo odpowiada nonszalancja.

Momo surowo przywołał ją do porządku.

- Hola, panienko! - Momo należał do tych, którzy mówią „panienko” do trzydziestolatek, co wcale im nie pochlebia, bo cuchnie na kilometr tanim chwytem stosowanym przez sprzedawców i z marszu nadaje poniżający status „osób mogących więcej kupić niż panienki, którymi już być przestały. - Nie chodzi o przebranie tego biedaka za królową disco, tylko o poszerzenie jego horyzontów. Trzeba teraz sięgnąć po mój zestaw szkoleniowy.

Otworzył pierwszą walizkę. Zawierała książki, pisma ilustrowane, kasety i DVD.

- Hugonie, to narzędzia niezbędne do zrozumienia, co się dzieje w kobiecej głowie. Początkowo było tego ze trzy przyczepy - wybuch śmiechu obu mężczyzn - ale czas nagli i wybrałem tylko najważniejsze. Jest to komplet kaset *Seks w wielkim mieście*, dwie płyty Juliána Clerca, DVD *Ćwicz z Cindy Crawford*, wybór najlepszych fragmentów telesklepu z RTL 9 („Okazuje się, że żadna kobieta nie jest odporna na telesklep w RTL 9. Zarówno te bardzo bogate, jak i te biedne, nawet jeżeli nienawidzą czyszczenia sreber albo ich nie mają, jak widzą kamień do czyszczenia sreber, muszą go kupić, bo inaczej umrą”), osiemsetstronicowy poradnik *Wychowuję moje dziecko razem z Edwige Antier*, osiemsetstronicowy poradnik *Doskonałą swoją kuchnię*, osiemsetstronicowy poradnik *Kurzawki w górę*, specjalny dodatek „Elle” o odchudzaniu, specjalne wydanie „Vogue'a” o modzie („Wiem, że jak wszyscy mężczyźni przeglądasz te pisma, ale teraz proszę cię, żebyś je zaczął czytać, przesiąkł nimi, potrafił się wypowiedzieć na temat ich zawartości. Rozumiesz, co do ciebie mówię, Hugonie?”). Jest także karta stałego klienta perfumerii Marionnaud („Możesz jej nie używać, ale musisz ją mieć przy sobie zamiast karty Speedy, zgoda?”).

Oburzona Ariana krzyknęła, że taka wizja kobiet jest po prostu przerażająca, że ona nie czyta wyłącznie strony poświęconej numerologii w piśmie „Jalouse”, ale komornik ją uspokoił:

- Ciii, Hugo nie ma stać się tobą, on musi się zaznajomić z dziedzinami kobiecymi w znaczeniu ogólnym. Poza tym ja tu rządę, samico.

Momo, najwyraźniej w dobrym humorze, roześmiał się jak pijany drwal.

Jak można się spodziewać, zestaw dla Ariany mieścił się w niewielkiej torbie. Mężczyźni nie potrzebują całych ton akcesoriów, a poza tym kobiety spędzają tyle czasu, drapiąc się w głowę i zastanawiając, co się kryje w męskich umysłach, że Momo miał dwa razy mniej roboty. Młoda kobieta nie zdziwiła się zatem, wypakowując alfę i omegę męskiej próżności: wielofunkcyjnego pilota, obsługującego telewizor, kablówkę, radio, bramę, klimatyzator i komputer pokładowy w samochodzie.

Cantuis obejrzał łupy swoich klientów, wyłożone na niskim stoliku, i oświadczył:

- Kiedy nauczycie się tym wszystkim posługiwać, dacie sobie wszędzie radę. Wrócę za tydzień i rzucę was na głęboką wodę.

Oficjalna data rozpoczęcia eksperymentu została wyznaczona na pierwszy kwietnia. Coaching, jak wiemy, przebiegał prawidłowo. Pozostała jedynie formalność: zawiadomić o eksperymencie współpracowników, rodzinę oraz znajomych Ariany i Hugona. Niby nic, ale na samą myśl o tym jedno z nich traciło ochotę na nonszalancję, a drugie na frywolność, za to oboje czuli strach sięgający mroku dziejów. Postanowiono działać szybko, przez zmasowany ostrzał. Znajomi Marsiaców znali i - ma się rozumieć - cenili Lizę: zaproszono ich więc razem z nią na piątkowy wieczór, żeby poinformować wszystkich jednocześnie. Jedynie Nicarda i Zofię, swoje przyszłe prawe ręce, Ariana i Hugon postanowili zawiadomić bez świadków.

Tamtej nocy zasnęli przytuleni do siebie, jedno obok drugiego, jak łyżki leżące w szufladzie. Nie zdarzyło im się to już od dawna.

Audi wydało z siebie radosny odgłos, kiedy Hugo nacisnął immobiliser, żeby zamknąć drzwi samochodu. Idąc przez parking Totalwynajmu, mężczyzna poczuł ból na myśl, że niedługo będzie musiał przesiąść się z tego cuda do opla żony. Przypomniawszy sobie różową, powgniataną karoserię samochodu Ariany i wielką dłoń ścisnęła mu serce. Żegnajcie, miękka skóra i aksamitne amortyzatory, zastąpione minipojazdem do przewozu bydła na rzeź, z twardymi siedzeniami, syntetyczną wykładziną pokrytą sierścią Markiza. Ale nie miał wyboru. Rano spytał przymilnie żonę:

- Kochanie, czy mogę zatrzymać moje A sześć?

Odpowiedziała mu takim samym tonem:



- Śmieszne, mówisz jak ten facet z reklamy, który chce podprowadzić samochód żonie, tyle że jest na odwrót. Zgiń, przepadnij, podstępna samico.

Hugo, zdenerwowany jak panna młoda rankiem w dniu ślubu, podszedł do Nicarda popijającego „dużą z cukrem” przy automacie do kawy. Adolf, widoczny z daleka w swoim garniturze w prążki, podał mu kubek „małej bez cukru”.

- Wielka nowina, Hugonie. Dostarczono wycinarki do trawników, są rewelacyjne, zobaczysz, rzucają na kolana.

- Musimy porozmawiać, Adolfie.

Godzinę później w gabinecie Hugona Nicard, blady jak ściana, próbował podsumować sytuację. Jeżeli dobrze rozumie, szef ma zamiar wziąć kilka miesięcy wolnego z powodów osobistych, w które on, Nicard, nie chce wnikać. Od następnego poniedziałku Ariana zastąpi w Totalwynajmie Hugona, który liczy, że ułatwi jej to zadanie jego prawa ręka. Pracownikom powie się, że szef jest w Stanach, gdzie rozgląda się za ewentualnymi współnikami wśród amerykańskich kolegów z branży. Adolf, głosem ściśniętym ze wzruszenia, dodał:

- Hugonie, pracujemy razem od piętnastu lat. Aż za dobrze wiem, jakie są te twoje osobiste powody. Od miesiący wydajesz się nieobecny. Jesteś chory i musisz się leczyć, tak?

Marsiac uznał, że lepiej nie wyprowadzać Nicarda całkowicie z błędu. Tak, wydarzyło się coś, o czym nie chciał mówić, ale nie ma co się przerażać jego stanem. Tylko Nicard, który cieszy się jego całkowitym zaufaniem, będzie znać prawdę: cały ten czas, aż do końca grudnia, Hugo spędzi u siebie w Le Vésinet. Znow zaczął mówić o nowej roli Ariany.

- Trzeba będzie jej pomóc. Moja żona jest samoukiem. Tak jak my. Ale dziedzina, którą dotąd się zajmowała, jest dość odległa od naszej.

- Odległa? Jak bardzo? Przepraszam cię, Hugonie, spotkaliśmy się kilka razy, twoja małżonka i ja, ale nie mieliśmy okazji porozmawiać o jej pracy. Wyobrażam sobie, że skoro zajmie twoje miejsce, musi mieć gruntowną wiedzę o kierowaniu firmą, o managementcie.

Marsiac mruknął:

- Ona sprzedaje biżuterię. Sztuczną. W domach klientek, ze swoją najlepszą przyjaciółką.

Adolf Nicard miał nerwowy tik i jego prawa ręka sama zakreśliła na piersi niedokończony znak krzyża.

Zofia Baignon o mało nie zakrztusiła się sałatką z pomidorów i krewetek. Bardziej od tego, co usłyszała, rozbawiły ją miny zebranych wokół stołu gości. Twarz Piotra przypominałaby marmurowy głaz, gdyby nie przebiegały jej dreszcze obrzydzenia. Liza Honfleur wyglądała



dała, jakby zupełnie nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała, i w milczeniu wykręcała swój wi-  
siołek z juty - dzieło spółdzielni Peruwianek, włączonych do struktury handlu na równych wa-  
runkach. Pozostali goście wymieniali wymowne spojrzenia, świadczące o tym, że nie zostawiają  
na Marsiacach suchej nitki, jak tylko rozejdą się do swoich samochodów.

W rzeczywistości Zofia dowiedziała się wcześniej. Poprzedniego dnia, w drodze po-  
wrotnej do pracowni, Ariana wyłożyła jej cały plan. Swojej najlepszej przyjaciółce i współ-  
niczce musiała pierwszej powiedzieć tę sensację. Gdyby Zofia nie zgodziła się wziąć Hugona  
na staż, eksperyment nie mógłby się udać.

Zofii w pierwszej chwili pomysł wydał się nierealny.

- Nie wątpię, że wynajem maszyn budowlanych w ilościach hurtowych prowadzi prosto  
do sukcesu, za to nie bardzo wiem, na co twój mąż przydałby mi się w pracowni.

Ariana zaprotestowała:

- Hugo jest najlepszym sprzedawcą w zachodniej części wielkiego Paryża! Sprzedałby  
lokówkę papieżowi albo dudy do grania zającowi, gdyby tylko chciał. Poza tym wyobrażasz so-  
bie, jaki szok przeżyją klientki, kiedy ten cud natury wejdzie do ich salonów? Wystarczy, że  
mój przystojny mąż na nie spojrzy, i obroty się podwoją. W dodatku masz pojęcie, Zozo, jaki to  
może być przykład dla Piotra? Wyobrażasz sobie swojego faceta, jak kończy prasowanie, pod-  
czas gdy ty w spokoju oglądasz piłkę nożną w telewizji?

Zofia, która nie potrafiła sobie tego wyobrazić ani nawet tego nie oczekiwała, zgodziła  
się, a nuż kiedyś tak się stanie. Wiedziała, że Arianie nie odmówi niczego, z wyjątkiem swojej  
karty kredytowej.

Kiedy minął szok, jaki wywołał *coming out* Marsiaców, przy rue du Gai-Pinson dwana-  
ście rozmowa się ożywiła. „Dlaczego?” - wszyscy powtarzali wciąż to samo pytanie. Dość  
szybko podejrzliwe spojrzenia skierowały się na Ariane. Na tak zakręcony pomysł mogła  
wpaść tylko kobieta, prawda? Hugo, wykazując fair play, zabrał głos. Wyjaśnił, że ma przy-  
najmniej tyle powodów co ona, żeby odmienić swoje życie. Wobec zebranych, których dzie-  
więćdziesiąt procent miało wyższe studia menedżerskie, nie chciał za dużo rozwódzić się nad  
tym, że boi się zostać jakimś kretyńskim urzędasem, przekonał jednak wszystkich, że w wieku  
czterdziestu dwóch lat ma w końcu prawo patrzeć, jak rosną jego dzieci.

W końcu Piotr wydobył z siebie głos, zasypując Hugona pytaniami. Czy Hugo naprawdę  
powierzy żonie swoje konto bankowe? Oczywiście. Czy do końca roku będzie musiał zadowo-  
lić się pensją Ariany? Niewątpliwie, za to ona będzie musiała płacić wszystkie rachunki, co do-

tąd robił on. Czy będzie miał, chociaż na odległość, kontakt z Totalwynajmem? Nie ma mowy, to byłoby nieuczciwe. Żelazna zasada, obowiązująca w równym stopniu Arianę i Hugona: nie usiłować dowiadywać się, co druga strona robi w pracy. Kto zajmie się tak skomplikowanymi czynnościami natury technicznej, jak czesanie rano córeczki, jeżdżenie do Auchan, wybieranie programu pralki czy towarzyszenie klasowej wycieczce do muzeum Carnavalet? On, Hugo, ma się rozumieć. Po każdej odpowiedzi dziennikarz kulił się coraz bardziej na swoim krześle. Na odchodnym zaniepokoił się o poniedziałkowe partie tenisa. Hugo spojrział błagalnie na żonę. Uśmiechnęła się.

- Nie odbiorę wam tego. Myślicie, że nie mam serca? Gdyby Piotr nagle przestał uprawiać sport, jego zdrowie na pewno by na tym ucierpiało.

Liza została, żeby pomóc córce posprzątać po gościach. Widząc, jak szybkimi ruchami zbiera talerze, Ariana zrozumiała, że matka ma wielką ochotę porozmawiać, ale czeka na przyzwolenie. Zaczęła więc pierwsza.

- Co o tym myślisz, mamó? Będzie fajno, no nie?

- Nie, kochanie, nie będzie fajno. Masz zamiar żyć tak, jak ja żyłam przez dwadzieścia lat. Kobieta, która żyje jak mężczyzna, to gorsze niż horror, to pomyłka. Myślę więc, że wcale nie potrafiłam cię wychować.

- Próżne żale. Muszę ci coś wyznać. Mam trzydzieści dwa lata.

- Przede wszystkim nie trzydzieści dwa, tylko trzydzieści sześć.

- Coś kręcisz. Powinnaś być zadowolona, bo taka równość w małżeństwie jest poniekąd przedłużeniem twojej walki o równouprawnienie kobiet, czyż nie?

- Kochanie, przestań się wygłupiać. Odkąd umiem mówić, biję się o to, żeby kobieta miała prawo godnie żyć u boku mężczyzny. Nie o to, żeby zajmowała jego miejsce. Takie pomylenie ról to najgorsza spuścizna po latach siedemdziesiątych, kiedy prefektowi Foucherowi rzucano pod nogi staniki, a Amerykanki chciały ubierać swoich synów jak dziewczynki... to średniowiecze feminizmu.

- Nie mogę liczyć na twoją pomoc?

- Nie należę do tych, którzy opuszczają swoje dziecko w potrzebie, znasz mnie. Prześledźmy do końca twoje rozumowanie: nie zdziw się, jeżeli w przyszłości będę się do ciebie zwracać jak do zięcia. Od tej pory moją córką jest Hugo Marsiac.

Wspomniany osobnik, który przezornie krył się za drzwiami kuchni i stamtąd słyszał całą rozmowę, zbladł. Aż tyle się nie domagał.

Mecenas Maurycy Cantuis

Komornik sądowy

Członek kierownictwa FSMKS-u

Avenue de la Longuepeine 16

78 900 Laboueuse-sur-Seine

Dotyczy: eksperyment Marsiaców

Raport z oględzin: miesiąc marzec 2002 roku

Uwaga: dokument czasowo do użytku wewnętrznego

Podsumowanie czynności

- Rozpoczęcie ćwiczeń: wykonane.

- Zawiadomienie rodziny i bliskich znajomych: wykonane.

- Wprowadzenie nowych rozkładów zajęć: klienci odbyli zaplanowane treningi. Zezwoliłem na rozpoczęcie eksperymentu Marsiaców dnia 1 kwietnia.

- Uwagi ogólne: początek oceniony pozytywnie. Odnosi się wrażenie, że obie strony chętnie współpracują ze sobą.

- Należy nadzorować: włączanie się bliskiego otoczenia do programu.

Cele na kwiecień

- spotkać się z matką pani Ariany i przekonać ją do eksperymentu;

- trening Hugona Marsiaca. Odnosi się wrażenie, że pozostaje on nieco w tyle za małżonką. Czyżby należało zintensyfikować ćwiczenia?

## Kwiecień

*Kwiecień oszukuje, bo marne kwiecie szykuje.*

mądrość ludowa

- Jak to mówią, panie Marsiac, kto długi płaci, ten się bogaci - szepnął kierownik budowy, podsuwając Hugonowi pod nos fakturę na pięć tysięcy euro (brutto).

Ten roześmiał się, odsuwając ją od siebie jednym przytknięciem.

- Bez pracy nie ma kołaczy, panie Dilabault. O jakich długach pan mówi? Opóźnia się pan. Nie ma postępów w remoncie, nie ma czeku. Kiedy będzie skończony parter?

Człowiek sztuki nie wypowiedział się jasno.

- Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Miał jednak nadzieję, że sprawi „miłą niespodziankę około czerwca 2002 roku”.

Hugo poruszył palcem wskazującym z lewa na prawo. Nie, nie, nie, żarty się skończyły. Wstał i oschłym tonem poprosił pana Dilabaulta, żeby się z nim przeszedł po placu budowy. Dokładnie spisał w notesie każdą brakującą listwę, każdą rozluźnioną osłonkę przewodu elektrycznego, każdą niedokładność, każdą nierówność na suficie, na podłodze i na ścianach, a następnie kazał mu podpisać swoje uwagi.

Kierownik budowy otarł pot z czoła.

- Dawno nie widzieliśmy szanownej małżonki. Kiedy wróci?

Hugo odpowiedział oschłym tonem, że małżonka rozwija działalność zawodową, więc remontem zajmuje się on.

- Żeby nie było żadnych nieporozumień. Jeżeli pan nie doda gazu, pokażę panu, co potrafię.

Mężczyzna otworzył usta, zamknął, znów otworzył!, wy dobył z siebie cichutkie „alejako” i zamknął się na dobre. Zabrakło mu nawet przysłowia, które odzwierciedlałyby jego niepokój.

Idąc po schodach do swojej sypialni, Hugo w dyskretnym geście zwycięstwa przyciągał zgiętą rękę do piersi. Jak w domu będzie mężczyzna, to od razu wszystko się zmieni.

Żeby uczcić swój pierwszy triumf, nastawił kanał Serie Club; już od dawna marzył o tym, żeby obejrzeć o ludzkiej porze jeden odcinek *Supercoptera*, i nie było powodu, żeby się pozbawić tej przyjemności. Zegar na dekodерze wskazywał jedenastą dziewiętnaście. Hugo poczuł się dziwnie. Dlaczego odczuwał dyskomfort, oglądając telewizję o jedenastej dziewiętnaście? W końcu już nie pracował... Przypomnił sobie. Jedenastą dziewiętnaście dzieli jedna minuta od jedenastej dwadzieścia, kiedy - według planu, który Ariana umocowała na lodówce - dzieci wychodzą ze szkoły. Wpadł z sypialni jak Supercopter spadający na siły zła ze wszystkimi wyrzutniami pocisków w stanie pełnej gotowości.

Ariana wytarła wilgotne dłonie o spodnium. Siedząc w przepastnym fotelu ze skóry, czuła się śmiesznie mała, jak guma do żucia przyklejona do koła ciężarówki. Spróbowała myśleć o czymś, co podziałałoby na nią kojąco i dodało jej otuchy. Na przykład: ten spodnium jest bardzo dobrym nabytkiem. W dodatku niedrogim. Anyżkowy aksamit, klasyczny, choć niebanalny; stwierdziła, że zdecydowanie lubi wąskie nogawki rozszerzające się lekko u dołu. Choć nigdy nie myślała, że mogłaby nosić coś takiego z przyjemnością. „Spodnium” - już sama nazwa odsyłała brutalnie do dress code'u wyższych urzędniczek z lat osiemdziesiątych. Niestety, nawet wspomnienie, jak matka ubierała się w tamtych czasach, nie przywołało na jej twarz uśmiechu. Scena, którą zrobił Nicard, dosłownie ją zmroziła. Znow spróbowała ratować się pozytywnym myśleniem, powtarzając głośno i wyraźnie powiedzenie, niezwykle pasujące do pana Dilabaulta: od kompromitacji jeszcze nikt nie umarł, od kompromitacji jeszcze nikt nie umarł, od kompromitacji jeszcze nikt nie umarł.

Pomyśleć, że naprawdę starała się dobrze wypaść. Przystudiowała wszystkie dokumenty. Obroty, marża brutto, certyfikat ISO 90 002, kształtowanie się popytu w ciągu ostatnich dziesięciu lat, upłynnianie zapasów. Od dwóch tygodni Ariana miała wrażenie, że jest już super-Jaimie wynajmu sprzętu budowlanego. I w ostatniej chwili taka gafa.

Przeklęty Nicard! Odkąd go zobaczyła, wiedziała, że budzi w nim zwierzęcą antypatię, totalną i bezwzględną. Kobieta ma w takich sprawach pozazmysłowe czujniki. Spontanicznie znenawidziła jego fałszywy uśmiech, oddech zalatujący zapachem, jaki się czasem czuje, wychodząc z kościoła po mszy, sposób lustrowania od góry do dołu albo rzucane z ukosa spojrzenia. Poprzedniego dnia, w rozmowie telefonicznej, był dla niej wyjątkowo miły, zapewniał, że będzie we wszystkim pomagał przez wzgląd na znakomite stosunki zawodowe, jakie od początku łączyły go z jej małżonkiem. Jedno wydało się dziwne. Pod koniec rozmowy poprosił ją, żeby przekazała Hugonowi życzenia szybkiego powrotu do zdrowia.

Zaskoczona Ariana krzyknęła:

- Hugo świetnie się czuje, proszę się o niego nie martwić. Podczas gdy ja teraz z panem rozmawiam, on akurat kończy w ogrodzie serię dwudziestu pompek.

Na to Adolf powiedział głosem raczej zmartwionym niż rzeczywiście wyrażającym ulgę:

- Uspokoila mnie pani.

Tak czy owak, rano, kiedy pojawiła się w Totalwynajmie, przy wejściu czekała na nią cała załoga, ustawiona rzędem jak służba angielskich *ladies* w przedwojennych filmach. Nicard na pewno zrobił to specjalnie, żeby wyszła na idiotkę.

Stawiła jednak temu czoło i wygłosiła, jak umiała najlepiej, mowę, którą powtarzała w audi, wijąc się na tym cholernym ogrzewanym siedzeniu, co za nic nie chciało się ochłodzić.

- Cieszę się, że będziemy razem pracować... jestem dumna, że mój mąż obdarzył mnie zaufaniem... i pełna nadziei, że w przyszłości... itd.

Na to Nicard słodkim głosem, absolutnie abominacyjnym:

- Nie możemy się doczekać, żeby się przekonać, co firma osiągnie pod kobiecym okiem. Ma już pani jakieś plany, prawda?

Przerażona Ariana najpierw coś bąknęła, a potem oświadczyła pewnym siebie głosem:

- Oczywiście, pierwsza decyzja, jaką podejmuję, to całkowite zrównanie płac kobiet i mężczyzn zajmujących takie same stanowiska.

Rozglądając się dookoła, przypomniała sobie, że personel Totalwynajmu w Bachelay, departament Yvelines, liczy tylko jedną kobietę - pełniącą zarazem funkcję hostessy i telefonistki - która patrzyła na nią ogłupiała. Podczas gdy handlowcy i technicy szturchali się łokciami, twarz Nicarda wykrzywił na chwilę lekki grymas. Jak uśmiech Kota z Cheshire, był groźbą, która zawisła nad głową prezeski i generalnej dyrektorki.

Pał sześć dumę. Za kwadrans miała poprowadzić pierwsze zebranie. Potrzebowała pomocy. Zadzwoiła ze swojej komórki do mężczyzny, który jedyny mógł ją wyratować z opresji. Odpowiedział po pierwszym dzwonku.

- To ty, Ariano? Myślałem, że zadzwonisz. Ciężko, co? Opowiedz wszystko swojemu Momo.

Hugo zatrzymał samochód dokładnie przed dyrektorką szkoły, która, sztywna i godna, stała na chodniku. Na końcach obu rąk wcielonego wyrzutu wisiało po jednym małym Marsiacu. Ujrzawszy ojca, dzieci wydały z siebie okrzyki radości.



- Cześć, żabki. Przepraszam panią, nieprzewidziany kłopot z remontem. A samochód żony nie chciał zapalić przez dziesięć minut. Wie pani, jak to jest z tymi małolitrażowymi autkami, wciąż jakieś kłopoty.

Z braku środków na kupno dużego samochodu dyrektorka, niestety, wiedziała, o czym mówi Hugo. Ale wiedziała również, że z takimi kłopotami należy zawsze się liczyć, żeby nie przerażać tak małych dzieci.

- Gdzie one byłyby bezpieczniejsze, jak nie pod pani czujnym okiem?

Odpowiedziała, że nie miała na myśli Hektora ani Luizy, tylko stu osiemdziesięciu siedmiu innych uczniów, którzy czekali w stołówce na szefa placówki, żeby zjeść obiad.

Jej ton nie spodobał się szefowi firmy, który, niestety, zdenerwował się. Odpowiedział, że nie ma co robić takiego szumu o głupie dwadzieścia minut spóźnienia, a to, że dzieci nie mogą zacząć jeść bez dyrektorki, pachnie jakimś głupim pruskim drylem. Z kolei pani Brillon odpowiedziała, że jest to przede wszystkim zarządzenie Ministerstwa Oświaty: wobec zagrożenia zamachami terrorystycznymi wejście do szkoły musi być zamknięte w porze posiłków. Następnie dodała z lodowatym uśmiechem:

- Tak długo czekałam na pana, że miałam czas porozmawiać z pańskimi dziećmi. Kiedy czesałam Luizę - biedaczka nic nie widziała przez ten dziwny kosmyk, który jej wpadał do oczu - dzieci mi wyjaśniły, że ich mama stała się ich tatą i na odwrót. Państwa życie prywatne mnie nie obchodzi. Ale stwierdzam, że nieźle się to wszystko zaczyna. Proszę pozdrowić panią Marsiac.

W samochodzie, podczas gdy Hugo syczał przez zęby: „Szantrapa, szantrapa”, dzieci spytały, co jest na obiad. Cholera! Na pewno coś się znajdzie w lodówce. A potem wpadł na lepszy pomysł.

- Gdybyśmy tak skoczyli do McDonalda, żabki?

\*

Ariana miała wrażenie, że zespół Noir Désir w pełnym składzie daje koncert z tyłu audi. Odtwarzacz CD, co za dźwięk w porównaniu z marnym radjkiem w agili, nie wiadomo dlaczego zaklinowanym od dziesięciu miesięcy na Radio Bleue, na pewno z winy konstruktora! Zaśpiewała na cały głos *Le vent nous portem*. Spoglądając po raz kolejny na dwie samoprzylepne karteczki, które Hugo umieścił na tablicy rozdzielczej: „Nie zapomnij wrzucić piątego biegu przy stu dziesięciu” i „Uważaj, on jest szerszy, niż ci się wydaje!”, uśmiechnęła się. Pod wieczór czuła się już lepiej. Rozmowa z Momo pomogła jej. Komornik nalegał na konieczność

„ćwiczenia nonszalancji" przy obejmowaniu nowego stanowiska. „Ma się rozumieć, że czekają na ciebie z kałachami, a co myślałaś? Sprzedawałaś kolczyki i chcesz ich uczyć, jak się wynajmuje dźwigi hydrauliczne? Chyba nie wyobrażałaś sobie, że powita cię szpaler samoladowaczy. Musisz się uczyć, żeby móc się wykazać, a tymczasem jedyna dopuszczalna postawa to «i co z tego?». Nonszalancja przede wszystkim, zgoda?"

Zgoda.

I co z tego, że Nicard przedstawił ją współpracownikom jako małżonkę pana Marsiaca, która była tak miła i zgodziła się zatrudnić czasowo w generalnej dyrekcji? I co z tego, że nie potrafiła poprzeć Benchetrita, bo dziesięć par oczu przyglądało się jej z zaciekawieniem, kiedy ten twierdził, że warto podnieść na tydzień ceny wynajmu pomp paliwowych? I co z tego, że potem wszyscy wyżsi rangą zwracali się tylko do Nicarda ponad jej głową? I co z tego, że jedyną decyzją, jaką podjęła, była wymiana automatu do kawy w holu, przedpotopowej maszyny, z której lała się ohydna lura? I co z tego, że Adolf Nicard miał wtedy dziwny wyraz twarzy?

I co z tego, i co z tego... Zacisnęła zęby. Chociaż całe jej jestestwo krzychało: „Cholera, mogą chociaż być mili, w końcu jestem ładna!"

Ariana Marsiac odkryła, że w świecie wynajmu maszyn budowlanych finezja ani galanteria wobec kobiet nie należą do głównych zalet.

Markiz spoglądał wrogo, kłapiąc zębami. Hugo odsunął go delikatnie i włożył do piecyka sporego kurczaka, którego dopiero co posmarował ostrą musztardą. Nie wiedział, co oznacza „pasta z marsalą", podana w przepisie, ale tak na pewno też będzie dobrze. W książce kucharskiej wyczytał „piec pięćdziesiąt minut", co wydawało się śmiesznie długo, zważywszy na wielkość ptaka. Pomyśleć, że tost jest gotów w dwie minuty, a kurczak, gruby jak mniej więcej tuzin tostów przyłożonych jedno do drugich, piecze się prawie godzinę! Spojrzał na zegarek: dziewiętnasta czterdzieści, wszystko będzie gotowe na powrót Ariany.

Zastanowił się, co jej opowie o minionym dniu. Czy powinien wspomnieć o spięciu z dyrektorką? Z pewnością nie. O tym, że Luiza wyszła z McDonalda, trzymając się za brzuch, i nie mogła wrócić po południu do przedszkola? To akurat trudno byłoby pominąć. O tym, że wezwał Lizę na pomoc, żeby zabrać z pracowni Zofię na pierwsze spotkanie z klientką? Tego również nie sposób ukryć, mała na pewno opowie Arianie, że przez całe popołudnie grała z babcią w „alarm w Porto Allegre".

Hugo nie miał również ochoty rozwodzić się na temat spotkania ze współpracowniczką żony. Nowe zajęcie wydało mu się trudniejsze, niż przypuszczał. W rzeczywistości nic nie odbyło się

tak, jak to sobie wcześniej wyobrażał. Ku swojemu wielkiemu zdziwieniu stwierdził, że księgowość w „F jak Frywolna” jest raczej dobrze prowadzona. Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością ma, rzecz jasna, niewielki obrót roczny (czterdzieści siedem tysięcy dziewięćset osiemdziesiąt euro brutto), ale koszty są minimalne: obie wspólniczki zlecają wykonanie biżuterii, a ich wynagrodzenia stanowią wyłącznie prowizje. Od pięciu lat spółka nie miała deficytu, a nawet przynosiła symboliczny zysk.

Jego entuzjazm jednak zmalął, kiedy Zofia spróbowała przekazać mu wiedzę niezbędną w tym zawodzie.

- Oczywiście znasz podstawowe słownictwo z zakresu biżuterii. Co to jest, twoim zdaniem?

- Naszyjnik.

- Nie, to wisior. A to?

- Naszyjnik.

- Ale jaki?

- Zwyczajny, z mnóstwem pereł i z jakimś złotkiem do zapinania.

- Ten rodzaj naszyjnika nazywamy obrozą, bo przylega do szyi. Trzeba będzie się napracować, żeby cię w to wprowadzić. A kamienie, może chociaż na tym się znasz?

- Niestety, tak. Kiedy się zaręczaliśmy, twoja koleżanka przekonała mnie, że „tylko biały do wszystkiego pasuje”. Dobrze wtedy zrozumiałem, że kamień, który podoba się kobietom, nazywa się brylant i drogo kosztuje.

- Nie bój się, nie używamy kamieni szlachetnych. Cena żadnej ozdoby nie przekracza symbolicznej kwoty stu pięćdziesięciu euro. Jak się domyślasz, stosujemy głównie kamienie półszlachetne: agat, karneol, sardonik, górski kryształ, nefryt, jaspis, malachit, labrador, obsydian, onyks, wiesz, o co chodzi?

Nie, Hugo nie wiedział. Wysłuchiwanie zdań w rodzaju: „Widzisz, topazy są żółte albo różowe”, śmiertelnie go nudziło. Nie miał jednak odwagi przyznać się do tego. Pod wieczór z wyjaśnień Zofii pamiętał tylko, jaka jest różnica między kamieniami półszlachetnymi a ozdobnymi. Nie bez powodu. Nie ma żadnej.

W drodze powrotnej zatelefonował do Momo.

- Niby nic, ale one naprawdę tam pracują. Nie masz w swojej dokumentacji o babach czegoś o biżuterii, co mógłbym przestudiować przez weekend?

Nie, Momo nic takiego nie miał. Ale namawiał Hugona, żeby używał, a nawet nadużywał... frywolności, ma się rozumieć.

- Dlaczego facetki znają się na biżuterii? Bo ją lubią. Uważają, że jest piękna, z przyjemnością się w niej pokazują i rozmawiają na jej temat. Musisz postępować tak samo. Nie chodzi o to, żeby uczyć się na pamięć z książek, trzeba się wczuć. Nie bój się dotykać tych kamyków, wkładać bransoletek, żeby sprawdzić, jak wyglądają na ręku, zadawać pytań swojej współpracownicy, spokojnie, przy herbatce, jak koleżanka koleżance. Będzie zachwycona, że może z tobą pogadać.

- Momo, Zofia raczej nie jest w stylu lapsang i ptifurki. Wyjdę na palanta.

- Moim zdaniem już wyszedłeś. Uwierz mi, jak nie będziesz przygotowany na spotkanie z pierwszą klientką, to po tobie. Posłuchaj mnie: jak tylko coś nie gra, to stawiaj na frywolność i więcej nie zaprzataj sobie tym głowy.

Po raz pierwszy na myśl, że w jego życiu zawodowym nie będzie miejsca na pneumatyczne pilarki łańcuszkowe ani wywrotki z napędem trzynastu koni, Hugo poczuł, że ściska mu się serce.

Odgłos żwiru gwałtownie uderzającego o przewiązki. Ariana, za kierownicą audi, wzięła w ogrodzie zakręt z prędkością co najmniej pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Hugo z irytacją zacisnął powieki. Zdziwiony Markiz puścił kilka bąków i potruczał do drzwi wejściowych.

Młoda kobieta, radosna, zdjęła w wejściu palto i rzuciła się mężowi na szyję.

- Cześć, kobieto! Jak ładnie pachnie to coś, co się piecze! Jak ci minął dzień, kochanie? Żabki, chodźcie pocałować tatusia, który wrócił z CRH swoim wielkim autem.

Widząc żonę tak radosną, skonsternowany Hugo uznał, że Przesza zwycięsko próbę ognia. Nie będzie się ośmieszał, opowiadając jej, jak bardzo był przerażony. Oświadczył, że jemu też wszystko poszło jak z płatka.

Podczas gdy delektowali się niedopieczonym kurczakiem o smaku płynu do przetykania rur, Hugo napomknął, że bardzo się cieszy, bo wreszcie jest ojcem „w szlachetnym znaczeniu tego słowa” i pociąga go rzemiosło, które odkrył tego popołudnia.

- Wydało mi się, że wyrosłem wśród opali i lapis-lazuli, wyobrażasz to sobie?

Ariana przesadzała, podkreślając dobrą atmosferę w Totalwynajmie, ciepłe przyjęcie, jakie jej zgotowano, czułą, ojcowską opiekę Nicarda, po czym stwierdziła z rozkoszą:

- Uczę się szybciej, niż przypuszczałam.

Oczywiście Hugo nie wiedział, że animusz żony jest tylko wyrazem bolesnego ćwiczenia nonszalancji, tak samo jak Ariana daleka była od łączenia radosnego nastroju męża z zasługującymi na pochwałę wysiłkami, jakie czynił, trenując frywolność. Momo wykonał już kawał dobrej roboty.

Liza Honfleur otworzyła drzwi. Przed nią stał niewysoki mężczyzna, który skojarzył jej się z dzieckiem przebranym za cukinię. Zielona czapka, zielona góra, zielone spodnie. Odsłonił wielką ilość równych i białych zębów.

- Dobry wieczór, jestem Maurycy Cantuis. Królowa matka, *aj prizium?*

Dowcip się nie udał. Potraktować kobietę, nawet taką, jak matronę nie było dobrym posunięciem. Liza Honfleur wolałaby, z dwojga złego, wypowiedzieć się w kościele niż przyznać do tego, że jest pełna uprzedzeń co do „coacha” swojej córki.

- Słyszałam o panu. Proszę wejść, Hugo jest w domu, a Ariana powinna niedługo wrócić.

Z góry dochodziły krzyki kąpiących się dzieci i, jak echo, gruby głos ojca, który zabraniał im bawić się w wannie suszarką do włosów.

Liza Honfleur podniosła zaniepokojona brwi, krzyknęła do zięcia, że przyjdzie na górę, jeżeli trzeba, ale ten wrzasnął, że sytuacja jest pod kontrolą.

Usiedli więc na kanapie, czekając na Marsiaców. Liza patrzyła na Maurycego. Maurycy na Lizę. Komornik uznał, że jest wyjątkowo piękna, jak lekko przekwitła lilia. Na pewno ma w sobie więcej słodyczy niż jej córka. Jest okrąglejsza, pełniejsza. W sumie bardziej powabna. Usiłował się przypodobać, wychwalając jej poświęcenie dla rodziny.

- Tylko pomagam w trudnej sytuacji. Agencja obiecała, że znajdzie dziewczynę *au pair* przed końcem miesiąca.

Zaległa cisza. Maurycy Cantuis dobrze wiedział, że długo nie wytrzyma. Wykonując swój zawód, opanował to, co określał jako „ZBZ” (zarządzanie białasami przy zajęciach): kiedy dłużnik nie ma już argumentów, milczenie jest najlepszym sposobem na to, żeby taki białas poczuł się jeszcze bardziej zażenowany i jeszcze bardziej pragnął się odkupić, co z kolei skłania go do wyjęcia książeczki czekowej. Ale w obecności tej ładnej pani, od której nic nie chciał odzyskać, Momo był trochę zbity z tropu. Znów zaczął się jej podlizywać, powtarzając, że jest ona jak anioł, który zstąpił z nieba. Liza Honfleur jednym ruchem dłoni nakazała mu milczenie.

- Ja miałabym zstąpić z nieba? Nawet myśl o tym sprawia mi przykrość. Dziękuję panu za komplementy, ale wydają mi się nieuzasadnione. Jedyłą moją zaletą, o której nie wstydzę

się mówić, jest szczerosc. Otóz nie bardzo mi się podoba obrót, jaki przybrały sprawy, odkąd pojawił się pan w życiu moich dzieci.

Komornik chrząknął zaskoczony.

- Słyszałam jakieś mętne teorie o frywolności i o nonszalancji. Dlaczego nie o aerobiku albo o uprawie buraka? Widzę, że moja córka wplątała się w przygodę, która nie wiadomo jak się skończy, wciągając w nią również swojego męża, a mojego zięcia, dla którego mam dużo ciepłych uczuć. Wygląda również na to, że nikt nie martwi się o wpływ tej dziwnej zamiany na moje wnuki. Dlatego pytam: na co pan liczy, popierając ten szalony pomysł?

W miarę jak mówiła, rósł w niej gniew. Maurycy nie mógł znieść myśli, że tak piękna i elegancka kobieta stała się jego wrogiem. Oświadczył, że jest naprawdę bardzo zdziwiony jej nieprzyjaznym z założenia nastawieniem do urzędnika mianowanego, było nie było, przez ministra sprawiedliwości. Chyba nie wie, że kiedy poznał Marsiaców, ich małżeństwo było w niebezpieczeństwie; oni sami zwrócili się do niego o pomoc. Oświadczył, że „jest nieprzyjemnie zaskoczony, iż osoba równie światła nie przyłącza się z entuzjazmem do tego jak nie przewrotu, to przynajmniej doświadczenia, które może zmienić stosunki między mężczyznami a kobietami w świecie zachodnim”. Na koniec spytał Lizę, czy zgodzi się zjeść z nim kolację, we dwoje.

Liza Honfleur nienawidziła dwóch rzeczy: urzędników mianowanych przez ministra sprawiedliwości (to ona była autorką sloganu z maja 1968 roku: „Świnie na rzeź!”) oraz ludzi, którzy sprawiają wrażenie, że wszelkie wątpliwości są im obce. Ale on powiedział „przewrotu”, a nie „wywrotu”, co liczyło mu się na plus. Ponieważ Maurycy odróżniał „przewrót” od „wywrotu”, Liza Honfleur odpowiedziała, że tak, zgadza się zjeść z nim kolację.

Trening Marsiaców przebiegał zadowolająco. Po wyłożeniu swojej teorii o nonszalancji i frywolności Momo przeszedł do zajęć praktycznych.

Tydzień później Hugo zaczął przyswajać podstawową cechę kobiety współczesnej: robienie dwóch rzeczy naraz. Po ćwiczeniach wprowadzających (telefonowanie podczas obtaczania w tartej bułce uda indyka, oglądanie z uwagą programu telewizyjnego podczas napełniania wody do wanny) sprawy się skomplikowały. Pod koniec miesiąca Momo przeszedł do ćwiczeń trudniejszych: jednoczesnego ubierania się i czesania oraz besztania dziecka i parkowania między dwoma samochodami. Przy tym zadaniu on sam udawał rozbrykanego chłopczyka, a samochodem był taboret na rolkach, który należało ustawić między dwoma fotelami. Ariana, pokładając się ze śmiechu, kibicowała mężowi.



- Nie odwracaj się, żeby go palnąć, spróbuj trafić ręką po omacku, tylko pamiętaj, że już nie jeździsz audi, nie bij zbyt mocno, w małym samochodzie trafia się w końcu w dziecko.

Kiedy przyszła jej kolej, już się tak nie śmiała. Najpierw Maurycy nauczył ją chodzić na nogach wygiętych w pałąk i wpatrywać się ludziom w źrenice oczu, a potem uznał, że koniecznie musi poćwiczyć spontaniczną pewność siebie. Nonszalancja jest dobra, ale jak się stoi na czele firmy, to nie można wyjść na blondynkę. Ariana musiała więc zagrać, że przewodniczy walnemu zgromadzeniu. Poduszki z kanapy udawały zarządców („prawie jak w rzeczywistości” - skomentował to Hugo). Tamtego wieczoru wiele się nauczyła, zaczynając od prostych chwytów.

- Nie jesteś już ładną panią domu z Le Vésinet, tylko szefową, i przychodzisz na spotkania ostatnia. Nie mów nigdy „dzień dobry panom” nieśmiałym głosem, ale raczej „witam panów” bardzo głośno, rzucając dokumenty na stół, tam gdzie masz usiąść. Pamiętaj o tym, żeby nie przysuwać się do stołu, bo ludzie, którzy tak robią, wyglądają zawsze, jakby się czegoś bali. Uśmiechaj się, ale nie przez cały czas. Myślisz, że Bernard Arnaud przewodniczy zebraniu zarządu Louis Vuiton Moët Hennessy, szczerząc zęby jak prezenter *Vidéo-gag*? Nie daj się nigdy zaskoczyć ludziom, którzy domagają się, żebyś rozstrzygnęła ważną kwestię w ciągu jednej minuty. Ty jesteś szefową i decydujesz, kiedy to zrobisz. Nie mów nigdy: „Zastanowię się nad tym”, tylko „Przekażę odpowiedź w stosownym czasie”...

Dwie godziny później Ariana, z głową jak bania, poszła na górę spać, podczas gdy Hugo wyjmował ręczniki frotte z pralki. Już potrafił odróżnić „tiiiit” mikrofalówki od „tiut” pralki, kiedy kończyło się suszenie.

\*

Piotr przechylił głowę na bok, z pełnym skruchy uśmiechem niby-skromnej osoby, której jest przykro, że rozwalila kumpla sześć do dwóch i sześć do jednego, ładna gra, czysta i szybka, tak jak lubił. Czule klepnął Hugona rakieta w siedzenie.

- Widzę, kotku, że stajesz się kobietą. Naprawdę grałeś jak sprzedawczynie kolczyków.

- Odpieprz się ode mnie, Piotrusiu. Nic dziwnego, że nie odbiłem żadnej piłki, mam okropny horoskop na ten tydzień.

Piotr Baignon, przerażony, zamilkł na chwilę, zanim zrozumiał, że kumpel żartuje. Potem obaj roześmiali się serdecznie i zaczęli rozmawiać o czymś innym. Dopiero kiedy się żegnali, Piotruś znów zaatakował:

- Zadowolony jesteś? Wasz eksperyment już wystartował? Zofia nic mi nie chce mówić o tym, co się dzieje w pracowni.

- To dopiero początki, ale odkrywam rzeczy, o których mi się nie śniło.

- Co masz na myśli?

- Niech to zostanie między nami. Prawdę mówiąc, całkiem nieźle daję sobie radę. Choć miałeś rację, chyba mam lekką depresję. Wczoraj, kiedy mała zwymiotowała mi na kolana, miałem ochotę się rozplakać. Ale wygląda na to, że Ariana świetnie sobie radzi w Totalwynajmie, i ja też muszę sprostać swojej roli.

Piotr skrzywił się, ale tym razem nie z powodu przyszłego zapalenia ścięgna.

- Wiedziałem, że to kretyński pomysł. Wiedziałem.

„Tylko tego brakowało: biedny chłopiec sądzi, że mi zaimponuje tym okropnie wulgarnym lokalem” - myślała Liza, raz po raz posyłając Maurycemu aprobujące spojrzenia. Cantuis zaprosił ją do jednej z tych modnych restauracji, gdzie płaci się bardzo drogo za złe traktowanie. U kelnera, patrzącego na nią jak na ślimaka, który zaraz oślini adamaszkowy obrus, zamówiła „delicje z tysiąca świeżych jarzyn”. Ujrzawszy podane jej brokuły i marchewkę, zalane galaretą, uznała, że dyrekcja ma o coś osobisty żal do klienteli. Za to Momo promieniał. Oświadczył, że wystrój wnętrza - fiolet z purpurą, a na ścianie coś w rodzaju grubych jelit pomalowanych na beżowo - jest „top klasa”. Klientów - w większości dealerów suzuki z rzucającymi się w oczy małżonkami lub byłymi gwiazdami telewizyjnymi, mówiącymi zbyt głośno - określił jako „folk”. Liza postanowiła zachować się sprytniej niż przy ich pierwszym spotkaniu. Jeżeli chciała „przeświecić” Momo, musiała wziąć się do tego inaczej. Zaczęła więc udawać, że jest łagodną, wiecznie zachwyconą kobietą, która zawsze przychyła się do zdania mężczyzn. Na początek spytała go o wczesną młodość. Tak, Maurycy był prototypem Beura rozdartego między uczuciem przynależności do rdzennej kultury rodziców a chęcią wtopienia się w społeczeństwo kraju, którego obywatelem został na własne życzenie po osiągnięciu pełnoletności. Z rozpędu mówił dalej o swoich studiach, banalnych, ale trudnych. „Magisterium z prawa, dwuletni staż w kancelarii komornika, potem egzamin, raczej hard, żadne tam rock 'n' rolle” - uściślił kokieteryjnie. Wstąpienie do FSMKS-u było jak „haust świeżego powietrza w tym tak krytykowanym zawodzie”. Jego wiara w wartości ludzkie, w sprawiedliwość i równość, w dużej mierze przyczyniła się do tego, że zapragnął pomóc Marsiacom. To wszystko wydało się Lizie wysoce podejrzanym; czy ten komornik nie jest zbyt gładki jak na uczciwego człowieka? Ale sprawy naprawdę przyjęły zły obrót dopiero po głównym daniu - cielecym frykandzie (suro-

wym) ze świeżą kolendrą (zwiędłą). Liza, pewna, że będzie to sprytne zagranie, nawiązała do byłej żony Momo, pytając o powody, dla których ktoś chciał się rozwieść z chłopcem najwyraźniej „otwartym, uczciwym i pracowitym”. Wtedy komornik uśmiechnął się do niej.

- Skończmy tę grę, dobrze, Lizo? Sądzi pani, że nie wiedziałem, do czego pani zmierza, zadając mi te wszystkie pytania? Myśli pani, że się przyznam: „Fakt, że czasem przylałem swojej fatmie, ale tylko wtedy, kiedy na to zasłużyła”? Przykro mi, ale powody, dla których moja żona i ja rozwiedliśmy się, to wyłącznie nasza sprawa. Mogę jednak panią zapewnić, że nie mają one nic wspólnego z wyświechtaną ikoną muzułmanina fallokraty.

Liza, starając się ukryć rumieniec wstydu, pograżyła się w kontemplacji swojego chaud-froid z agrestu. Chce, żeby wyłożyła karty na stół? Bardzo dobrze.

- Maurycy, co ja tu z panem robię dziś wieczorem?

- To proste. Pragnę pani, odkąd panią zobaczyłem.

W innych okolicznościach perspektywa baraszkowania z cukinią na pewno rozśmieszyłaby Lizę Honfleur, ale tamtego wieczoru, zaskoczona, mogła jedynie ukryć się za swoją Purpurową Kartą emerytki, pragnąc zachować godność i cnotę.

- O czym pan mówi?! Pewno mam tyle lat co pańska matka.

- Ale nią pani nie jest, moja matka waży osiemdziesiąt kilo. Wiem, że na razie nie mam u pani żadnych szans. Ale może z czasem pokocha mnie pani - dodał teatralnym szeptem.

Liza Honfleur wróciła do domu sama, myśląc, że Maurycy Cantuis jest, być może, niebezpiecznym facetem, ale na pewno nie głupcem.

Mecenas Maurycy Cantuis

Komornik sądowy

Członek kierownictwa FSMKS-u

Dotyczy: eksperyment Marsiaców

Raport z oględzin: miesiąc kwiecień 2002 roku

Uwaga: dokument czasowo do użytku wewnętrznego

Podsumowanie czynności

- Wprowadzenie nowych rozkładów zajęć - wykonane. Jak było do przewidzenia, obie strony zdają się napotykać pewne trudności, wchodząc do nieznanym sobie dotąd światów. Jest to całkiem normalne. Przy prawidłowych treningach Ariana i Hugo Marsiacowie powinni zintegrować się bez trudu.

- Współpraca rodziny i bliskiego otoczenia: tu również brak większych trudności. Ze strony pani Honfleur trochę skrywanej wrogości, którą, mam nadzieję, wkrótce przezwycięzę. Dzieci i znajomi wydają się włączeni do projektu na sto procent.

- Przebieg ćwiczeń: na dobrej drodze. Obie strony zrobiły duże postępy.

Cel na czerwiec

Po treningu zachowań praca nad psychiką obojga wolontariuszy. Byłby w tym pomocny stos ankiet, każda z zestawem pytań do wyboru. Obecnie Ariana Marsiac wciąż jest kwintesencją kobiecości: mimo moich ostrzeżeń nieustannie poprawia włosy i patrzy w każde napotkane lustro. Natomiast Hugo nadal śmieje się, potrząsając ramionami, i nie pamięta, ani ile waży, ani spod jakiego jest znaku, ani jak ma na imię jego fryzjerka. Przed nami jeszcze długa droga.

Uwagi ogólne

Dla dalszego działania wydaje się nieodzowna większa radykalizacja zachowań inicjatorów eksperymentu. Naszymi hasłami będą nonszalancja i frywolność.

## Maj

*Majowy deszczyk pokropi i wszystkie smutki utopi.*

mądrość ludowa

- Zobacz pan, panie Marsiac, to musi popękać, absolutnie.

Między jedną a drugą apokaliptyczną przepowiednią pan Gonçalvo wzdychał jak smutna pomponiara.

Zapowiedziany przez Dilabaulta na czternasty maja powrót murarza wywołał wybuch radości przy rue du Gai-Pinson dwanaście. Hugo oblał to szampanem dla dzieci z Luizą i Hektorem, odkładając na później porządkowanie kuchennych szafek, chociaż Bóg jeden wie, jak mu zależało na „zracjonalizowaniu” tego, gdzie co leży. Dwa dni wystarczyły na postawienie diagnozy. W tej kuchni był groch z kapustą. Słone ze słodkim, łopaki trzysta metrów od kuchenki, poszczerbione talerze z nowymi. Pomyślał, że gdyby żona zamierzała zaprowadzić w Totalwynajmie takie porządki, jakie panowały w kuchennych szafkach, dopiero byłby bal. Potem miał do siebie żal o tę seksistowską myśl, wołał myśleć tylko o powrocie Gonçalva.

Zapowiedzianego dnia, o zapowiedzianej godzinie, murarz się pojawił. Ale nie był to ten sam Gonçalvo co kiedyś, czerwony na twarzy i głośno mówiący. Rzemieślnik jakby się skurczył; głowę trzymał spuszczoną, a wychudłe policzki opadały na obwisły podbródek, pozbawiony wypełniających go wcześniej tkanek. Dilabault bardzo szybko spointował jego wygląd: kobieta zmienną jest, małżonka murarza zwiąła. W dodatku z Hiszpanem. Kiedy Gonçalvo zrozumiał, że żona nie wróci, na zasadzie prawie nieuchwytnej analogii z naczyniami połączonymi wrócił do Marsiaców. „Praca goi rany”. Widząc, że mistrz jest chyba jeszcze bardziej depresyjny niż on sam, Hugo poczuł do niego sympatię.

Niestety, nieszczęście Gonçalva było jak gangrena, więc stracił on również swój słynny zapal do pracy. Bezwolną dłonią zainkasował zaliczkę w wysokości trzech tysięcy euro (brutto) w postaci czeku, który wręczył mu Hugo. Obszedł plac budowy i ocenił pracę ucznia jako „ani wykonaną, ani niewykonaną”. Trzeba wszystko zrobić od nowa, inaczej sufity, ściany, drzwi popękają, absolutnie. Poczuwając się jednak do odpowiedzialności za tę katastrofę, miał szczerzy zamiar dokonać poprawek po najniższych kosztach, nawet gdyby przyszło mu pracować

„dniami i noczami... szkoro w domu nikt na mnie nie czeka...” - oznajmił, a jego pocziwe, wielkie oczy zwilgotniały. Nawet Markiz, chociaż nieskory do wzruszeń, wyczuł, że chwila jest podniosła, i wydał z siebie smutny skowyt.

Hugo musiał zatelefonować do Ariany, żeby jej przekazać dwie nowiny, dobrą i złą. Gonçalvo wrócił do pracy. Ale zamierzał pracować również podczas weekendów.

Nicard podszedł bliżej z miną łakomczucha.

- Ariano, chyba musimy natychmiast porozmawiać o zwolnieniu Flanvarta. Nie wiem, czy pani wie, o kogo chodzi, to ten handlowiec, którego podejrzewamy o szpiegowanie dla Wynajemtotalu. Grozi nam sądem pracy. Co robimy? Damy mu dwadzieścia tysięcy euro odprawy?

- Świetnie wiem, kto to Flanvart, Adolfie. Nie trzeba wciąż mi przypominać, kto jest kim ani co powinnam zrobić. Nie wybaczyłabym sobie, że marnuje pan przeze mnie swój cenny czas... Jeszcze nie podjęłam... to znaczy dowie się pan, jaką podjęłam decyzję, kiedy uznam to za stosowne.

Adolf wycofał się z miną faceta, któremu wylano wiadro guana na głowę.

Między Arianą a Nicardem stosunki były napięte. Adolf sprawiał wrażenie, jakby wszystko, co Ariana mówi i robi, czyli w sumie to, jaka jest, budziło w nim niesmak. Gdyby jeszcze potrafił zdobyć się na szczerłość albo wybuchnąć gniewem! Ale nie, jego wrogość była lodowata, uprzejma, krystalicznie czysta. Rano lustrował ją od stóp do głów, unosił brwi i potępiał w milczeniu, z miną starszej pani zszokowanej na widok piercingów wnuczka. Potem przez cały dzień Nicard robił, co mógł, żeby więcej nie patrzeć na Ariane. Na zebraniach wbijał wzrok w dokumenty, a kiedy zwracała się do niego, patrzył na jej czoło, żeby uniknąć słynnego *eye contact*, do którego taką wagę przywiązują nowocześni menadżerowie. Niestety, nie tylko Adolf Nicard nie był nowoczesny, ale dla niego stanowiło to powód do złośliwej satysfakcji. Przez pewien czas Ariana chciała się zemścić, wpatrując się nieprzerwanie w rozporek swojej prawej ręki, ale szybko zrozumiała, że w pracy, gdzie dziewięćdziesiąt dziewięć przecinek dziewięć procent personelu stanowią mężczyźni, ten rodzaj dowcipu mógłby zostać źle odebrany.

Odkąd objęła swoje stanowisko, bardzo się zmieniła. Zrozumiała, że jej pokorna mina z pierwszych dni tylko podsycala gniew Nicarda, i wprowadziła w życie nauki Momo. Była rzeczowa, oschła, stanowcza. „Zachowuję się jak typowa szefowa” - myślała. I nienawidziła tego.



Przypomniała sobie o Flanvarcie. Przez kilka tygodni dochodziły różne pogłoski na jego temat, więc Adolf postanowił przeprowadzić „drobne dochodzenie”, to znaczy zlecić zawodcowi regularną inwigilację. Prywatny detektyw zrobił jedynie kilka zdjęć Mikołaja Flanvarta, wchodzącego do magazynów Wynajemtotalu w Livry-Gargan pewnego piątku RTT\*, około szesnastej.

*\* Réduction du temps de travail - redukcja godzin pracy z 40 do 35 tygodniowo w ramach programu walki z bezrobociem.*

Mężczyzna bronił się, mówiąc, że odwiedził szwagra, który też jest handlowcem, choć zatrudnionym przez konkurencję. Po sprawdzeniu okazało się to prawdą. Ale dla Nicarda było równoznaczne z przyznaniem się do winy. „Dwóch członków rodziny pracujących dla odwiecznych wrogów - to musiało się skończyć łotrowską zмовą”. Postanowił więc pozbyć się pracownika za „ciężkie przewinienie”. Wobec ewidentnego braku dowodów Flanvart, co było całkiem zrozumiałe, postawił się. Od tamtej pory w Totalwynajmie panowała ciężka atmosfera. W branży wynajmu maszyn budowlanych, gdzie jest tak silna konkurencja, tajemnice handlowe traktuje się poważnie - skomentował to ze smutkiem rewident księgowy. Ariana, zmuszona do zajęcia stanowiska w tej sprawie, zwróciła uwagę, że brak dowodów przemawia na korzyść oskarżonego. Wysyłanie na bezrobocie młodego ojca rodziny na podstawie zwykłego podejrzenia to podejście faszystowskie. Na te słowa Adolf stanął dęba i wycedził półgłosem:

- Faszystowskie, tak? Lepiej uważać, by społecznikowskie podejście nie doprowadziło do tego, że wyhodujemy żmiję na łonie naszej firmy. Musi pani też wiedzieć, że zło już się stało: w Totalwynajmie nikt nie będzie chciał pracować z tym zdrajcą.

Ariana poprosiła o tydzień do namysłu. Tamtego ranka, dokładnie siedem dni później, Nicard ponowił atak.

Wzięła do ręki słuchawkę i poprosiła, żeby ją natychmiast połączyć z Mikołajem Flanvartem.

- Nie, proszę pani, może przymierzy pani raczej ten pierścionek. Moim zdaniem w żółtym wcale nie jest pani do twarzy.

Zaskoczona klientka odłożyła topaz do etui. Dziwny facet. Powinna mieć się na baczności, kiedy przed kwadransiem wpuściła go do domu. Maud Bartoli spodziewała się, że, tak jak zawsze, odwiedzi ją Ariana Marsiac, a tu raptem znalazła się w skąpej podomce naprzeciw tego typu! W pierwszej chwili uczucie zagrożenia wprost ją zmroziło... Przez następne dziesięć mi-

nut ten typ otwierał usta tylko po to, żeby się krzywić z dezaprobatą na widok wszystkiego, co przymierzała. Spytała nieco oschle:

- Pańskim zdaniem jest tutaj coś, co by do mnie pasowało?

- Ta bransoletka. Ma pani ładne nadgarstki i powinna je pani pokazywać. A gdyby tak zmieniła pani styl? Nie podobają się pani te wszystkie piórka?

Maud Bartoli otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia. Bransoletka z kryształem górskim, otoczonym zwiewnymi piórkami, różowymi i fiołkowymi, wyglądała jak obłoczek. Idealna ozdoba dla nastoletniej Sissi, szykującej się do zdobycia Franciszka Józefa od ściany północnej. Tymczasem pani Bartoli miała dobrze po sześćdziesiątce i męża, który mówił o niej „Goering”. W firmie „F jak Frywolna” wybierała ozdoby albo czarne, albo szare, albo kwadratowe, albo płaskie. Żadnych podwiązek dla panny młodej ze zdobionej organzy.

Odprowadziła Hugona Marsiaca do wyjścia. Kiedy stał już na progu, pożegnała go, mówiąc:

- Proszę nie mieć mi tego za złe, ale wolałabym, żeby następnym razem odwiedziła mnie ta sama drobna, młoda pani, co przedtem.

Hugo podrapał się w głowę. Od tygodnia, gdy Zofia przestała mu matkować, poruszał się po omacku. Co mówić klientkom, jaką postawę przyjąć, jaką wartość dodatkową ujawnić, kiedy jest się sprzedawcą stawiającym pierwsze kroki w tym zawodzie i mającym do czynienia z tabunem facetek, które znają się na sztucznej biżuterii, odkąd po raz pierwszy przebrały się za lalkę Barbie? Na początku Zofia powiedziała mu: „Wykorzystaj swój wdzięk, bądź sexy! Skoro prawie wcale nie znasz się na tym, co sprzedajesz, możesz tylko rozbudzać w nich nadzieję, że się z nimi prześpisz”. Naiwność takiego rozumowania wprost go zatkała! Co za przestarzałe podejście do biznesu! On, szef przedsiębiorstwa, wiedział najlepiej, że minęły już czasy tandetnego wdzięczenia się i wciskania kitu. Klient zdecyduje się dopiero wtedy, kiedy będzie naprawdę pewien, że dokonuje słusznego wyboru. Trzy słowa, które złożyły się na sukces Totalwynajmu, brzmiały: jakość, doradztwo, cena. Koniec z traktowaniem klientów jak dzieci, ludzie nie dają się już bajerować! Dlatego celowo postanowił przyjąć wobec klientek „F jak Frywolna” postawę „pod włos”: zamiast przekonywać je na siłę, chciał postawić na przejrzystość i szczerłość. Kiedy jakaś kobieta przymierzy ozdobę, która będzie do niej pasowała jak papiloty do muchy, powie jej o tym. Nawet jak w pierwszej chwili nie będzie zadowolona, to później, gdy wybierze coś innego, podziękuje mu i zapamięta, że biżuteria z „F jak

Frywolna" może naprawdę zdołać. Niestety, w praktyce teoria Hugona wkrótce okazała się nieskuteczna: klientki, speszzone jego ponurym obliczem, nic nie kupowały.

Po telefonie do domu, celem upewnienia się, czy - jak co środę w południe - dzieci wróciły już z placu zabaw, rzucił okiem na listingi z poprzedniego roku. O tej porze obroty Ariany wynosiły już trzy tysiące pięćset euro, jego zaledwie trzysta siedemdziesiąt, i to dzięki pomyłce: leciwa klientka z Le Vésinet, wyraźnie nadużywająca alkoholu, kupiła wszystko, co przyniósł, bo prawdopodobnie pomyślała, że ceny są podane we frankach.

Hugo zaparkował agilę między dwoma dużymi samochodami, wypełnionymi po brzegi podciągaczami pośladków dla krasnoludków. Rue Edouard-Balladur w La Celle-Saint-Cloud zasługiwała na to, żeby nazywać ją również Mercedes Alley. Po obu stronach wznosiły się minipalacyki, dość brzydkie, ale najskromniejszy z nich kosztował, lekko licząc, milion euro. Hugo skierował się do bramy rezydencji Mansart, gdzie był umówiony, zdecydowawszy, że tym razem wypróbuje technikę zalecaną przez Zofię. Zrezygnował z kariery zawodowej i nie był już panem sytuacji, więc utrata czystości moralnej nie wydawała mu się największym złem.

- Może papierosa?

Ariana, zbита z tropu, nie odmówiła. Wypalała mniej więcej jedną paczkę papierosów na dziesięć lat, ale pomyślała, że nikotyna trochę jej podniesie poziom adrenaliny. Mikołaj Flanvart był blady jak szkolna gumka. Młoda kobieta wiedziała, że to ona musi postawić pierwszy krok. Nie miała co zbierać się na odwagę, bo w tamtej chwili odwaga całkiem ją opuściła.

Zaciągnęła się papierosem, jak skazaniec, i powiedziała:

- Jak pan wie, ciężą na panu poważne zarzuty. Chciałabym poznać pańską wersję wydarzeń.

- Moją wersję wydarzeń? Tylko ta jest prawdziwa! Mąż siostry pracuje w Wynajemtotalu, bardzo go lubię i czasem się z nim spotykam, to wszystko.

- Ja też bardzo lubię swojego szwagra. Ale jak mam ochotę się z nim spotkać, to zapraszam go na kolację do siebie do domu.

- Gdyby pani szwagier wykonywał ten sam zawód co pani, może chciałaby pani zobaczyć, jak wygląda miejsce, w którym on pracuje. Krystian właśnie się zatrudnił w Wynajemtotalu i pomyślałem, że mógłbym mu co nieco doradzić.

- Przekazując dokumenty do użytku wewnętrznego, należące do największego konkurenta? Jest pan człowiekiem wyjątkowo rodzinnym...

- Nigdy nie przekazywałem dokumentów do użytku wewnętrznego! Na tych kretyńskich zdjęciach Nicarda widać, jak wchodzę z katalogiem Totalwynajmu. Każdy może go wziąć ze sklepu albo zamówić przez Internet.

Po chwili dodał drżącym głosem:

- Nie jestem żadną wtyczką, proszę pani. Wprost przeciwnie, wszystko, co zrobiłem, miało posłużyć Totalwynajmowi.

- Oczywiście, za chwilę zacznie mi pan wmawiać, że szpiegował w Wynajemtotalu na nasze konto.

- Oczywiście nie. Szpiegostwo, zdrada, po co od razu takie słowa? Pracuje w firmie wynajmującej maszyny budowlane, nie w Pentagonie! Powiem pani całą prawdę, bo nie mam nic do stracenia. Tak czy owak, wylejcie mnie.

Zapalił drugiego papierosa. Jego dłonie, wyjątkowo długie, lekko drżały. Ariana stwierdziła, że Mikołaj Flanvart jest przystojny, co jednak nie zrobiło na niej żadnego wrażenia, po prostu zauważyła to mimochodem i tyle.

- Uważam, że Totalwynajem jako firma starzeje się. Tu nikt nie interesuje się tym, co się dzieje wszędzie dookoła. Dowiadywanie się o konkurencję, dyskusje z kolegami z branży, otwieranie się na inne koncepcje świadczenia usług niż te stosowane od dziesięciu lat, krótko mówiąc: wszystko to, co mi się zarzuca, powinno być głównym celem dyrekcji- Od mojego szwagra dowiedziałem się przypadkowo, że Wynajemtotal zamierza we wrześniu wywołać rewolucję, lansując nową kartę stałego klienta: nie udało mi się zdobyć dodatkowych informacji, ale ta powinna wystarczyć, żeby nas uczulić. Kiedy powiedziałem o tym Adolfowi, stać go było tylko na to, żeby naubliżyć mi od żmij. On ma paranoję, zamknął się w swojej wieży z kości słoniowej, przekonany, że nic nam nie grozi, bo jako pionierzy w branży jesteśmy miejscowym liderem.

Ariana delectowała się tym, co słyszała, była zachwycona, że choć raz ktoś zaatakował świętą krowę firmy, ale na głos zaprotestowała:

- Ani słowa więcej! Adolf Nicard jest cennym pracownikiem, niezastąpionym. Jest żywą kroniką firmy, gwarantem jej prawidłowego funkcjonowania. Rozumiem jednak pańskie argumenty. Odkąd tu jestem, to znaczy od miesiąca, też zauważam pewną... jak by to powiedzieć... bierność zespołu. Nie jestem przekonana, czy chcę pana zwolnić.

Handlowiec spojrzał na nią ogłupiały.

- Słucham?

- Zdaje się, że ma pan dzieci? Uniósł brwi.

- Dwoje. Młodsze chodzi jeszcze do przedszkola. - Dobrze. Może pan przysiąc na ich głowy, że nie zrobił pan niczego, co mogłoby zaszkodzić Totalwynajmowi? - Przysięgam.

- Wierzę panu. Pozostanie pan na swoim stanowisku. Powiem więcej. - Ariana posłała mu uśmiech „przepojony dobrocią szefa o sile rażenia trzy”, który przećwiczyła przed lustrem kilka dni wcześniej. - Będzie pan naszym oknem na świat, to polecenie służbowe. Proszę więc wykorzystać swoją potrzebę otwierania się - tu oschły śmieszek, jakby była aroganckim szefem Ally MacBeal - i przygotować mi za miesiąc raport o konkurentach Totalwynajmu. Nie tylko w okolicy, ale w całej Francji. O ich pomysłach, sposobach zarządzania, osiągnięciach. Chcę mieć pełen audyt. Traktuje się pana w Totalwynajmie jak szpiega? Niech więc pan nim się stanie. Ale całkiem legalnie. I szpieguje na korzyść firmy, której - jestem pewna - nigdy pan nie zdradził.

Mężczyzna, który wszedł do jej gabinetu, pewien, że zostanie wylany, wyszedł z awansem w kieszeni. Pozostało „tylko” zawiadomić o tym Nicarda. Ariana nie należała do tych, którzy uciekają przed zagrażającą katastrofą. Udała się więc bez ociągania do gabinetu swojej prawej ręki, z zaproszeniem na obiad. Wsuwał argumenty, że jest dopiero jedenasta czterdzieści pięć, a jego żona na pewno przy...

Zakrzyczała go:

- Raz możemy zaszaleć, sza, sza, sza!

Nicard, rzecz jasna, nie zrozumiał tego dowcipu. Odpowiedział uszczypliwie:

- Za czasów pani męża jadalśmy raczej „Pod Tłustą Indyczką”, dla dyrekcji liczy się standing.

Dziwna rzecz, Ariana czuła się bardziej podniecona niż niespokojna. Przypominało jej to chwile poprzedzające pierwszy poród. Mieszanie radości i lęku, rezygnacji i błogości. Musiało do tego dojść. Antonina Nicard mogła schować swoje sznyce z powrotem do zamrażalnika.

- Wygląda pani bosko.

Hugo kręcił głową, jakby nie dowierzał swoim oczom.

- Nie wie pan jeszcze, że na dodatek mam na imię Maria! Kobieta zaśmiała się smutno. Przez dłuższy czas nie odrywała wzroku od lustra. Wreszcie odwróciła się do Hugona.

- Jest pan pewien, że to nie jest zbyt strojne?

Wymówiła „sthojne”, podnosząc gwałtownie powieki i opuszczając je równie szybko.

Sprzedawca pomyślał, że owszem, jest to zbyt „sthojne”. Ale tutaj wszystko było zbyt „sthojne”: makijaż pani domu umalowanej jak gwiazda rewiowa, salon pani domu, który wy-

glądał jak dzieło efekciarskich dekoratorów wnętrz z Faubourg-Saint-Martin, fiołkowy peniuar pani domu, piesek pani domu - yorkshire z wystającą żuchwą, gosposia pani domu ubrana, niczym kosmetyczka, w różowy fartuch. Niewątpliwie trochę przesadził podczas prezentacji biżuterii: do bransoletki, której nie chciała poprzednia klientka, dodał naszyjnik, kolczyki i jeszcze dwa pierścionki. Pozbycie się tych jarmarcznych ozdób stało się dla niego wyzwaniem dnia.

Nieszczęsna pani Delsol, przyozdobiona w to wszystko, wyglądała jak olbrzymich rozmiarów puszek do pudru. W każdym razie było to jedyne porównanie, jakie przyszło Hugonowi na myśl. Kiedy był mały, jego matka miała taki pompon do pudru, w który ukradkiem lubił wtulać buzię. Drobinę puchu czasem łaskotały go w nos - ubóstwiał to. Czuł zapach chanel n° 5 i podkładu, z lekką domieszką kurzu.

Delikatnie odłożył oznaczone literami „FF” lusterko na szklany blat niskiego stolika, spoczywający na nagiej odalisce z mosiądzu. Z poważną miną pokręcił głową.

- Przepraszam, że mówię to wprost, ale, moim zdaniem, taka kobieta jak pani może sobie na wszystko pozwolić. Kto mógłby nosić tę biżuterię, jeśli nie pani? Muszę się pani do czegoś przyznać. Kwadrans temu byłem u innej klientki. Ona też przymierzyła kolekcję Poupoupidou. Ma się rozumieć, szalenie jej się spodobała. Ale uznałem, że nie byłbym profesjonalistą, gdybym jej nie odwiódł od kupna. Wyglądała... jak by to pani określić... jak wielki puszek do pudru. Klientka znów się zaśmiała.

- To musiało być dla pana bardzo kłopotliwe, panie...

- Hugo, Hugo Marsiac. Jestem... bratem tej pani, która przedtem do pani przychodziła.

Od tej chwili rozmowa miała wyjątkowo miły przebieg. Maria Delsol spoglądała na Hugona z coraz większym zainteresowaniem. Ten, stanowczo zdecydowany nie wychodzić ze swojej roli, prawil jej tysiące komplementów o szyi, uszach, dłoniach, cienkich nadgarstkach, mlecznej cerze i tym podobne androny. Ze zdziwieniem zauważył, że nadskakiwanie jest czymś o wiele łatwiejszym, niż mu się wydawało. Tamtego dnia opracował technikę, którą nazwał później automatycznym chwytem w sidła: jest to bajerowanie, dokładnie takie samo jak na dyskotekach, kiedy się ma dwadzieścia lat. Tyle że cel jest mniej chlubny, bo chodzi o kasę.

Dwadzieścia minut później Hugo opuszczał rue Edouard-Balladur z czekiem na pięćset euro. Do zestawu Poupoupidou klientka dobrała ładny pierścionek z turkusem na mały palec. Hugo czuł się zbrukany.



Rozgorączkowana Ariana jednym ruchem ramienia wepchnęła Adolfa Nicarda do swojego samochodu. Początkowo chciała z nim jechać aż do Paryża, do Mange'a, restauracji o odważnej formule, otwartej niedawno na lewym brzegu Sekwany: można tam było wszystko zjeść, od nakrycia do talerzy, rachunek też. Ale uwaga Adolfa ostudziła jej zapał i Ariana przezornie wolała nie ryzykować. Kierunek: „Tłusta Indyczka”, wdzięczna oberża, idealnie umiejscowiona przy szosie krajowej numer dwanaście. Kiedy nie było seminariów dla przedsiębiorstw, ten elegancki lokal otwierał podwoje chałupy w stylu anglo-normandzkim dla turystów bawiących przejazdem w zachodniej części wielkiego Paryża i cudzołożących par po wyższych studiach menedżerskich. Hugo wiele razy zapraszał tam żonę: było to idealne miejsce do gry w „kto pierwszy się odezwie, ten przegrywa”, którą wymyślili niedługo potem, jak się poznali. Oboje byli zaskoczeni, gdy zauważyli, że niektóre pary potrafią przez cały posiłek nie otworzyć do siebie ust. Wchodząc do restauracji, wypatrywali potencjalnych „klientów” i siadali w pobliżu. Każde wybierało swojego pionka: najczęściej Ariana chciała grać kobietą, a Hugo mężczyzną. Siedząc przy swoim stoliku, ukradkiem obserwowali tamtych. Ten, czyj pionek odezwał się pierwszy do swojego *vis-à-vis*, przegrywał i musiał postawić zwycięzcy szampana. Ileż go wypili, pękając ze śmiechu, dzięki „kto pierwszy się odezwie, ten przegrywa”! - rozczuliła się Ariana. Dreszcz ją przeszedł na myśl, że podczas obiadu z Nicardem może stać się pionkiem.

Starła się jechać szybko. Adolf siedział skulony przy drzwiach, z dłonią zaciśniętą na uchwycie przy podsufitce. Gdyby znalazł się w pobliżu audi specjalista od języka ciała, zobaczyłby piękny przykład wrogości w stadium larwalnym.

Młoda kobieta zaparkowała samochód obok autokaru Rev'Mont-Saint-Michel. W restauracji, jak można było się spodziewać, ze trzydziestu emerytów płci obojga, we wciśniętych na głowy czapczkach Costa Croisières, zabierało się do jajek „mimoza”.

Arianę i Nicarda posadzono nieco z dala od grupy, naprzeciwko kominka, skąd rozchodził się zapach grillowanych antrykotów. Wybór wina pozostawiła Adolfowi. Studiując kartę przez okulary o dwuogniskowych szklach, zsuniętych na czubek nosa, powiedział:

- Przypuszczam, że pani nie pija wina do obiadu, zerknę więc, co tu polecają w mniejszych butelkach.

Młoda kobieta wyprowadziła go z błędu. Owszem, potrafiła wypić „jak mężczyzna”, zwłaszcza przy takiej okazji. Uznała za punkt honoru zrezygnować z wody „Evian” proponowanej przez jej prawą rękę i też zamówiła antrykot wołowy. Krwisty. Z frytkami. I sosem

béarnaise. Podczas posiłku mówili o bieżących sprawach Totalwynajmu, nie poruszając tematu Flanvarta. Na dłuższą chwilę zatrzymali się przy nowych dyrektywach europejskich, dotyczących homologacji terenowych wysięgników teleskopowych, dwunasto- i czternastometrowych. Poruszyli również kwestię betoniarek o pojemności trzystu pięćdziesięciu litrów, na które, Bóg jeden wie dlaczego, nie ma chętnych. Może trzeba już wycofać je z katalogu? Ariana, raz czy dwa razy, próbowała poruszyć bardziej osobiste tematy. Co robił Nicard, zanim poznał Hugona - spytała nieśmiało. Jedno jego spojrzenie wystarczyło, żeby tego pożałowała. Przy deserze on zamówił ciastko z kremem, więc ona też - odważyła się.

- Adolfie, po naszej porannej rozmowie wezwałam Flanvarta.

Akurat w tym momencie banda z Rev'Mont-Saint-Michel uznała, że trzeba wprowadzić weselszy nastrój. Jeden głos, dwa głosy, dziesięć, a zaraz potem dwadzieścia cienkich głosów zaśpiewało co sił w piersi: „Przy-nios-łem mo-jej pięk-nej ma-mie ró-że...” Ariana, niewzruszona, postanowiła mówić dalej:

- Po wysłuchaniu jego wersji wpadłam na pewien pomysł.

- Przepraszam, nic nie słyszę.

Nawet ci staruszkowie, którzy z powodu męczącego ich kaca dotąd nie śpiewali, włączyli się przy refrenie. Brakowało tylko Jacques'a Martina wybijającego rytm, żeby wrócić do najczarniejszych niedzielnych popołudni z lat siedemdziesiątych na Antenne 2.

- Adolfie, wydaje mi się, że Flanvart jest niewinny. Dałam mu drugą szansę.

- Naprawdę?

Była to bezpretensjonalna piosenka o dziecku, które odwiedza w szpitalu umierającą matkę. Nicard miał taką minę, jakby też zbliżał się do kresu.

- Jeżeli on lubi węszyć, wykorzystajmy to z pożytkiem dla nas. Zleciłam mu audyt konkurencji.

Piękna mama, która dostała białe róże od swego dziecka, „obecnie” już nie żyła - jak mówią w pomocy społecznej. Emeryci, oczadzeni calvadosem, mocno zalatującym od kilku z nich, szykowali się z powrotem do autokaru. W ciszy, która zaległa, Adolf Nicard ryknął:

- Tym razem pani przesadziła!

Dwie godziny. Kłócili się całe dwie godziny. Emeryci musieli już dostrzec zarysy Mont-Saint-Michel, kiedy oni poprosili o rachunek. Wszystko zostało wypomniane. Zniewaga, jakiej dopiero co doznała prawa ręka Ariany, jej całkowita niewiedza o firmie, jej lekkomyślność - „Awansować zdrajcę! To koniec świata!” - i, co gorsza, niemieszczące się w głowie lek-

ceważenie ze strony Hugona, który powiedział tylko, że odchodzi, nie dając żadnych wyjaśnień. On, Nicard, nie może dalej pracować w Totalwynajmie. Chce odejść.

Młoda kobieta nie przerwała mu ani razu, potem usiłowała odpowiedzieć po kolei na wszystkie zarzuty, a na koniec stwierdziła:

- Już pan wie, co ja o tym sędzę. Doskonale jednak rozumiem, że chce pan odejść. Niektórzy ludzie z biegiem czasu coraz bardziej się lubią, ale w naszym przypadku jest wprost przeciwnie. Trudno, nic na to nie poradzimy. Chce pan odejść z Totalwynajmu? Rozumiem. Ale ja nie przyjmuję pańskiej dymisji. Mam do pana jedną jedyną prośbę: niech mi pan da szansę i zaufa aż do sierpnia. Jeżeli we wrześniu nadal będzie pan chciał odejść, zrobi to pan, otrzymując dużą odprawę, daję na to słowo.

Nie płakała, nie mówiła jak arogancki szef ani jak mała dziewczynka przerażona tym, że zbiła wazon. Mówiła jak normalny człowiek.

Adolf Nicard zgodził się.

Majowy weekend w deszczu zawsze jest smutny. Zwłaszcza kiedy dom wypełnia rozdzierający śpiew Amalii Rodrigues.

Gonçalvo spędzał ostatnio u Marsiaców dwanaście godzin na dobę. Jego oblepiony gipsem ghettoaster grał tylko składankę *Fados de la desolação*. Rzemieślnik prawie nic nie mówił, za to przez cały dzień ponuro pogwizdywał, a Markiz go nie odstępował. Dziwna rzecz, pies polubił Gonçalva. Od początku zamiany między Hugonem a Arianą zwierzę okazywało symptomy destabilizacji: czasem na widok wracającej do domu pani warczało i, co jeszcze dziwniejsze, prawie w ogóle przestało zauważać swojego pana, nawet już nie okazywało mu złości. Hugo, traktowany tak, jakby go wcale nie było, łapał się na tym, że żałuje czasów, kiedy przynajmniej ten pudlojamnik sprawiał wrażenie, że wie, kto jest w tym domu mężczyzną do wyeliminowania.

Nie można było szukać schronienia na zewnątrz, ogród zamienił się w błotniste pole, po którym wały się próbki betonowych kostek. Marsiacowie udali się więc do swojej sypialni w minorowych nastrojach. Poprzedniego dnia dowiedzieli się, że agencja „O'per O'key” nie może im na razie zaproponować żadnej kandydatki. Ariana martwiła się, że trzeci już miesiąc z rzędu musi prosić o pomoc matkę. Hugo też się martwił, ale z innych powodów. Odkąd widywał codziennie Lizę, która uparła się, żeby traktować go jak rodzoną córkę, jej miły sposób bycia, usłużność, niegasnący zapal i stateczne usposobienie zaczęły mu działać na nerwy.

Tamtego niedzielnego popołudnia Hugo i Ariana siedzieli oboje na łóżku, ale nie rozmawiali ze sobą. Jeszcze czego! Przestali ze sobą rozmawiać pierwszego kwietnia. Przekazywali tylko informacje o domu, pracy jednego i drugiego, dzieciach, ale nawet ta wymiana zdań była zabarwiona nieufnością: „Gdybym za dużo powiedział(a) o mojej pracy, gdyby on(a) próbował(a) coś ode mnie wyciągnąć, gdyby...”

Hektor i Luiza siedzieli obok, wtuleni w ich ramiona, i wszyscy razem oglądali *Vidéo-gag*. Dzieci śmiały się w głos na widok niemowląt upadających na terakotę albo tłustych panów młodych lądujących na linoleum sali bankietowej i japońskich rowerzystek dubbingowanych z akcentem z francuskiego południa. Oglądając coś takiego, człowiek miał po prostu ochotę się powiesić, jeszcze większą niż z powodu Amalii Rodrigues, wspólnych lamentów Gonçálva i psa, całkowitej posuchy na dziewczyny *au pair* i deszczu, który zacinał w szyby. Ariana otarła łezkę toczącą się po policzku. Spojrzała na Hugona, który z twarzą ukrytą we włosach Luizy nucił melodię z *Titanica*.

Taki właśnie moment wybrał na odwiedzin Momo. Spędził nad protokołem z oględzin więcej czasu, niż się spodziewał, i dlatego nie stawiał się na ostatni trening, ale teraz był akurat w pobliżu, więc na wszelki wypadek zadzwonił do ich drzwi. Przyniósł nowe ćwiczenia, będą mieli niezły ubaw. Hugo powinien wreszcie skończyć porządkowanie wszystkich albumów ze zdjęciami i opisać każde z osobna, stawiając kółko zamiast kropki nad „i”, a na dodatek całe tabuny wykrzykników. W tym czasie Ariana miała ćwiczyć rozpalanie grilla przy użyciu resztek spirytusu i węgla drzewnego, który zmókł na deszczu.

Kiedy zobaczył miny Marsiaców - zrozumiał. Hugo wyglądał, jakby zamiast twarzy miał maskę z betonu trzynastki. Sińce pod oczyma Ariany obudziły w Momo obawę, że za chwilę on też może mieć takie. Oboje powiedzieli, że chcą z nim porozmawiać sam na sam. Komornik zatarł ręce. Dobrze wykonywał swoje zadanie.

Mecenas Maurycy Cantuis

*Komornik sądowy*

Członek kierownictwa FSMKS-u

Dotyczy: eksperyment Marsiaców

Raport z oględzin: miesiąc maj 2002 roku

Uwaga: dokument czasowo do użytku wewnętrznego

Podsumowanie czynności:

U obojga Marsiaców bardzo wyraźne postępy w rozwijaniu nowej wrażliwości społecznej, chociaż oni sami zdają się w to wątpić. Sposobność do rozmowy w cztery oczy z jednym i z drugim. Napotykanne przez nich trudności mają to samo podłoże:

1. Ariana Marsiac natyka się na jawną wrogość swojego dyrektora generalnego. Zaproponował jej, że poda się do dymisji, co uznałaby za porażkę, a nawet - cytuję - .....za całkowitą klęskę, i gdyby Hugo się o tym dowiedział, pokroiłby mnie na kawałki". Przypuszczam, że Ariana niepotrzebnie tak się tym przejmuje. Oczywiście na razie nie jest pożądane, żeby jej mąż dowiedział się akurat o tym. Ale w gruncie rzeczy, biorąc pod uwagę, jak to zdarzenie zostało mi przedstawione, moja klientka - która nie odrzuciła dymisji dyrektora generalnego, zadowolając się przesunięciem jej w czasie - zareagowała jak mężczyzna, co stanowi wyraźny postęp.

2. Hugo Marsiac wykazuje oznaki rozchwiania psychicznego, wywołanego przez handlowe podejście wymagane przy sprzedaży sztucznej biżuterii w domach klientek. Powiedział mi, cytuję: „Brzydzę się sobą, wydaje mi się, że stałem się starą kurwą".

#### Uwagi ogólne

Sytuacja rozwija się prawidłowo, w dający się przewidzieć sposób. W czerwcu powinien nastąpić przełom, jeżeli chodzi o wczucie się obu stron w ich nowe role. Na obecnym etapie moi klienci muszą wszelkimi sposobami umocnić swoje pozycje.

## Czerwiec

*Czerwcowe sionko dziury w kieszeni nie wypali.*

mądrość ludowa

„Turup, turup, turupruprup”. Komórka Hugona zaintonowała radośnie pierwsze akordy *Czarownic*. Był to pomysł Luizy, która nie chciała już słuchać dziesięć razy na dzień *Requiem* Faurégo, wydobywającego się z piersi ojca. Z pomocą starszego brata zadzwoniła pod jeden z licznych numerów telefonicznych płatnych euro za sekundę połączenia i w niespełna pół godziny miała już, co chciała. Hugo przystał na to wielkodusznie. Z wyjątkiem pierwszego kawałka wybranego przez Luizę - przeboju piosenkarki Lorie. Czterdziestodwuletni mężczyzna, którego komórka nuci: „Jestem gotowa na miłość”, nie mógłby liczyć na poprawę stosunków z panią Brillon, dyrektorką szkoły. Dlatego zadzwonił do „Dring Folies” i za niecałe siedemdziesiąt euro udało mu się załadować na odległość muzykę z tyłówki *Czarownic*.

Rzucił rakieta i ścigany przez krzyki Piotra pobiegł odebrać telefon. Na szczęście przewidywany rak gardła nie zaatakował jeszcze strun głosowych dziennikarza.

- Zwariowałeś, miał być punkt dla mnie!

- Daj spokój, Piotrusiu, czekam na ważny telefon od klientki.

- Tylko nie udawaj, że toniesz w nawale zajęć. Co się stało? Manikiurzystka nawaliła i jesteście wszędzie spóźniony?

- Zamknij się... Pani Montey? Tak, tu Hugo Marsiac! Jak się cieszę, że pani tak szybko zadzwoniła! Co mężuś powiedział o naszym zestawie „Żdziebko Lazuru”? Szalenie mu się spodobał? Całe szczęście! Nie, proszę się nie martwić, wyśle mi pani czek, jak będzie pani miała wolną chwilę, wiem, jak to jest, dzieci, dom, człowiek nie ma dla siebie ani minuty... Słucham? Powiedział, że za tanio? Tak mówi zakochany mężczyzna! Zasługuje pani na to! Jeśli chodzi o cenę, wystarczy dopisać na czeku jedno zero, ha, ha, ha!

Hugo pogratulował pani Montey świetnego gustu oraz miłego męża i rozłączył się.

Piotr usiadł na ziemi i przyglądał mu się na wpół zafascynowany, na wpół zbrzydzonego, jak mały chłopiec, który natknął się na rozkładówkę w „Playboyu”.

- Jaka jest ta facetka?



- Wiek trudny do określenia, siedemdziesiąt pięć kilo, profil Raymonda Barre'a, za to miła i dowcipna.

- Słyszałeś, co mówiłaś, Hugo? „Co mężuś powiedział o naszym zestawie «Żdziebko Lazuru»?" Budziu-budziu. Rozmawiałaś z nią... jak ciota.

- Nic nie rozumiesz. Jak się chce coś sprzedać, trzeba być miłym. Akurat ty nie powinieś nic mówić o ciotach, bo całymi dniami latasz za rugbistami, żeby ich przyłapać pod prysznicem i zmuszać do udzielenia wywiadów. Wyjaśniam ci: dzisiaj wpadłem na pomysł, żeby wypożyczać biżuterię klientkom, które dobrze znamy, dając im czas do namysłu: kupią czy nie kupią. Pani Montey to mój pierwszy sukces. Pozwolisz, że zadzwonię do twojej żony, żeby jej o tym powiedzieć?

- Mowy nie ma. Jest czterdzieści do piętnastu!

Po wygranym meczu rozradowany Hugo zadzwonił do Zofii. Ostatnio bardzo się do siebie zbliżyli. Była to przyjaźń bez żadnej dwuznaczności, prawdziwa męska przyjaźń - jak by powiedział Hugo dwa miesiące wcześniej, mając na myśli jej męża - z jedną różnicą: łydki nowej współniczki stanowiły o wiele przyjemniejszy widok niż owłosione łydy Piotrusia.

Znali się od dziesięciu lat, ale, paradoksalnie, współmałżonkowie odciągali ich od siebie. Przedtem, kiedy Zofia dzwoniła do Marsiaców, zawsze chciała rozmawiać z Arianą. Dla młodej kobiety Hugo Marsiac miał stan cywilny: mąż-mojej-najlepszej-przyjaciółki. Pozbawiony własnego bytu, był należącą do rodzaju ludzkiego koncepcją, funkcją, jednostką poniekąd bezcielesną, którą kobiety określają mianem „zajęty facet”. Natomiast Zofia, która w umyśle Hugona istniała tylko w parze z Piotrem albo z Arianą, jako małżonka pierwszego i współniczka drugiej, wydawała mu się zarazem kimś dobrze znanym i mglistym. Ale od kilku tygodni Zofia i Hugo mieli czas, żeby się lepiej poznać. Zofia ze zdziwieniem odkryła, że Hugo jest racjonalny do kwadratu, „bardziej niż ludzki rozum”, jak mówiła. Kiedy protestowała: „Chwileczkę, my nie sprzedajemy min przeciwpiechotnych, nie miej tylu skrupułów”, odpowiadała: „Płynię we mnie protestancka krew, nie możesz tego zrozumieć”. I rzeczywiście, ona tego nie rozumiała. Ze swojej strony Hugo zaczął bardzo sobie cenić rozmowy z Zofią. Kilka dni po sprzedaniu zestawu Poupoupidou, za radą Momo, też odbył z nią rozmowę. Powiedział, że czuje się nieswojo i brzydzi się robieniem klientkom wody z mózgu. Zofia wybuchła śmiechem: „Skądże znowu, nie ma mowy o robieniu komukolwiek wody z mózgu! Hugonie, ty naprawdę uważasz kobiety za idiotki? One nie są naiwne, wezmą od ciebie tylko to, co im się podoba, co do nich pasuje i nie przekracza ich możliwości finansowych. Twoje wygłupy są jak ładne opakowania,

niewielka wartość dodana do tych ozdób. Nie martw się, nikim nie manipulujesz. Na początku dlatego nic od ciebie nie kupowały, że im to uniemożliwiałeś, patrząc na nie spode łba. W rzeczywistości sam się oszukiwałeś, myśląc, że je wodzisz za nos".

W umyśle Hugona słowo „frywolność” zaczęło migać jak lampka na tablicy rozdzielczej. To więc była frywolność kobiet, rodzaj gry bez słów, stronnicza lekkomyślność, w rzeczywistości coś świadomego i raczej sprytnego. Od razu mu ulżyło. Od tamtej pory rozmawiał z Zofią bez oporów; współpracowniczka regularnie przypominała mu hasło przewodnie: „Baw się, Hugonie, baw się. Jeżeli, wykonując ten zawód, nie będziesz się bawił, jesteś skończony”. W drodze powrotnej z tenisa gawędził z nią dziesięć minut przez telefon i wreszcie stwierdził:

- To śmieszne, pani Montey powiedziała, że ozdoby nie są dość drogie. Nie wiem dlaczego, ale poczułem, że trzeba to przemyśleć. Zastanowię się nad tym dziś wieczorem i wrócimy do rozmowy jutro. Byłbym zapomniiał... co szykujesz dzisiaj na kolację? Karczochy? To dobry pomysł. Dodajesz musztardy do winegretu?

Kiedy otworzył drzwi, przy rue du Gai-Pinson dwanaście było gwarno jak w ulu. Ariana już wróciła i uwijała się w kuchni. Wolał nie myśleć o bałaganie, jaki zastanie w kuchennych szafkach. W salonie przebywali Liza, Gonçalvo i Momo oraz dwie nieznane mu dziewczyny. Dzieci, dopiero co wykąpane, z włosami w lokach i buziami jak z reklamy włoskich słodczy, nakrywały do stołu. Co dziwniejsze, Markiz stanął przed nim na tylnych łapach, jego drobne ciało prężyło się radośnie, kiedy cofał się, podrygując jak delfin z Marinelandu. Hugo odwrócił się, żeby sprawdzić, do kogo jest adresowana ta demonstracyjna czułość, lecz nie zobaczył nikogo. Miał ochotę wziąć zwierzę na ręce, ale dał spokój, podejrzewając jakiś podstęp.

- Co tu się dzieje? - zaniepokojony spytał szeptem żonę.

- Kochanie, jak to dobrze, że już jesteś! Spójrz, Momo przyniósł nam ćwiczenia na następny tydzień. Uśmiejesz się, musisz trenować obgadywanie ludzi w drodze powrotnej z przeszonych kolacji, a ja ze zdziwieniem mam ci odpowiadać: „Skąd wiesz, że usta Zdzisi są z plastiku, a nie prawdziwe?”

- Świetnie, ale co robią ci ludzie w naszym salonie?

- Oni? Na pewno rozpoznałeś moją matkę, Lizę Honfleur, która koniecznie chciała cię pocałować na do widzenia, ha, ha!

Pana Gonçalvo, znanego w eleganckim świecie murarza, który zamierza skończyć piwnicę dziś w nocy, też sobie chyba przypominasz.

- Ariano, przestań się ze mnie nabijać. Kim są te dwie laski?

- To Gudrun i Innocenta. Zdarzył się cud, przysłała je agencja, musimy tylko wybrać jedną z nich. Oczywiście wolałam poczekać z tym na ciebie, bo teraz ty zajmujesz się castingiem młodych dziewczyn. Pójdź poznać się z nimi, a ja przygotuję kolację, to mnie zrelaksuje. Powiedziałam, żeby wszyscy zostali, tak będzie przyjemniej, prawda?

Hugo pomyślał, że Ariana mogła go spytać o zdanie, zamiast zniechęca wszystkich zapraszać. Uznał, że takie łączenie gości świadczy o braku taktu: jak dwie kandydatki na stanowisko dziewczyny *au pair* przyjmą bezpośrednio współzawodnictwo na oczach komornika, i to takiego jak Momo. Zobaczył, że żona wsadza do piekarnika pieczeń cielecą à la Orłow, którą zaplanował na kolację następnego dnia. Odkąd Hugo przewracał codziennie jedną stronę książki kucharskiej *Kochanie, jesteś głodny?*, którą podarował mu Piotr, naśmiewając się z niego, poziom gastronomiczny przy rue du Gai-Pinson dwanaście wyraźnie się podniósł, ale logistyka nie obejmowała improwizacji. Uznał jednak, że lepiej będzie nie robić żadnych niemiłych uwag, i dołączył do dwóch dziewczyn, które prowadziły w salonie ożywioną rozmowę.

Ani przez chwilę nie pomyślał, że hałaśliwe i pełne życzliwości dla bliźnich zachowanie żony należy przypisać faktowi, iż staje się ona mężczyzną. Również ani przez chwilę nie pomyślał, że ostatnio wyraźnie zbabiał.

- Dzień dobry, która z was jest Innocentą?

Gonçalvo parsknął śmiechem. Jako mężczyzna, który, niestety, przekonał się na własnej skórze, że kobiety są wiarołomne, odgadł już, że to imię najprawdopodobniej nosi okazała liana afrykańska w platformach z imitacją geparda, a nie masywna i pocziwa Nordyczka, która uśmiecha się do niego życzliwie.

Liana przekreśliła w stronę Hugona nieskończenie długie nogi. Rzadko widywał tak pociągające istoty. Lekko tym poruszony, spytał ją o referencje. Innocenta wyjęła plik listów z torby Hello Kitty. Wynikało z nich, że jest hybrydą Mary Poppins i Mammy Scarlett O'Hary. W nienaganej francuszczyźnie oświadczyła, że wychowała czwórkę braci i siostr praktycznie sama. Tak, ma prawo jazdy. Tak, bardzo lubi gotować, prasować też.

Momo, który nie spuszczał jej z oczu, wyglądał, jakby się pławził w mlekiem i miodem płynącej rzece z muzułmańskiego raju. Gonçalvo pogwizdywał z zapałem: „Oprócz miłości nie mamy nic”. Liza Honfleur marszczyła brwi, nieufna. Ariana powstrzymywała się od śmiechu.

Potem przyszła kolej na Gudrun. Dziewczyna z pupą mniej więcej na wysokości kostek konkurentki, miała marne referencje: karierę dziewczyny *au pair* zaczęła dopiero w wieku osiemnastu lat. Pokazała list polecający, napisany po szwedzku, dodając prostodusznie, że au-

torem jest jej wuj, którego dzieci pilnowała przez dwa tygodnie latem poprzedniego roku. Poza tym Gudrun nie umiała prowadzić samochodu ani prasować koszul, „bo znów się gniotą”, i przyznała się bez bicia, że ma alergię na trawę, piasek i wodę morską.

Momo i Gonçalvo dość szybko przestali się interesować jej przypadkiem. Przyklejeni do Innocenty, sprzeczali się o to, który jej przyniesie szklaneczkę coli, a który koktajlową „Krówkę Śmieszkę” o smaku szynki.

Zaczęła się kolacja. Hektor usiadł obok młodej Senegalki, podczas gdy Luiza przezornie wolała zająć miejsce między matką a babką. Posiłek minął w raczej wesołej atmosferze. Kiedy sprzątno już ze stołu, Innocenta zadziwiła wszystkich, kładąc sobie deskę z serami na głowie. Momo, chwając jej zwinność, zaproponował natychmiast, że nauczy ją tańca brzucha. Gonçalvo powiedział, żeby się nie przejmowała tym, że uderzyła w świeżo założoną futrynę drzwi, bo on może to naprawiać nawet całą noc. Jediną osobą, której Innocenta najwyraźniej nie oczarowała, była Liza. Przez większość czasu wypytywała nerwowo Gudrun o jej ojczyznę. Czy to prawda, że Szwedzi przodują w handlu na równych warunkach? Oczywiście! Maczając chipsy w ketchupie, dziewczyna zapewniała, że nie przełknie niczego, co nie jest oznakowane „Max Havelaar”. W kwestii ekologii recykling stał się sprawą narodową, czy nie tak? Gudrun wyjaśniła, że istotnie miała zwyczaj zabierać wszędzie ze sobą osiem różnych pojemników na śmieci, żeby je jak najlepiej sortować.

Hugo obserwował rozgrywającą się scenę bez słowa. Zdziwił się, że Ariana już dłuższy czas gawędzi z Gonçalvem. Najpierw myślał, że doszło do zwierzeń; na pewno murarz ma ochotę opowiedzieć o odejściu swojej żony. Ale wyęzając słuch, Hugo przekonał się, że wcale nie o tym rozmawiają. Ariana Marsiac, metr sześćdziesiąt siedem w różowej półhalce i kolczykach ze szlifowanych sztucznych kamieni, po prostu wyjaśniała mu przewagę ruchomych rusztowań aluminiowych nad ruchomymi rusztowaniami stalowymi.

Po kolacji dziewczynom zafundowano taksówkę na drogę powrotną i obiecano, że się do nich wkrótce zadzwoni. Liza, z trochę niewyraźną miną, pomogła tylko Arianie położyć dzieci i też się pożegnała. Na odchodnym rzuciła Momo tajemniczą uwagę: „Od młodej trawy cielęta głupieją”.

Zamyślony Gonçalvo zszedł do swojej groty „posunąć do przodu” malowanie. Momo rozdał Arianie i Hugonowi zadania na poniedziałek: „Chodzi o zastanowienie się nad pomysłem, który zrewolucjonizowałby zupełnie waszą firmę, byłby jak odciskiście męskiej i kobiecej dłoni, pochodzących z różnych, wrogich sobie światów”. Potem powiedział, że jest „zbyt

zmęczony, żeby prowadzić dzisiaj jakiegokolwiek warsztaty, i zniknął, cmoknąwszy językiem. Był tak rozradowany, że Ariana i Hugo podejrzewali Innocentę o wyznaczenie mu spotkania na rogu ulicy. Wcale nie przypuszczali, że szczwany jak lis komornik po prostu cieszył się z cudu, który sprawił: Liza Honfleur była o niego zazdrosna.

Jedno, co położyło się cieniem na tym wieczorze, którym Momo delectował się jak smacznym kąskiem, to dziwne zachowanie Hektora. „Nie lubię cię” - powiedział mały przez zęby, kiedy mijali się w drzwiach frontowych. Kiedy babcia dzieciaka już nie będzie do niego wrogo nastawiona, Momo będzie musiał z nią o tym porozmawiać. Chłopiec na pewno nie jest rasistą, ma normalnych rodziców. Musi chodzić o co innego: czyżby Hektor przeczuwał, że jego babcia zakochuje się w Momo? Czyżby był po prostu zazdrosny? Takie, w każdym razie, wyjaśnienie Momo uznał, tamtego wieczoru, za najlepsze.

Kiedy zostali sami, Ariana poprosiła Hugona, żeby się wypowiedział na temat kandydatek na posadę dziewczyny *au pair*. Nie miała żadnych złudzeń. Przy wyborze między ślicznotką, która miała tyle referencji co rosyjski generał medali, a brzydactwem z problemami, nieprzygotowanym do tej pracy, nie było nad czym się zastanawiać. Hugo rzeczywiście rozstrzygnął tę kwestię od razu.

- Oczywiście trzeba wziąć Gudrun. Jeżeli interesuje cię moje zdanie, Innocenta ma zbyt wiele zalet, żeby były one prawdziwe. Czuję, że z nią mielibyśmy same kłopoty.

Noc zrobiła swoje: przyniosła dobre rady. Od pierwszej do pierwszej czterdzieści pięć Marsiacy kochali się z takim zapalem, o jakim już dawno zapomnieli. Ariana nie robiła sprawy z tego, że mąż wciąż usiłował wsunąć się pod nią. Ostatnio nawet jej się podobało, kiedy go dosiadała; dawało to upajające wprost uczucie dominacji. Potem zasnęła tak nagle, jakby straciła przytomność, po prawej stronie łóżka, zarezerwowanej kiedyś dla Hugona, podczas gdy on wyslizgnął się cichaczem, żeby wypalić papierosa na parterze.

Nazajutrz obudzili się oboje bardzo wcześnie i popędzili, każde osobno, do pracy. Oboje wpadli na genialne pomysły. Tak im się zdawało...

Hugo nie przejmował się pokasywaniem agili. Czekał, aż zechce wreszcie zapalić, nastawił radio samochodowe. Nie mógł zrozumieć, dlaczego Ariana zablokowała je na Radio Bleue, chociaż wystarczy nacisnąć przycisk „research”, żeby zmienić stację. Cyfry ustawiły się na Chérie FM. Zachwycony swoim odkryciem, zaczął śpiewać: „Nie igraj ze mną”, podrygując w takt muzyki. Słowa „ze mną” przypomniały mu klip z tą piosenką i skierował kciuki na swoją pierś. Ostatnio słuchanie przebojów z lat osiemdziesiątych sprawiało mu wielką przyjem-



ność. Ach, Ricchi e Poveri! *Sara, perche ti amo* - co za genialna melodia! Daniel Balavoine! *Mon fils, ma bataille*, czy jest bardziej wzruszająca piosenka? Pomyśleć, że przez te wszystkie lata w ogóle nie zauważał talentu Jeana Jacques'a Goldmana!

Wreszcie różowe autko ruszyło. Spojrzał przez szybę. Boże, jak pięknie jest na świecie! Pnące się po wszystkich furtkach w dzielnicy róże kwitły jak w zaczarowanym ogrodzie. Pomyślał, że życie jest jak odradzająca się roślina, którą przycina się, żeby uodpornić ją na zmiany pór roku. Wszystko może się odrodzić nawet po ciężkiej zimie. Ta metafora przypomniła mu inną, co go skonsternowało. Pomyśleć, że jeszcze dwa miesiące temu wyobrażał sobie swoje życie jako autostradę A13! I wszędzie były bramki pobierania opłat! Jakim był wtedy palantem, biurokratycznym palantem! Zaparkował przed pracownią „F jak Frywolna”, pogwizdując: „Miłość, jak huragan, zmiotła wszystko po drodze”.

Sala zebrań była pełna. Ariana zaprosiła każdego pracownika Totalwynajmu osobiście. Przed wyjściem na arenę spojrzała w lustro na korytarzu. Swoją sylwetkę skwitowała: „Zupełnie jak Yvon Gattaz!”\* Podniecona pomysłem, na który wpadła w nocy, ubrała się tak, jak to robią mężczyźni, zgodnie z techniką zwaną „pierwsze z brzegu”. Odkąd musiała odstąpić swój wielki *dressing room* Hugonowi, dostając w zamian trzy półki w szafie na podeście, raczej składowała tam swoje ubrania, niż je układała i wieszała. Tamtego ranka wpadły jej w ręce granatowy garnitur i koszula w mysim kolorze. Wsunęła stopy w wygodne mokasyny i pobiegła do audi. Wyglądała więc jak były szef Francuskiego Związku Pracodawców na emeryturze od ubiegłego stulecia. Pomyśleć, że trzy miesiące wcześniej paradowała z wdziękiem w postmodernistycznym zestawie Marie France Garaud! Połowa lat siedemdziesiątych, koniec lat osiemdziesiątych minionego wieku... W ciągu kilku tygodni przybyło jej piętnaście lat! Normalnie to stwierdzenie przeraziłoby ją, ale teraz tylko się uśmiechnęła. Drobiazg, ma ważniejsze sprawy na głowie.

\* Działacz związkowy, autor książki *La fin de patrons (Koniec pracodawców)*.

Hugo dał Zofii całusa, to znaczy wyciągnął usta, przykładając bokiem policzek do jej policzka. Tak ostatnio zaczął całować się z ludźmi. Pochwalił nowe wdzianko z żabotami. Zaprotestowała zmartwiona:

- Na pewno nie wyglądam w tym jak dzidzia-piernik?

- Ależ skąd, biel jest romantyczna i najmodniejsza tego lata! Poza tym ty zawsze będziesz miała szesnaście lat, Zozo!



- Miły jesteś. Twoja koszula też mi się podoba. Na wieszaku w sklepie turkusowy kolor trochę odstrasza, bo może się kojarzyć z Samantha Fox z lata tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku, ale na tobie, muszę przyznać, prezentuje się znakomicie.

- To takie byle co od Celio. Dwadzieścia euro, za tę cenę nie można było nie kupić, prawda?

Przez chwilę rozmawiali o ciuchach. U plemion Bantu jest tradycja, że do ważnych tematów przechodzi się dopiero po długich rozmowach o wędrówkach antylop gnu. Kwestia uprzejmości. Kiedy spotykają się dwie koleżanki, jest tak samo, najpierw poruszają tematy priorytetowe. Zofia i Hugo zaczęli rozmawiać o dzieciach. Gudrun miała się nimi zająć dopiero nazajutrz, Hugo postanowił więc, że tego dnia zjedzą obiad w stołówce, raz można sobie pozwolić na odstępstwo od reguły. Czuł się z tego powodu nieco winny. W rzeczywistości nie za bardzo. Mówił, że Hektor jest ostatnio trochę nerwowy. Trzeba mieć go na oku, to wszystko. Wreszcie uznał, że może już opowiedzieć Zofii o swoim wielkim projekcie. Podszedł do przepastnej szuflady i wyjął z jednej z szuflad kilka szkiców.

- Poznajesz je? - spytał.

Nicard patrzył na Ariane. Ostatnio w jego oczach było więcej rezygnacji niż obrzydzenia. Musiała się do tego przyczynić decyzja szefowej, żeby z powrotem zainstalować w holu stary automat do napojów. Albo perspektywa, że jak skończy się lato, on pójdzie z torbami, wypchanymi pieniędzmi.

Ariana zaczęła przemawiać. Już się tego nie bała. Wypowiadała spokojnie słowo po słowie, które układały się w zdania. Niczego więcej nie pragnęła.

- Zebrałam was tutaj po zapoznaniu się z raportem Mikołaja Flanvarta. Wykonał świetną robotę, której chciałam mu publicznie pogratulować.

Ten ostatni posłał szefowej uśmiech pełen zachwytu. Nikt z sali nie zareagował. Nieufność wobec Jagona wynajmu maszyn budowlanych wciąż jeszcze nie ustąpiła.

- Widać wyraźnie, że w naszej branży najbardziej liczy się obsługa. Jak świetnie wiemy, według biblii Totalwynajmu... korzystam z okazji, żeby wyrazić szacunek dla jednego z dwóch jej autorów, tu obecnego Adolfa Nicarda... doradztwo przy wynajmie jest kamieniem węgielnym przedsiębiorstwa. Ta zasada, która walnie przyczyniła się do naszego sukcesu, może również spowodować naszą klęskę.

Zawiesiła świadomie głos. Zapadła pełna napięcia cisza, jak na kanale Paris-Première, kiedy Tom Ford przymyka oczy, zanim wypowie się na temat trendów w następnym sezonie.

Piętnastu mężczyzn wyczekiwało, co ona powie. Skończyły się czasy, kiedy zwracali się do Nicarda ponad jej głową.

- Oczywiście, jeżeli „kopiowanie jest holdem”, jak twierdziła Coco Chanel, cała konkurencja leży plackiem przed naszym *know-how*.

Lekko się uśmiechnęła, zadowolona z tego sformułowania, po czym dodała z dramatyzmem:

- Wszędzie tylko dumping cen, konkurencyjne karty rabatowe, hasła „sześć betoniarek za cenę pięciu”, promocje „przy wynajmie narzucarki do tynku pistolet do baranka gratis”, itd.! Niestety, jest to legalne, chociaż nielojalne! Ale naśladowcy nigdy nie wymyślą nic nowego. Tylko my mamy wyobraźnię! Według Flanvarta nadal jesteśmy najlepiej notowani u przemysłowców i rzemieślników, ale Wynajemtotal, Wynajmijunas i Wynajmujtylkounas zabierają nam klientów indywidualnych. Musimy ich odzyskać. W związku z tym mam do zaproponowania innowację.

Znów cisza. I znów porozumiewawcze mrugnięcia.

- Kto z was jest żonaty? Wyrósł las podniesionych rąk.

- Dobrze. Oczywiście też bywacie klientami Totalwynajmu. Kto z was ma żonę, która sama robi grubsze remonty?

W jednej chwili - jakby nad CRH w Bachelay, departament Yvelines, powróciły wichury z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku - las rąk zniknął.

- Wyobraźcie sobie, że wasze żony nie mają mężów majsterkowiczów. Albo są niezamężne jak trzydzieści procent Francuzek. Czy mogłyby zostać potencjalnymi klientkami? Oczywiście nie. Tu możemy dużo działać. Mój pomysł jest tak prosty, że mogła na niego wpaść tylko kobieta.

Handlowcy uśmiechnęli się. Ariana miała jedynie nadzieję, że zrozumieli aluzję zawartą w jej wystąpieniu.

- Będziemy wynajmować nasze maszyny razem z mężczyznami, którzy potrafią je obsługiwać. Muszą być przystojni, ma się rozumieć. Wysocy, niscy, bruneci, blondyni, co kto woli. Do wynajęcia, jak cała reszta katalogu.

- Widzisz, Zozo, może źle się zachowałem, ale niedawno, jak szukałem błyszczącej wstążeczki na eleganckie opakowanie dla pani Ménard, trafiłem na te projekty. Są przepiękne. - Hugo zamachał obiema rękami. - Sądząc po dopiskach: „Rubiny, złoto, platyna”, zrozumiałem,

że takiej biżuterii nie można wykonać z tanich materiałów. Tymczasem... - Zamilkł na chwilę i wyciągnął palec wskazujący. - Uważam, że te szkice to przyszłość firmy „F jak Frywolna”.

- Hugonie, wybij sobie z głowy takie pomysły. Nie mamy pracowni przy placu Vendôme. Prawdziwa biżuteria jest poza naszym zasięgiem.

- Wiem, ale to można zmienić. Zwłaszcza że kamienie szlachetne tym bardziej kuszą kobiety, im mniej je na nie stać. To mi nasunęło pomysł, że będziemy robić taką biżuterię po to, by ją wynajmować.

- Wynajmować? Odbiło ci, Hugonie? Wynajmować brylanty jak ładowarki?

- Zajmuję się zawodowo wynajmem od dwudziestu lat. Nie chwalebę się, ale Ariana słusznie twierdzi, że jestem największym wynajemcą w zachodniej części wielkiego Paryża. Znam się na tym, uwierz mi. Brylanty czy ładowarki, w gruncie rzeczy na jedno wychodzi. Abstrahując od rodzaju surowca, wymiarów, ciężaru, ceny, zajmowanego miejsca, łatwości przemieszczania i użyteczności, to ganc pomada.

- Jak sobie poradzisz z ubezpieczeniem, kradzieżami i tak dalej?

- Nie bój się, mam to w małym palcu. Poza tym nie chodzi tylko o wynajem.

- Owszem, boję się. Chcesz, żebyśmy wystawiali naszą biżuterię w składzie z prefabrykatów w Bachelay? Totalfrywolwynajem, o to ci chodzi?

- Wcale nie! Posłuchaj, przed przyjęciem, jakąś rocznicą albo inną uroczystością klientki wyrobią w sobie odruch, żeby telefonować do nas, a wtedy my natychmiast jedziemy do nich z walizeczką. Dopiero teraz zaczyna się makiawelizm. Odwiedzając klientki, przekonałem się, że w dziewięciu przypadkach na dziesięć burżujki, które płaczą, że nie mają pieniędzy, wciskają nam kit. Według moich szacunków w tej dzielnicy właściciele większości domów płacą podatki od bogactwa. Jak facetka będzie musiała zwrócić nam pierścionek z brylantem i kolczyki z rubinami, których przez tydzień nie zdejmowała, to będzie się tak czuła, jakby wrywano jej niemowlę z progiem porodówki. Książeczki mieszkaniowe, oszczędnościowe, portfele mężów - wszystko pójdzie w ruch. Mogę się z tobą założyć, że tę biżuterię będziemy nie tylko wynajmować, ale również sprzedawać. Na tony. Mamy to jak w banku, Zozo.

- Taka wizja kobiet jest przerażająca, Hugonie. - Uśmiechnęła się, zachwycona. - Ale masz rację, na sto procent. Nie o to chodzi, że my, facetki, jesteśmy głupie, ale dla nas biżuteria to tak jak dla was samochody, czasem tracimy rozum.

Z radości zaczęła podskakiwać w miejscu. Raptem znieruchomiała.

- Zaraz, ale jak my to zrobimy? Od czegoś trzeba zacząć. Znasz się na finansach. Za co kupimy kamienie szlachetne?

- Wiesz, że mam pieniądze. Ty masz talent, wierzę w twoje projekty i sfinansuję je.

Zofia spojrzała na niego oniemiała.

- To nie wchodzi w rachubę, Hugonie. Nie chcę twoich pieniędzy. Gdyby Ariana wpadła na ten pomysł, nigdy w życiu nie wzięłaby od ciebie ani centa. Dałybyśmy sobie radę bez naszych facetów. Odmawiam.

Hugo zmarszczył brwi. Tego się nie spodziewał. Dotąd nie zdarzyło się, żeby ktoś odmówił przyjęcia od niego pieniędzy. Zwłaszcza żona! Ach, te soboty na wyprzedazach! Te ni-by-światne okazje! Gdyby Ariana nie była tak oszczędna, w ciągu dziesięciu lat mógłby założyć jeszcze parę firm! Nowy Hugo posłał w myślach znaczący uśmiech dawnemu Hugonowi. Ale nie miał zamiaru obciążyć dodatkowo swojej kartoteki fallokraty w obecności współniczki.

- W takim razie przedstawimy nasz projekt w banku. Zofia uśmiechnęła się. Hugo wygrał.

W sali zebrań Totalwynajmu było tak cicho, że dałoby się słyszeć, jak leci... samojezdny wysięgnik teleskopowy. Nie wiedząc, jaka będzie reakcja Adolfa Nicarda, handlowcy przybrali miny pokerzystów. Generalny dyrektor obnażył dziąsła barwy gotowanej cykorii.

- Wynajmować mężczyzn z maszynami... Konkretnie, chodzi pani o prostytutkę czy o usługi z naszej branży?

Ariana poczuła, że blednie, również przybierając kolor śluzówki wyścielającej jamę ustną jej prawej ręki. Ale była głupia! Wyobraziła sobie triumfalne wyjście wśród wiwatów personelu, pod szpalerem trzymany w górze katalogów, ciągnącym się aż do parkingu! Żeby odzyskać pogodny wyraz twarzy, zmusiła się do myśli o czymś przyjemnym. Wspomnienie, z jaką łatwością prowadzi się audi, podziało.

- Jest to, w wersji mniej szowinistyczno-męskiej, ale, mam nadzieję, bardziej opłacalnej, nasz stary rabat dziesięcioprocentowy dla pań, które przychodzą tu same.

Adolf wstał z trudem ze swojego miejsca. Podeszedł do Ariany bardzo powoli i podniósł dłoń na wysokość jej twarzy.

Wtedy wydarzyło się coś, co w ogóle nie powinno się wydarzyć.

Bo wtedy Adolf Nicard dotknął ramion Ariany, pasując ją na rycerza.

Bo wtedy powiedział głośno i wyraźnie:

- Brawo, to wspaniały pomysł.

Potem było jak we śnie. Handlowcy spojrzeli na siebie osłupiali i podnieśli się z miejsc, bijąc szefowej brawo.

Komórka Lizy Honfleur odśpiewała *Międzynarodówkę*. Liza przerwała kontemplację ajurwedyczną i odebrała telefon. Głos córki aż drżał z podniecenia:

- Mamo, nareszcie!

- O czym mówisz, kochanie? O comiesięcznych niedogodnościach? Nie martw się, to nic strasznego, a w twoim wieku był już najwyższy czas...

- Chodzi mi o pracowników! Wpadłam na pomysł, zaraz powiem ci, o co chodzi...

W podniesionym głosie Lizy pobrzmiwała obrażona godność.

- Ariano, ostatni raz dzwoniłaś do mnie w kwietniu. Od tamtej pory wiele się zdarzyło. Dzień matki, moje urodziny itede. Nie odezwałaś się. Zajmowałam się twoimi dziećmi przez dwa miesiące, dzień w dzień, i jedyną osobą, która mi za to naprawdę podziękowała, był twój mąż. Chcę przez to powiedzieć, że nie żałował czasu, żeby mi sprawić przyjemność; za radą Zofii zamówił dla mnie naszyjnik z kapsli od coca-coli, wyszytych przez godne podziwu Paragwajki. Nie jestem drobiazgową, ale to bezczelność dzwonić do mnie, żeby mówić o sobie i tylko o sobie. Ja chciałabym z tobą porozmawiać o Hektorze. Ostatnio nie jest w dobrej formie...

- Mamo, ktoś wszedł do gabinetu. Nie mogę teraz rozmawiać, zadzwonię do ciebie później.

Oczywiście mogła dalej rozmawiać. Nikt nie wszedł do jej gabinetu: cała załoga była już zajęta wyszukiwaniem niby-chippendalesów, bo szefowa zarządziła, że casting ma być zakończony przed końcem miesiąca. Ale wysłuchanie kazania, którego nie uniknęłyby, było ponad jej siły. Ariana wołała już czasy, kiedy nie znajdowała słów, którymi mogłaby wyrazić, jak bardzo jej doskonała matka ją denerwuje. Czuła, że rośnie w niej gniew. W końcu, od urodzenia Hektora, co miało miejsce dziewięć lat wcześniej, prawie całkowicie poświęciła się dzieciom. Rachunek był prosty: przez sto sześć na sto dziewięć minionych miesięcy zajmowała się wyłącznie dziećmi. Robienie afery z powodu trzymiesięcznego wyłomu jest wstrętne, ni mniej, ni więcej. Zrozumiała, że zaczyna żywić do swojej rodzicielki takie uczucia, jakimi synowa darzy teściową.

*Znowu Międzynarodówka*. Znowu Liza przerwała kontemplację. Był to Momo, słodziutki jak miód.

- Brakowało tylko pana, Maurycy.

- Miło, że pani za mną tęskniła. Ja też dużo o pani myślałem. Miałem ochotę usłyszeć pani głos.

- Już go pan usłyszał. Czemu zawdzięczam pański telefon? Senegalska szarańcza odleciała na południe i poczuł się pan samotny?

Momo był zachwycony.

- Nie wiedziałem, że pani jest rasistką.

Nie ulega wątpliwości, że komornik był spryciarzem. Liza od razu się wściekła.

- Maurycy, ta dziewczyna jest skończoną dziwką, to nie ma nic wspólnego z kolorem jej skóry. Zanim pan zacznie wyzywać mnie od rasistek, powiem panu, że podpisywałam petycje przeciw apartheidowi, kiedy jeszcze nie było pana na świecie. Wstrętny Arabus!

- Jest pani zabawna. Miałem dzisiaj ciężki dzień. Mało zabawne zajęcie dobytku tonącej w długach pary; chyba przede mną byli tam włamywacze, bo brakowało nawet przepisowego stołu i łóżka, wyobraża to sobie pani? Jak można przyzwicie Pracować w takich warunkach?

- Racja. Niektórzy mają naprawdę wstrętną pracę.

- Szelmutka, do tego dowcipna. Będzie mi brakowało pani impertynencji. Na myśl, że już nie będę pani widywał co poniedziałek przy rue du Gai-Pinson, wolę... nie myśleć.

- Pan też jest dowcipny, panie komorniku. Właściwie dlaczego pan zadzwonił?

- Jak zwykle. Żeby się z panią spotkać.

- Zawział się pan na mnie, słowo daję. O co chodzi tym razem?

- O pani wnuka. Mówię serio. Ostatnio wieczorem powiedział mi coś, co mnie zaniepokoiło... To nie jest rozmowa na telefon.

- Chce pan porozmawiać o Hektorze? Nic więcej?

- Oczywiście, proszę sobie nic nie wyobrażać. Nie jestem głupi, wiem, że nie mam u pani żadnych szans, chociaż moje serce jest czyste, a zamiary są szlachetne...

Westchnął jak opadający przekładaniec z dynią. Chociaż Liza ani przez chwilę nie nabrała się na jego chyty, poczuła, że gniew mija.

- Dobrze. Gdzie i kiedy?

Agila i audi zaparkowały jednocześnie pod samą szkołą. Marsiacowie wymienili zaniepokojone spojrzenia. Ani jedno, ani drugie nie miało czasu wpaść do domu, żeby się przebrać. Hugo wciąż miał na sobie przyciasną koszulę w turkusowym kolorze, a Ariana zestaw à la Yvon Gattaz. Przed wejściem wzięli się za ręce. Jeżeli dyrektorka wzywa na ten sam dzień, w



którym dzwoni, żeby porozmawiać o waszym synu, to raczej nie po to, by oznajmić, że nauczył się wreszcie na pamięć mnożenia przez osiem.

Kierowniczka placówki przywitała się serdecznie z Arianą, bez entuzjazmu podała rękę Hugonowi i zamknęła za nimi drzwi gabinetu. Na ścianie rysunki dzieci, na wpół wzruszające, na wpół pochlebne, przedstawiające dyrektorkę otoczoną serduszkami, z podpisami w rodzaju: „Pani Brillon to nasze słońce”. Półki (zbyt cienkie), uginające się pod ciężarem dzieł zebranych Brunona Bettelheima, Françoise Dolto i Donalda Winnicotta. Hugo zrozumiał, że to nie będzie kaszka z mlekiem.

Dyrektorka wyciągnęła teczkę Hektora i wyjęła z niej dwoma palcami, tak jakby to był zabrudzony kawałek papierowego ręcznika Sopalin, jego dzienniczek ze stopniami. Potem wygłosiła mniej więcej taką mowę... jakiej, niestety, większość rodziców wysłuchała chociaż raz w życiu. Ilu z nas ominęło przyjmowanie środków uspokajających po takim popołudniowym spotkaniu z kierownikiem placówki szkolnej? Ogólnie biorąc, rozmowa była utrzymana w poważnym tonie, wyniki szkolne małego nie skłaniały do żartów. Jego stopnie wyglądały wszystkie tak samo, jak ptaszki skulone na przewodach wysokiego napięcia. Jedyne aspekty pozytywne: z powodu zerowych ocen z każdego przedmiotu należało pochwalić ucznia za systematyczność. Ponieważ przedtem dobrze się uczył, było to, ma się rozumieć, bardzo niepokojące. Należało się zastanowić nad lekcjami wyrównawczymi, nauczaniem indywidualnym lub pozostawieniem na drugi rok w tej samej klasie. „Może od razu posłać go do kamieniołomów?!” - chciał ryknąć Hugo.

Pani Brillon nie odmówiła sobie przyjemności, żeby dodać z perfidią:

- Czy to ostatnie zmiany wewnątrz rodziny wywołały te objawy destabilizacji u państwa syna?

Oniemiały Hugo patrzył na Ariane. Obawiając się, że sam mógłby wybuchnąć, dyskretnym ruchem głowy dał jej znak, żeby zabrała głos. Zazwyczaj ona rozmawiała z nauczycielami. Znała całą szkołę i wszyscy podziwiali jej zapał przy organizowaniu uroczystości na zakończenie roku szkolnego. Nikt tak jak ona nie potrafił przebrać dziecka za rzodkiewkę albo sprzedawać starych biszkoptów po piętnaście euro sztuka. Tylko ona będzie umiała grać na zwłokę, uspokoić panią Brillon, uchronić synka przed hańbą. Ariana patrzyła na dyrektorkę, z pozoru niewzruszona. Potem otworzyła usta. I, po raz drugi tamtego dnia, wydarzyło się to, co nie powinno się wydarzyć.

- Pani jest... niezrównoważona! Co pani wie o naszym życiu? Jakim prawem mówi pani tak o moim synu? Zabraniam pani mieszać się do naszych spraw. Hektor nie wykazuje objawów destabilizacji... tylko zrobił się trochę leniwy.

Było to jedyne określenie, jakie przyszło Arianie na myśl. Przerażony Hugo zakrył jej usta dłonią.

- Tak mi przykro, proszę pani. Żona jest ostatnio przemęczona. Ona wcale nie chciała tak powiedzieć. Porozmawiamy z Hektorem. Przypuszczam, że on tymi złymi stopniami usiłuje nam coś powiedzieć. Ale pani wie tak samo jak ja, że w szkole podstawowej zostawienie na drugi rok więcej daje w starszych klasach. Jak się pani zapatruje na to, żeby wrócić do tej kwestii za rok?

Wiedzę, którą wyłożył z taką pewnością, jakby był psychiatrą dziecięcym, uzyskał dzień wcześniej od pewnej matki, z którą wdał się w dłuższą pogawędkę, kiedy odbierali swoje dzieci ze szkoły.

- Nasz syn zawsze się przykładał do nauki. Nie sądzi pani, że zasługuje na jeszcze jedną szansę?

Oczy pani Brillon, wybałuszone jak u Myszki Miki witającej przy wejściu do szkoły, wędrowały od Hugona do Ariany i z powrotem. Powiedziała, że musi się zastanowić. Rozmowa była skończona. W drzwiach gabinetu młoda kobieta wyjąkała bez przekonania słowa przeprosin, a dyrektorka długo ścisnęła dłoń Hugona, nie wiedząc, co ma o tym wszystkim myśleć.

Mecenas Maurycy Cantuis

Komornik sądowy

Członek kierownictwa FSMKS-u

Dotyczy: eksperyment Marsiaców

Raport z oględzin: miesiąc czerwiec 2002 roku

Uwaga: dokument czasowo do użytku wewnętrznego

Podsumowanie czynności

- Postępy w rozwijaniu nowej wrażliwości społecznej przez Marsiaców. Miesiąc bardzo pozytywny. Pomału, z małymi oporami osiągamy to, co zamierzone. Po przyzwyczajeniu się do życia drugiej połowy Marsiacowie poczuli się pewniej na swoich nowych stanowiskach. Pozostaje umocnić to, do czego doszli. Jedyne powód do niepokoju: za bardzo się czasami przejmują. Gdyby któreś z moich klientów dowiedziało się o inicjatywach podjętych przez drugą stronę, mogłoby to doprowadzić do napięć między nimi.

- Postępy w rozwijaniu nowych osobowości. Całkowity sukces, albowiem:

1. Hugo Marsiac stał się kobietą. Jego frywolność oceniam na więcej niż osiemdziesiąt procent. Fizycznie prawie się nie zmienił, wyłączając nowe ubrania, w których wygląda jak mediolański stylistą, i utratę kilku kilogramów, bo wciąż się martwi, że utyje. Z psychologicznego punktu widzenia postępy są prawie niewiarygodne. Przytaczam jako dowód następującą uwagę. W minionym tygodniu podczas poniedziałkowych ćwiczeń na temat mężczyzn i kobiet - symboli swojej epoki, powiedział: „Wydaje mi się, że Laetitia Casta ma zęby wysunięte do przodu”.

2. Ariana Marsiac już jest - prawie - mężczyzną. Nie rozmawia najwyżej o czymś informuje. Chyba chce zamienić audi na velsa-tis z supernapędem. Poziom nonszalancji oceniam u niej na siedemdziesiąt procent. Powinien dojść do stu procent w lipcu, kiedy Ariana ostatecznie zrezygnuje z odniesień do kobiet. Zasłyszane podczas skróconych ćwiczeń poniedziałkowych: „Mówcie, co chcecie, ale nikt nie ma takich bioder jak Julien Clerc”.

Uwagi ogólne

Wszystko idzie coraz lepiej. Pozostają do uregulowania dwa szczegóły:

1. Dzieci Marsiaców chyba nie rozumieją, o jaką stawkę grają ich rodzice, uczestnicząc w tym eksperymencie. Ponieważ sam nie mogę z nimi porozmawiać (moja praca rzadko zmusza mnie do rozmów z osobnikami w wieku dziecięcym), bardzo liczę na wsparcie Lizy Honfleur, ich babki. Nasze następne spotkanie, w lipcu, powinno umożliwić wspólne opracowanie strategii na przyszłość.

2. Marsiacowie nie w pełni sobie uświadamiają, jak się zmienili. Wydaje się, że dobrze widzą zmiany u drugiej strony, za to gorzej u siebie. Zastanawiam się, czy może to w przyszłości spowodować komplikacje.

## Lipiec

*Kobiece łzy i deszcze lipcowe nigdy długo nie trwają.*

mądrość ludowa

Dilabault, zamyślony, potrząsnął głową.

- Kto chce psa uderzyć, ten zawsze kij znajdzie, panno Gudrun.

Szwedka, która zrozumiała, że pracodawcy chcą jej dosłownie wygarbować skórę, wydała z siebie okrzyk przerażenia. Jej francuski wcale się nie poprawił przy szczebiotach Gonçalva, będących połączeniem języka używanego w Luzytanii z językiem przyswojonym przez niego w Le Vésinet. Prawdę mówiąc, rozumiała tylko co czwarte słowo z długich przemów murarza. Dlatego z prawdziwą przyjemnością witała dwa razy w tygodniu kierownika budowy. Czekając na powrót Hugona, gawędziła z Dilabaultem o wszystkim i o niczym. Były to dłuższe pogawędki, bo od miesiąca Hugo jakby stracił poczucie czasu. Czy dlatego, że nowa kolekcja firmy „F jak Frywolna” tak go pochłaniała? Czy też stał się naprawdę kobietą, ale prawdziwą, nie taką jak Ariana? Trudno powiedzieć. Ale spóźnienia byłego szefa Totalwynajmu wynosiły ponad pół godziny.

Tamtego historycznego poranka Gudrun zaczęła się zwierzać Dilabaultowi. Czuli się źle w tej rodzinie. Dzieci jak to dzieci, ale rodzice są dziwni, może nie? Obawiała się wakacji nad morzem w sierpniu. Pracodawca zarzucił jej wczoraj, że jest nonszalancka w stosunku do Hektora i Luizy. Wyjaśniwszy Gudrun znaczenie tego słowa („To oznacza kogoś leniwego”), kierownik budowy, który nigdy nie miał dość, skorzystał z okazji, żeby dodać: „Kto chce psa uderzyć, ten zawsze kij znajdzie”, co może przerazić każdą dziewczynę *au pair*, mało wprowadzoną w metaforyczne subtelności pięknych przysłów wypowiedzianych po francusku.

Akurat wtedy pojawił się Hugo, a wraz z nim dzieci. Widząc, że minęło już południe, a Szwedka szwenda się jeszcze po kuchni w T-shircie, zmarszczył brwi, dodając w duchu: „Trzeba będzie coś z tym zrobić. Dziś wieczorem poproszę Arianę żeby z nią porozmawiała. Ona ma autorytet, może będzie lepiej, jeżeli to wyjdzie od niej”.

Powiedział:

- Gudrun, kuku, poznajesz mnie? Obiad już gotów? Nie? To szkoda. Widzisz, teraz jest pora obiadu. Dzieci są głodne, a ja muszę jechać...

Syn mu przerwał:

- Tato, powiedziałaś, że zawiesz mnie na piłkę nożną.

- Wiem, kotku, ale...

- Nie mów do mnie „kotku”, jestem już duży.

- Okay. Panie Hektorze, naprawdę nie mogę teraz zostać z panem, ale wrócę jak najszybciej, obiecuję.

Chłopczyk się zachmurzył.

„Znow się zacnie” - pomyślał Hugo.

Dwa tygodnie wcześniej, po spotkaniu z panią Brillon, Marsiacowie popędzili do domu. Nie mylili się: w kosmicznym statku międzygalaktycznym, który służył mu za łóżko, ich syn udawał, że śpi, nasłuchując, czy rodzice idą już po schodach. Żeby nie obudzić Luizy, zabrali go do swojej sypialni. Rozmawiali z nim do późnej nocy.

Nie chcieli go besztać za złe stopnie; chociaż to, czego się dowiedzieli, zaskoczyło ich, nie zareagowali jak bezduszni głupcy. Dość szybko mały wyznał, o co chodzi. Nie mógł wytrzymać, że w szkole koledzy śmieją się z niego i mówią na jego ojca „facetka” z powodu ciuchów, które nosi, albo „Barbie z powodu różowego samochodu. W domu nie mógł znieść, że to Hugo wyklada jemu i siostrze ubrania na następny dzień, myje im włosy i złości się, porządkując gry wideo, albo wygłasza zdania w rodzaju: „Zjedz jeszcze trochę zapiekanki z cukinii, wiesz, ile się przy niej napracowałem” albo „Nie jedzcie tyle dragibusów, bo szkoda zębów”. Przedtem miał normalnego ojca, który podsuwał mu ukradkiem ketchup pod stołem, wrzucał tenisówki na chybił trafił do szafy, zapominał odwrócić klepsydrę do mycia zębów - krótko mówiąc, pomagał bałaganić. Co gorsza, nowy zawód ojca określił jako „dziewczynowy”. Ten przymiotnik, wymyślony przez niego, kiedy gniewał się na siostrę, obejmował wszystko, czego najbardziej nie cierpiał. „Dziewczynowe”, czyli wstrętne, było to, co różowe, łagodne, miękkie, w kwiatki, ze wstążkami i czule. Tata zrobił się „dziewczynowy” i świat małego chłopca runął w gruzy. Najgorsze, że ojciec w ogóle nie zwrócił uwagi na sygnały alarmowe, które syn mu wysyłał: w końcu maja Hektor specjalnie zamienił zrobione w szkole prezenty na dzień matki i dzień ojca. Tata głośno się cieszył na widok fartuszka ozdobionego serduszkami w kolorze fukcji, nie zdając sobie sprawy, że taki prezent jest wołaniem o pomoc.

Ani przez chwilę dziecko nie narzekało na matkę. Nie chodziło więc o jej zmianę tożsamości. Hektor miał żal tylko do ojca, przez co Arianie wcale nie było źlej; poczuła nieprzyjemne ukłucie w sercu.

Marsiacowie uznali, że muszą powiedzieć synowi prawdę. Wyjaśniali, dłużej niż w marcu, co się dzieje między nimi. Niecodziennosc sytuacji, jak również jej odwracalny charakter. Nikt przecież nikogo do niczego nie zmuszał, wszystko układało się jak najlepiej. Czy Hektor nie widzi, że rodzice są w świetnej formie? Dziecko przyjrzało się pochylonym nad nim zaniepokojonym twarzom - cienie pod oczyma wielkie jak ostrygi, zmarszczki jak nawiasy wokół ust - i nic nie powiedziało. Ariana i Hugo próbowali przekonać Hektora, że stare schematy „tata w biurze, mama w domu” były już pogrzebane, reakcyjne, przestarzałe! W tej kwestii osiągnęli umiarkowany sukces; wiadomo, że przy dziecku poniżej dziesięciu lat terrorysta islamski jest wzorem otwartości umysłu i tolerancji. Zanim poszli spać, przysięgli sobie różne rzeczy. Tatuś zrobi, co może: rzecz jasna, nie wróci do swojego poprzedniego zawodu przed ustalonym terminem, ale będzie się starał spędzać trochę czasu z synem jak mężczyzna z mężczyzną. Z kolei Ariana usłyszała samą siebie, wygłaszając następujące zdanie: „Nie przejmuj się, synku. Jak do końca roku szkolnego będziesz się przykładał do nauki, to kupię ci nowy rower”.

Ani matka, ani ojciec nie spali dobrze tej nocy. Na Hugona spadły tony poczucia winy, które na ogół towarzyszą tego rodzaju rozmowom międzypokoleniowym. Ze swojej strony Ariana próbowała aż do świtu dociec, w którym momencie sytuacja wymknęła się jej spod kontroli. Odkąd urodził się Hektor, zawsze myślała, że „podświadomie odbiera stany psychiczne swoich dzieci”; z Zofią ze dwadzieścia razy rozmawiały o tym, co powoduje, że matka budzi się, zanim jeszcze dziecko zacznie ją wołać, żeby przyszła przepędzić kosmatego potwora, który chce je połknąć. Tym razem nic nie przeczuła, nie widziała, co się święci.

Dwa tygodnie później, widząc, że syn znów się zamyka w sobie, Hugo postanowił nie ulegać intoksykacji przez uczuciowy szantaż. Zofia czeka na niego w pracowni, a potem musi wpaść do Auchan, ale postara się wrócić około dziewiętnastej na partyjkę kozaków z Hektorem. Jego dzieci nie były najniezwyklejszymi dziećmi na świecie, do cholery! Ze skurczonym żołądkiem zaczął ogryzać paznokcie, wmawiając sobie, że wszyscy w tej rodzinie są naprawdę szczęśliwi.

Trzeba powiedzieć, że szybko się uczył. Odkrywał nieuniknioną konsekwencję swojej kobiecości: poczucie winy. Kobiety w większości czują się w każdej sytuacji winne. Że nie są dość ładne, nie dość jasnowłose, nie dość modne. Albo za bardzo. Że nie pracują. Albo że pra-



cują za dużo. Że nie spędzają dość czasu ze swoimi dziećmi. Albo że są nadopiekuńcze. W obcym dotąd Hugonowi świecie to dziwne uczucie nie podobało mu się najbardziej. W rekordowo krótkim czasie zrozumiał, że powinien przyjąć postawę przeciwną, będącą inną cechą charakterystyczną kobiet - zaprzeczanie, które polega na mówieniu zawsze i wszędzie: „Wszystko w porządku”. To powiedzenie jest jak cień do powiek. Nie służy niczemu, nawet udowodnieniu sobie czegokolwiek. Ale dzięki niemu wszystko od razu wygląda lepiej i z tego tytułu jest nieodzowne.

Liza Honfleur odgryzła spory kęs steku z soi. Czuła, że jest w formie, żeby trochę się posprzeczać z Momo.

- Wie pan, na czym polega pański problem, Mohamedzie? Pan odrzucił swoje „maghrebostwo”\*.

- Proszę do mnie mówić Maurycy. Moje co?

- Tożsamość północnego Afrykanina! Fakt, że pochodzi pan z surowego kraju, zamieszkanego przez ludzi szorstkich, jakby wyciosanych z kamienia, ale wyniesionych ponad innych przez niezwykły powiew poezji. Żyjąc na zachodnią modłę, odciął się pan od swoich korzeni.

- Chciałaby pani, żebym egzekwował nakazy płatności przebrany za Beduina? Nie mam już tam rodziny. Wszyscy moi krewni mieszkają w Chatou albo w Nanterre, a najdalsi kuzyni w Mantes. Byłem tylko dwa razy w Maroku. Pierwszy raz z Club Méditerranée, a drugi z FSMKS-em, na seminarium.

- Współczuję panu, że nie ma pan prawdziwych korzeni. Moje są w Normandii. Tam też nie żyje się łatwo z powodu klimatu, ale ludzie są dumni i godni jak pana rodacy.

\* Państwa Maghrebu: Algieria, Tunezja, Maroko.

- Lizo, wszyscy Normandczycy, których znam, od siódmej rano tankują calvados.

- Zgadza się. To są ludzie, którzy dorobili się wielowiekowych tradycji.

Momo, dotknięty do żywego, wyprostował się na krześle z uprawianego bambusa.

- Ja też jestem przywiązany do kultury swoich przodków, ale nie afiszuję się z tym. Nie owijam sobie nią głowy jak niektórzy, ale jestem z nią związany, na pewno. Na przykład moja miłość do dojrzałych kobiet o bujnych kształtach jest typowo wschodnia.

- Wie pan, co o tym myślą dojrzałe kobiety o bujnych kształtach?

- Skąd pani wie, że panią miałem na myśli? Ha, ha, ha! Wie pani, jaka pani jest, Lizo? Jest pani jak Liz Taylor, furia, mitem. Jest pani również jak świerszcz. Te świerszcze to nowa bolączka Amerykanów. Przeczytałem to w „Nouvel Observateur”, więc musi tak być.

- Co to takiego?

- To się wzięło z *Pinokia*, wie pani, tej bajki dla dzieci; świerszcz to mały chudeusz, który uosabia czyste sumienie, chodzi za Pinokiem i mówi mu, co powinien zrobić. W Stanach określiła się słowem „świerszcz” każdego wzorowego obywatela, czynnie w coś zaangażowanego, który zamęcza innych ludzi, pouczając ich przez cały czas.

Momo powiedział to najbardziej niewinnym tonem, jaki można sobie wyobrazić. Liza, choć śmiertelnie obrażona, uśmiechnęła się jednak szeroko.

- Nawet się to panu udało. Świetnie rozumiem, że przez odrzuconego mężczyznę przemawia gorycz. Ale skoro dowiaduję się, że czyta pan bajki dla dzieci, to przypominam sobie, że chciał pan porozmawiać o Hektorze.

Cantuis opowiedział Lizie scenę po kolacji z castingiem dziewczyn *au pair*. Babka pokiwiała głową: nie była zaskoczona. Hektor jej się nie zwierzał, ale dobrze widziała, że coś jest nie tak. Nie mogła uzyskać żadnych informacji od Ariany ani od Hugona: córka mówiła już tylko monosylabami, a zięć, wiecznie zaganiany, był uprzejmy przerywać każdą rozmowę telefoniczną, krzycząc, że coś się przypala. Pojutrze Liza ma zabrać dzieci na dwa tygodnie do Normandii, zanim rodzice wyjadą z nimi na sierpniowy urlop. Tam, przy misie śmietany i truskawkach z ogrodu, będzie mogła pociągnąć za język Hektora i Luizę.

Pod koniec posiłku Liza zaczęła wykręcać w palcach staniol z czekoladki bio, którą podano jej do kawy kolumbijskiej bez kofeiny. Ze spuszczonego oczyma wyrzuciła z siebie:

- Momo, chciałabym panu podziękować. Obecnie jest pan jedną z nielicznych osób, które sprawiają wrażenie, że martwią się o moje wnuki. Jestem tym tak wzruszona... że brak mi słów.

Komornik nie próbował tego sprostować. Bachory Marsiaców interesowały go o tyle, o ile ich grymasy mogły pokrzyżować jego plany. Ale zrozumiał, że ma najlepszą okazję zarobić dużo punktów. Przerwał Lizie z miłym uśmiechem.

- Nie ma o czym mówić. Jestem człowiekiem. Nic mnie tak nie porusza jak nieszczęście dziecka.

Niespodziewanie Liza Honfleur dopatrzyła się głębi w jego spojrzeniu.

Podłoga agili była zasłana kopertami. Kiedy Hugo stanął na czerwonych światłach i wygrzebał swój wyciąg z konta, wyrwało mu się głośne „o la la”. Siedemset euro debetu! Jak to

się stało, że tak źle zarządził pieniędzmi? Tysiąc dwieście euro miesięcznie powinno mu wystarczyć, skoro Ariana pokrywa największe wydatki. Przepuścił swoje kieszonkowe, a pamięta, że kupił tylko kilka par bokserów w promocji w La Redoute w zeszłym miesiącu. Nie sprawdził, ile kosztują, od lat nie patrzył na ceny, ale nie mógł wtedy wydać tysiąca dziewięciuset kawałków, tym bardziej w euro. Może kasjerka skradła kod jego niebieskiej karty? Przypomniał sobie jednak, że robił ostatnio drobne zakupy w Monoprix. Spacerując po parterze z załadowanym po brzezi wózkiem, wypatrzył jakieś drobiazgi, kostiumy kąpielowe dla dzieci i coś tam jeszcze w dziale męskim. Był beznadziejny, żalony. Pomyśleć, że rodziny z czwórką dzieci radzą sobie z taką kwotą przez cały miesiąc, opłacając wszystkie rachunki! Poczłł gwałtowną potrzebę zrobienia jakiegoś gestu, żeby uciszyć poczucie winy które znów zaczęło go dręczyć. Postanowił, że wyśle sto euro Restauracjom Serca. Tymczasem musiał pokryć debet. Początkowo chciał poprosić w banku o przelanie tysiąca euro z jednego z kont Totalwynajmu. Ale Ariana dowiedziałaby się o tym wcześniej czy później od swojego księgowego, a przecież obiecał jej, że nie będzie oszukiwał. Kiedy minęło krótkotrwałe uczucie upokorzenia, postanowił zadzwonić do żony i poprosić, żeby wyjątkowo dała mu w tym miesiącu więcej pieniędzy.

„Słowo daję, on patrzy na moje nogi!”. Szefowa Totalwynajmu była zaskoczona. Od kwadransa, kiedy Flanvart zaczął zdawać raport z operacji pod kryptonimem „Chippendalsi”, wciąż zerkał pod jej biurko. Jeszcze pół roku temu Ariana nie mogła wprost znieść dyskretnych spojrzeń mężów klientek. Ogarniał ją wtedy ten bezsilny i zimny gniew, który sprawia, że kursy „sztuk walki dla kobiet” cieszą się tak wielką popularnością. Ale tym razem... on był przystojny, ona miała dobry humor i wcale się nie zirytowała, bo rozumiała swojego pracownika. Jako nastolatka znała nawet chłopca, którego przezywano „The Legs”; biedak był brzydki, ale miał gust. Szefowa Totalwynajmu ucieszyła się, że upał skłonił ją do włożenia szmizjerki zamiast spodni, w których ostatnio wciąż chodziła. Miły jest ten mały Flanvart. Ile może mieć lat? Trzydzieści dwa, trzydzieści cztery, coś koło tego. W każdym razie przystojniak. Poczłła się raptem dobrze, radośnie i lekko.

\*

- Nawet pan sobie nie wyobraża, jaka jestem zadowolona z dotychczasowej realizacji tego projektu. Brakuje tylko pana zdjęcia, a mielibyśmy katalog najprzystojniejszych mężczyzn z Yvelines.

Na policzkach Flanvarta pojawiły się dwa dojrzałe pomidory odmiany „bycze serce”.

- Zniszczymy całą konkurencję. Jutro reklamy ukażą się w miejscowej prasie, prawda? Bardzo podoba mi się hasło „Lepiej w duecie niż solo”, to zabawniejsze niż „Profesjonalna obsługa”, jak sugerował Nicard. Przepraszam na chwilę.

Rozległa się *Walkiria*. Na ekranie komórki wyświetlił się numer Hugona.

- Słucham, kochanie? Wcale mi nie przeszkadzasz, ale akurat konferuję z... - Spojrzała z ukosa na Flanvarta i założyła nogę na nogę. - Co takiego? Ile, mówisz, wynosi ten debet? Siedemset euro? To drobiazg, kochanie, wypiszę ci czek dziś wieczorem. Nie warto było dzwonić z powodu takiej błahostki. Ale skąd, cieszę się, że cię słyszę. Nie, nie wściekam się na ciebie, pomówimy o tym później. Brokuły i wędzona szynka to świetny pomysł. Do zobaczenia wieczorem.

Podniosła głowę i rzuciła Flanvartowi radosne spojrzenie.

- Może wybralibyśmy się razem na obiad?

Handlowiec spojrzał na nią z czymś w rodzaju podszytej przerażeniem fascynacji, jak facet, który zmierza ku przepaści i świetnie wie, że to nie może dobrze się skończyć.

Zofia koniuszkami palców w beżowych bawełnianych rękawiczkach odłożyła delikatnie brylant do ciemnogrnatowego puzderka.

Hugo zachwyił się.

- Ma ze trzy karaty, co?

Młoda kobieta przytaknęła. Trzy i dwadzieścia sześć karata. Jej współnik zrobił wyraźne postępy. Chwycił z lubością za kółeczko, nawet nie włożywszy rękawiczki, i wsunął je na mały palec. Zozo wykonała dobrą robotę: oprawa ze szczotkowanej platyny, prawie niewidoczna, wywoływała złudzenie, że kamień jest zawieszony w powietrzu. Tylko włoski na palcu Hugona niezbyt pasowały do tego prawie niematerialnego dzieła. Zanim wyruszył na objazd, Zofia delikatnie mu doradziła, żeby nie przymierzał pierścionka z brylantem przy klientkach, niech same to robią. Potem odwróciła się do sejfku wmontowanego w ścianę i wzdychając z zadowolenia, stwierdziła, że jest prawie pusty.

W ciągu miesiąca poszły trzy pierścionki, dwie pary kolczyków i bransoletka wysadzana rubinowymi kaboszonami, czyli najważniejsza część nowej kolekcji. Wszystko stało się tak szybko! Bankier Hugona miał tak wielkie zaufanie do pomysłów „swojego starego znajomego, pana Marsiaca”, że gotów był wyłożyć z własnej kieszeni dwieście tysięcy euro potrzebne do rozkręcenia projektu „F jak Frywolna, biżuteria najwyższej klasy”. Zakup kamieni szlachetnych ułatwiły kontakty przekazane życzliwie przez byłego szefa Zofii z rue de la Paix. Wykonaniem

zajęły się z prawdziwą przyjemnością dwie koleżanki Zofii z jej dawnego miejsca pracy, oficjalnie na emeryturze. Po trzech tygodniach pierwsza seria biżuterii była gotowa, ale, co ważniejsze, Hugo w ciągu tygodnia - tak, w ciągu zaledwie jednego tygodnia - sprzedał ją prawie w całości. Słusznie zakładał, że kobiety muszą ulec pokusie, jaką są kamienie szlachetne. Trzeba go było widzieć, jak pokazywał biżuterię, obniżając głos do szeptu, z minami konspiratora i łzami wzruszenia w oczach, jakby odsłaniał spowitą w tiule kołyskę z noworodkiem. Trzeba go było słyszeć, jak trzy dni później wracał odebrać wynajętą biżuterię, stanowczy i surowy niczym inspektor sanitarny. Kiedy niby szykował się do wyjścia, klientki w większości zagrażały mu drogę, z czekiem na pokaźną sumę w dłoni. Pozostałe, z rozdartym sercem, przedłużały wynajem o dodatkowy tydzień. To dopiero sprzedawca!

Po raz kolejny Zofia powstrzymała się od telefonu do Ariany i opowiedzenia o bohater-skich wyczynach jej męża. Obiecała, że będzie milczeć. Poza tym, tak czy owak, stosunki między Arianą a Zofią nie były już takie jak dawniej. Od końca marca rozmawiały ze sobą zaledwie kilka razy i Zofia wspominała te rozmowy nie najlepiej. Zwracały się do siebie z miesza-niną uprzejmości i wymuszonej wesołości, tak jak to bywa, kiedy spotyka się kogoś, kto był nam bliski w dalekiej przeszłości. Kilka dni wstecz, na grillu z okazji święta szkoły, zamiast pomóc Zofii uwijającej się wśród fumarolek i chipolat, Ariana spędziła pół wieczoru na rozmowach przez komórkę w „ważnych sprawach zawodowych, o których na razie nie może mówić”. W drodze powrotnej, w samochodzie, Piotr powiedział Zofii, że Arianie zupełnie odbiło. „Masz pojęcie, że ona domaga się wymienienia swojej starej exacompty na nowiutkiego palma Hugona?” Nie bez lekkiej perfidii Zofia zaczęła bronić Ariany; palm jest niemodnym już rekwizytem wyższego urzędnika z minionego stulecia i, wprost przeciwnie, korzystanie z niego świadczy o abnegacji. A Hugo wcale nie będzie cierpiał z tego powodu, bo z radością zapisuje spotkania w zwykłym notesie. Hugo jest absolutnie cudowny! Jaki delikatny i profesjonalny, ile w nim entuzjazmu, jaki szeroki umysł! Ariana ma szczęście, że związała się z mężczyzną, którego stać na taką przemianę! Piotra wcale nie rozbawiła ta wysublimowana aluzja, cienka jak chateaubriand z sosem béarnaise. Przezornie wolał zmienić temat rozmowy.

Z kieszeni śliwkowego baggy Hugona dały znać o sobie *Czarownice*. Żeby odebrać telefon, ostrożnie odsunął Markiza przyklejonego do jego kolan jak ślimak pobrzeżek do swojej skały. Czworonóg warknął z dezaprobatą, ale zaraz potem rzucił swojemu panu rozkochane spojrzenie, kiedy ten wsunął mu delikatnie poduszkę z kanapy pod głowę. W ostatnich tygodniach stosunki między nimi, które wcześniej zdążyły już przejść od wrogości do obojęt-

ści, uległy dalszej ewolucji: Hugo i jego bardzo brzydki pies zakochali się w sobie. Wieczorem, przed zaśnięciem, pan długo drapał tułów zwierzęcia z delikatnością skrzypka strojącego stradivarius. Mógł tak robić godzinami, co bardzo, ale to bardzo denerwowało Arianę ponieważ odkąd Markiz zakochał się w Hugonie, jego mózdek jakby wymazał z pamięci panią. Pies świadomie ją ignorował, odwracając mętne od katarakty oczy, kiedy tylko się do niego odzywała.

Na komórce Hugona wyświetliło się imię i nazwisko Maud Bartoli. Maud Bartoli? Hugo wcale nie czekał na jej telefon. Pierścionek z brylantem wypożyczył na próbę trzy dni wcześniej różowiotkiej Marii Delsol i myślał, że to ona się do niego odzywa. Zawiedziony, przywitał jednak zgryźliwą sześćdziesięciolatkę z entuzjazmem:

- To pani Bartoli? Czemu zawdzięczam ten telefon?

Pięć minut później rozradowany wskoczył do samochodu i ruszył w kierunku rue Louis-Pauwels. Maria Delsol otworzyła mu drzwi, zaskoczona. Sprzedawca przeprosił, że przychodzi bez zapowiedzi, po czym oświadczył z poważną miną:

- Nie będę owijał w bawełnę. Jedna z pani znajomych... obiecałem, że nie zdradzę jej nazwiska... chce kupić pierścionek, który pani pożyczyłem. Jest zdecydowana. Od zaraz. To pilna sprawa, chodzi o prezent na rocznicę ślubu. Bezpłatny okres próbny trwa trzy dni i kończy się dzisiaj. Co pani postanowiła?

W przyпіływie gniewu zalotne loczki okalające lalkowatą twarz Marii Delsol zaczęły sprężynować.

- To ta dziwka Maud! Jestem pewna, że to ona! Przedwczoraj na golfie cały czas zerkąła na mój brylant. Widziałam, jak szeptała z Brygidą Pollain, pociągnęła ją za język, to zupełnie jasne. Udało jej się przekonać tego przygłupa Gerarda Bartolego, którego zadręcza od trzydziestu lat. Tłusta maciora!

- Obiecałem, że zachowam dyskrecję. Co pani postanowiła?

- Mogę go wynająć na tydzień?

- Żałuję, ale nie mogę ryzykować, mam już kupca.

- Ile?

- Siedemnaście tysięcy euro.

- Piętnaście?

- Przykro mi, ale ceny nie podlegają negocjacji. Chodzi o kamień klasy AA, bez skaz, wyjątkowo czysty. Choćby z tego powodu jest to okazja.



- Zdażę porozmawiać z mężem?

- Obawiam się, że nie.

- Mogę zapłacić w dwóch ratach?

- Też nie.

- Jest pan bezwzględny.

- Wiem.

- Jeżeli pan poczeka z podjęciem czeku kilka dni, zlikwiduję książeczkę mieszkaniową. Kupuję od razu.

- Umowa stoi.

Podskakując z radości, Hugo pojawił się w pracowni. Z pozornie obojętną miną wachlował się czekiem. Wyjaśnił Zofii, że z marszu sprzedał pierścionek z brylantem, a na dodatek zobowiązał się pocieszyć ponurą Maud Bartoli - zawiedziona, że go nie kupiła - zamawiając wykonanie jeszcze większego i jedyne w swoim rodzaju. Najprostsza oprawa. Cztery karaty minimum.

Należało to uczcić w salonie piękności. Projektantka i jej handlowiec bez wątplenia zasłużyli na okłady z alg.

Jednym oszczędnym, ale precyzyjnym ruchem Ariana wrzuciła piątkę. Uwielbiała tę lekkość, z jaką dźwignia biegów porusza się pod osłoną z czarnej skóry, zakończonej gałką. Spróbowała, bez powodzenia, nie myśleć o Mikołaju Flanvarcie. Wszystko przywodziło go na myśl, poczynając od tej szatańskiej dźwigni, tak bardzo sugestywnej, zupełnie jakby wystawała z rozporoka - pomyślała. Tego wieczoru wszędzie dopatrywała się symboli fallicznych. Purpurowy, jakby nabrzmiały dźwig, będący logo Totalwynajmu. Topole wzdłuż autostrady. Liczba na liczniku: „sto sześćdziesiąt dziewięć kilometrów na godzinę”. Zazwyczaj nie dręczyły jej takie skojarzenia. Ale od kilku tygodni, jeżeli chodzi o seks, niewiele się działo między nią a Hugonem. Wciąż chciałby tylko dyskutować, rozmawiać o tym, co oboje czują - jak mówił. Kiedy dążyła do zbliżenia bardziej wprost, wybałuszał na nią oczy: „Nawet o tym nie myśl, dzieci jeszcze nie śpią”, i dalej plótł trzy po trzy. W rezultacie ona zasypiała kamiennym snem, a on oglądał do późnej nocy jakiś beznadziejny talk-show w telewizji kablowej.

Chwilę wcześniej z Flanvartem do niczego nie doszło, ale jego spojrzenia, na wpół załknione, na wpół łakome, sposób, w jaki trzymał dłoń na stole, i to, że wprost spijał słowa z jej ust, wskazywały, że wystarczy jeden ruch... Nie zrobiła go. Jeszcze nie. Delektowała się przyjemnością, jaką jej sprawiał fakt, że po raz pierwszy w życiu ma taką władzę nad mężczyzną.

Przy rue du Gai-Pinson Momo powitał ją gromkimi okrzykami:

- Jak to dobrze, że przyjechałem za wcześnie! To cudowne, spójrz tylko, Ariano!

Dwie torby z czerwonego płótna stały obok siebie przy wejściu. Młoda kobieta klasnęła w dłonie, zachwycona.

- Hosanna, hosanna, Gudrun wreszcie zapakowała ubrania dzieci.

- Hugo sam je zapakował. To był temat jego ćwiczeń w tym tygodniu!

- Jakie wnioski?

- Według socjologów małżeństwa mężczyznom sprawia to największą trudność. Zapakowanie torby podróźnej dziecka wymaga globalnej wizji świata rodzinnego; trzeba wiedzieć dokładnie, co znajduje się w szafach, przewidzieć pogodę, dobrać ubrania pasujące jedno do drugich, nie pomylić rozmiarów, przejrzeć, co się może przydać z ubrań odłożonych do prasowania - to jeden z ostatnich bastionów typowo kobiecych. Na podstawie szczegółowej listy zawartości można stwierdzić, że twój mąż, ślicznotko, o niczym nie zapomniał. Są tam nawet buleczka advilu, książeczki zdrowia i kalosze. To cudowne, nie można tego określić inaczej.

- Brawo, a gdzie teraz przebywa Mary Poppins?

- No... na tenisie. Nie pamiętasz, że dziś poniedziałek? Hugo będzie z powrotem za dziesięć minut, jak sądzę.

Ariana miała myśli zaprzątnięte czymś innym niż rozkład zajęć męża. Akurat zastanawiała się, czy Mikołaj Flanvart nosi slipy Nie cierpiała slipów. Jej zdaniem sprzedaż slipów osobnikom powyżej dwudziestego piątego roku życia i siedemdziesięciu kilogramów wagi powinna być zabroniona. Bokserki są tysiąc razy lepsze. Żeby tylko Mikołaj Flanvart nosił bokserki!

- W porządku, Momo. A jakie zadanie ja mam wykonać w tym tygodniu? Zabić byka? Wyrwać dąb gołymi rękoma?

- Musisz tylko zrobić to, co należy do ojca: nie być smutna, mówiąc dzieciom do widzenia. Pomyśleć, że dwa tygodnie u babci szybko miną, że nie będziesz zbyt tęsknić, że tak będzie lepiej dla dzieci i dla ciebie.

Ariana spojrzała na Momo i nie wiadomo dlaczego poczuła, że coś zaczyna ją dusić w piersi. Jakby serce zamieniło się w wielką gąbkę, którą ściska niewidoczna pięść. Aż łzy zakręciły się jej w oczach.

Piotr Baignon podniósł rękę, z twarzą wykrzywioną cierpieniem. Mały palec u ręki - bez wątplenia „mały palec” tenisisty - zbyt go bolał, żeby kontynuować grę. Hugo, jako elegancki

gracz, zgodził się na to z uśmiechem. Był w tak dobrym humorze, że zaczął się serdecznie śmiać z cierpień przyjaciela. Piotr zbladł jeszcze bardziej.

- Zwariowałeś czy co? Dlaczego się ze mnie nabijasz, kiedy mówię o swoich problemach zdrowotnych? Zupełnie jak Zofia.

Hugo śmiał się jeszcze bardziej.

- Piotrusiu, jedyny problem to twoja wyobraźnia. Jesteś moim najlepszym przyjacielem, ale ta mania recytowania Vidala, jak tylko zaczynasz przegrywać, jest wyjątkowo upierdliwa.

Baignon długo na niego patrzył, zanim spytał:

- Śpisz z moją żoną, Hugonie?

- Odbiło ci? Chyba nie pytasz serio. Zozo jest dla mnie jak siostra.

- W takim razie sprawy mają się gorzej, niż myślałem. Zofia mówi o tobie jak o skrzyżowaniu Matki Boskiej z Billem Gatesem. Skoro nie sypiacie ze sobą i ona nie jest w tobie zakochana, to znaczy, że tylko mówi, co myśli. Jeśli tak cię wielbi, rzeczywiście stałeś się facetką.

- Musisz iść do lekarza, Piotrusiu, bez dwóch zdań.

- Mówię serio. Wiesz, jak wyglądasz? Te obcisłe szorty chyba kupiłeś w sklepie z luksusową bielizną damską, no nie? Słyszysz, co wygadujesz? Przez cały czas patrzysz na zegarek i powtarzasz: „O kurczę, dzieci mają basen, muszę uciekać”. Kiedy do ciebie telefonuję, rozmawiając ze mną, już nawet nie wyłączasz odkurzacza. Jestem pewien, że czytujesz w ukryciu „Voici”.

- Mylisz się. Już od dawna nie czytuję „Voici” po kryjomu. Czasem wycinam też przepisy kulinarne z „Marie Claire”, bo na zdjęciach widać kolejne etapy przyrządzania potraw, bardzo mi się to podoba. Nie wiem, dlaczego miałyby to wskazywać, że stałem się facetką. Mogę cię uspokoić: jeszcze nie miesiącuję, chociaż co cztery tygodnie przez dwa dni trochę boli mnie brzuch.

- Na jedno wychodzi. To się określa jako napięcie przedmiesiączkowe, moja żona wciąż to ma, faszeruję ją daffalganem. Niby nic nadzwyczajnego, ale też powinieneś spróbować.

- Dziękuję. Chyba nie zaszkodzi, jeśli będę to zażywał razem z wyciągiem z ogórecznika w kapsułkach na zmęczone nogi?

- Jasne, nabijasz się ze mnie albo próbujesz zmienić temat. Myślałeś, że dam się nabrać? Wiesz, co jest najgorsze w tym twoim eksperymencie za dychę? Skutki uboczne. Nawet nie

zdajesz sobie sprawy, jak przez ciebie zmieniły się twoje znajome. Niedawno Zofia poprosiła mnie, żebym się wybrał zamiast niej na wywiadówkę.

- Co z tego? To są wasze wspólne dzieci, o ile mi wiadomo. Zozo ma teraz tyle pracy, że chociaż tak mógłbyś ją odciążyć.

- „Zozo ma teraz tyle pracy"! Wiesz chociaż, co mówisz? A co ja robię całymi dniami? Maluję wzorki na porcelanie?

- Piotrusiu, gdybyś dwa razy rzadziej chodził do lekarzy, miałbyś czas na wszystkie wywiadówki w ciągu roku, we wszystkich klasach wszystkich szkół w całym departamencie.

- Z kim ty się w końcu przyjaźnisz? Wiesz, że ta kretyńska zamiana ról może wywołać kulę śnieżną? Stoisz po stronie facetek i one są z góry wygrane. Znasz mnie, przecież wcale nie jestem typem macho. Mówię ci, że nie przez przypadek kobiety od stu tysięcy lat zajmują się dziećmi, a mężczyźni polują na tury.

- Nowa kolekcja biżuterii zaprojektowanej przez twoją żonę cieszy się tak wielkim powodzeniem, że niedługo będziesz mógł sobie odpuścić polowania na tury.

Sprzeczali się tak, aż doszli do parkingu. Hugo nie dał się przekonać. Nieważne, czy to się podoba jego przyjacielowi, czy nie, wcale nie żałował swojego poprzedniego życia. Próbował to jakoś ogarnąć rozumem: kto wie, czy w jego kobiecym życiu nie podobało mu się najbardziej obcowanie z ludźmi, którzy sami siebie nie biorą zbyt na serio. Z perspektywy wydawały mu się żalosalne te niekończące się spotkania, podczas których samce dyskutują o cenach wynajmu dźwigów samojezdnych, zupełnie jakby od tego zależały losy świata. Praca w otoczeniu kobiet jest, jego zdaniem, lekka i zabawna, a zajmowanie się dziećmi weselsze, radośniejsze i nie bardziej męczące niż spędzanie całych dni wśród mężczyzn, którzy mówią, myślą, jedzą, śpią, mając wciąż w głowach „cele sprzedaży" albo „marże netto". Piotr tego jednak nie zrozumiał i śmiejąc się, powtarzał jego określenia: „wesołe, lekkie, radosne, zabawne".

- Przypomnij sobie, jaki kiedyś byłeś. Starzejesz się, robisz sobie wodę z mózgu tymi wszystkimi bzdurami. Zachowujesz się jak pedał, dobrze słyszałeś, jak pedał.

- Piotrusiu, za pół roku znów będę taki jak kiedyś. „Sukces społeczny", o którym mówisz, już osiągnąłem. Nie rozumiem, dlaczego jeden nieszczęsny rok wzięty w nawias doprowadza cię do takiego stanu. Gdybym musiał przystopować dlatego, że zламаłem sobie nogę na nartach, nie mówiłbyś mi tych wszystkich rzeczy.

Po raz pierwszy od początku znajomości rozstali się pogniewani. Umówili się jednak na następny poniedziałek. Chcąc okazać swoje niezadowolenie, Hugo zażądał, żeby wrócili do

punktacji, przy której przerwali grę, to znaczy sześć do trzech i dwa do zera dla niego. Argumenty Piotra zirytowały go. Poczul się niedoceniony, poniżony, dotknięty. Po raz pierwszy została urażona jego godność kobiety.

Ariana nalała sobie kieliszek côtes-du-rhône. Hugo pomyślał, że ona ostatnio nieźle pociąga. Żeby nie piła sama, też nalał sobie naparstek chardonnay. W południe, w trosce o figurę, pił tylko san pe, ale nie odmawiał sobie małego aperitif u wieczorem. Zauważył, że żona ma zmartwioną minę, spytał więc łagodnym tonem:

- Jakies kłopoty, kochanie? Chcesz o tym porozmawiac?

Ariana nie zwróciła uwagi na niestosowność takiego pytania w ustach męża. Wtuliła się głębiej w kanapę i odpowiedziała, że nie, nie, wszystko jest w porządku. Hugo nawet nie słuchał jej odpowiedzi. „Na pewno jest smutna, bo dzieci wyjechały”. Wygłosił długi monolog, z którego wynikało, że wszystko układa się jak najlepiej, że oboje będą okropnie tęsknić za dziećmi, ale dwa tygodnie szybko miną, a one tak się cieszyły, że znów zobaczą babcię. Nie zwracając uwagi na przygnębioną minę żony, przeskoczył na remont: weranda, kiedy już porośnie glicynią, będzie super, fiołkoworóżowe kwiaty na tle kutego żelaza w kolorze antracytu dopiero będą się rzucać w oczy, a on, Hugo, musi podjechać na dworzec po karty zniżkowe dla dzieci przed zaplanowanym na pierwszy sierpnia wyjazdem, niech Ariana koniecznie mu o tym przypomni, bo ostatnio jest zupełnie rozkojarzony, że bardzo mu się podoba nowy garnek do gotowania ryżu na parze, że mogliby w sobotę pochodzić, jak para zakochanych, po wyprzedazach... Ariana, wykończona paplaniną męża, z uporem wbijała wzrok w dno swojego kieliszka. W tej chwili potrzebowała tylko spokoju, ciszy. Pół godzinki, wieczorem, po powrocie z biura, na doładowanie akumulatora - czy żąda zbyt wiele? Głos Hugona dochodził do niej jak przez mgłę. Podskoczyła, kiedy uświadomiła sobie, że mąż jest tuż przy niej, czuła nawet jego oddech na szyi.

Z parteru dobiegł głos Gonçálva:

- Panie Marsiac, jest pan tam? Musi pan powiedziec, jaki kor mam malowacz portu?

Wyrwany ze snu Hugo potrzebował co najmniej dziesięciu sekund, żeby rozłożyć na części zdanie murarza i złożyć je z powrotem. Już wszystko jasne, chodzi o kolor farby do pomalowania bramy. Z przymkniętymi oczyma pomacał dłonią prawą stronę łóżka, nie z tęsknoty za miejscem, którego nie zajmował od czterech miesięcy, ale celem sprawdzenia, czy jest tam żona. Pusto. Ariana już pojechała do pracy. Wstał z trudem, wciągnął dzinsy i zszedł porozmawiać z Gonçálvem. Dość szybko ustalili, że do malowania bramy najlepiej nadaje się szarobe-

żowy, bo nie rzuca się w oczy i nie widać na nim brudu. Hugo odruchowo wyjął pocztę ze skrzynki na listy i wrócił do domu zaparzyć sobie kawę. Kiedy czekał, aż ekspres osiągnie odpowiednią temperaturę, żeby włożyć nabój z arabicą, jego spojrzenie padło na pierwszą stronę „Courrier de l'Ouest Parisien”. Rzuciła mu się w oczy reklama Totalwynajmu, złożona grubą czcionką, na jedną czwartą strony: „Rewolucja w świecie wynajmu sprzętu. Proszę pań, lepiej w duecie niż solo!” Tekst ogłoszenia był obwiedziony zdjęciami mężczyzn obnażonych od pasa w górę.

Hugo pomyślał, że szlag go trafi na miejscu. Ale ochłonął i uznał, że przed śmiercią musi jeszcze powiedzieć żonie kilka słów prawdy. Chwycił kluczyki od opla i wybiegł pędem z domu.

Mecenas Maurycy Cantuis

Komornik sądowy

Członek kierownictwa FSMKS-u

Dotyczy: eksperyment Marsiaców

Raport z oględzin: miesiąc lipiec 2002 roku

Uwaga: dokument czasowo do użytku wewnętrznego

Podsumowanie czynności

- Postępy w rozwijaniu nowej wrażliwości społecznej przez Marsiaców: wcześniejsze osiągnięcia są już utrwalone. Każda ze stron, używając własnej broni, sprostała wyzwaniom zawodowym. Wbrew moim obawom pola ich działalności nie nałożyły się na siebie. Wydaje się, że tak jest lepiej. Oby nic się nie zmieniło.

- Postępy w rozwoju nowych tożsamości.

1. Frywolność u Hugona Marsiaca ocenia się na sto procent. Powodzenie nowej kolekcji biżuterii sprawiło, że nabrał zaufania do swoich możliwości, co jest oznaką kobiety nowoczesnej.

2. Przypadek Ariany Marsiac jest bardziej skomplikowany. W ostatnich dniach wydaje się nieobecna, nerwowa. Wyczuwam, że niepokoi ją mąż. Oznaczałoby to, że nie jest jeszcze dość nonszalancka. Prawdziwy mężczyzna uświadamia sobie, że w jego małżeństwie jest problem do rozwiązania dopiero wtedy, kiedy małżonka chce rozwodu. Jest również prawdopodobne, że Ariana dąży do nawiązania intymnych stosunków z osobą trzecią (biorąc pod uwagę jej rozkład dnia, wydaje się, że w grę wchodzi ktoś z miejsca pracy). Należałoby to uznać za



wyraźny postęp w procesie maskulinizacji, ale można również spodziewać się kłopotów w przyszłości.

### Uwagi ogólne

Dzieci mają się lepiej. Zdaniem babki odzyskały równowagę, przyswajając ostatecznie fakt, że obecnie ich ojciec jest ich matką i na odwrót. Ta sytuacja zadowala mnie w pełni, ale strasznie niepokoi Lizę Honfleur, która to komentuje następującymi słowami: „Wcześniej czy później to musi się rozpaść z wielkim hukiem. Moja córka żyje na opak i nic mnie nie powstrzyma przed powiedzeniem jej tego”. Jestem w każdej chwili gotów interweniować przy likwidacji skutków katastrofy.

## 8

### Sierpień

*W sierpniu dojrzewają te owoce, które zrywa się we wrześniu.*

mądrość ludowa

Ariana, pogrążona w zadumie, leżała na ręczniku, opierając podbródek na dłoniach.

Całe szczęście, że lotne brygady kontroli opalania nie pojawiły się w tym momencie na plaży: uda obsypane od tyłu piaskiem jak cielece sznycle panierką + twarz ukryta pod daszkiem czapki + niezdjęty z lenistwa top = zero szans na osiągnięcie równej opalenizny, utrwalonej i profesjonalnej. Ale Ariana miała to w nosie. Z przymkniętymi oczyma wsłuchiwała się w dziwną symfonię plaży. W oddali ocean robił „pszt” jak gigantyczna komora powietrzna, która traci szczelność, a mewy udające wysokie loty wydawały z siebie idiotyczne „hiik, hiik”. Bliżej - okrzyki podnieconych ponad miarę amatorów kąpieli, którzy przy dwudziestym drugim podejściu w ciągu jednego dnia wciąż tak samo się dziwili, że woda ma siedemnaście stopni. Obok - wybuchy śmiechu członków jej rodziny. Odwróciła nieco twarz, żeby obejrzeć tę scenę. Tylko Markiz zauważył, że się poruszyła, i warknął w jej kierunku - tłusta żaba leżąca brzuchem na piasku. Gdyby nie jego szkaradna postać, wyglądałoby prawie jak reklama rady regionalnej, zachwalającej swoje plaże. Dwa blondaski, opalone na złoty kolor, siedzą w kucki i pochłaniają racuszki, podczas gdy matka smaruje im ramiona kremem z najwyższym filtrem. Jedynie, co ich odróżnia od reklamy wakacji w Charente-Maritime, to że w roli mamy występuje

wysoki brunet z owłosionymi łapami, a w roli mężczyzny, który, żeby mieć święty spokój, trochę z boku udaje, że śpi, występuje ona, Ariana Marsiac.

Słuchała, co mówi mąż. Bardziej niż słowa: „Uważajcie na konfitury. Bo będziecie się od nich lepić”, zdziwił ją jego głos. Hugo inaczej frazował, wyraźniej oddzielając sylaby, modulując tembr głosu o ton niżej. Prawdziwa matka.

Następnie jej mąż wyciągnął krem do opalania w kierunku Gudrun, dziewczyny *au pair*, która odmówiła ze zniechęconą miną. Siedziała nieruchomo pod parasolem, dostojna postać w kapeluszu, okularach i znalezionych w wynajętym domu rękawicach do wyjmowania potraw z piekarnika. Pierwszego dnia, mimo ostrzeżeń Hugona, Szwedka postanowiła wybrać się w bikini na spacer po plaży w poszukiwaniu osoby, z którą mogłaby się podzielić swoim przerażeniem, że trafiła do domu wariatów, gdzie mąż robi z wózkiem zakupy w Auchan, a żona pompuje koła rowerów całej rodzinie. Nie był to dobry pomysł. Kiedy Gudrun wróciła z wyprawy, jej skóra była koloru bakłażana, z brzydkimi pęcherzami na dekolcie, płonącymi udami i - jak twierdziła - „oparzonymi” rękoma. Nie mogła pomagać w kuchni, przy myciu dzieci, przy sprzątaniu, a nawet przy robieniu zakupów. Gdyby to zależało od Ariany, chętnie odprawiłaby dziewczynę w kierunku Göteborgu, ale Hugo zauważył, że z kikutami dłoni, wciśniętymi pod rączkę żelazka, może ona jeszcze prasować koszulki; poza tym rozstając się z *baby sitter*, tak samo jak zrywając z ukochaną osobą, „wiadomo, co się traci, ale nie wiadomo, co się zyska w zamian”. Zupełnie jakby to mówiła Liza Honfleur.

Dzieci pobiegły w kierunku oceanu, z psem płaczącym się im pod nogami, ścigane przez Hugona, który, wspominając z nostalgią czasy, kiedy był „cudownym dzieckiem surfing”, po raz dwudziesty tego dnia proponował, że pokaże, co potrafi. Gudrun, cierpiąca i dostojna, szła za nimi; z wielkimi ręcznikami osłaniającymi jej ręce, wyglądała jak posąg Komandora wykonany z tkaniny frotte.

Kiedy Ariana została sama, zaczęła się zastanawiać, dlaczego czuje się tak dziwnie. Powinna być zachwycona, że eksperyment Marsiaców, który w końcu sama wymyśliła, przebiega tak dobrze. Kto by pomyślał osiem miesięcy wcześniej, że Hugo stanie się młodą kobietą, radosną i spełnioną, „zrównoważoną psychicznie i czującą się dobrze w swoim ciele”, jak bohaterki komedii romantycznych nadawanych w TF1 o dwudziestej pięćdziesiąt. Kto by postawił na sukces Ariany w Totalwynajmie? W CRH w Bachelay operacja „Chippendalsi” stawała się handlowym happeningiem dziesięciolecia. Wylansowana na początku lata kampania reklamowa ściągała w kierunku czerwonego logo biura wynajmu ciężkiego sprzętu dziesiątki kobiet

stanu wolnego, zachwyconych możliwością spędzenia całego sierpnia na podziwianiu tęgiego chłopca z opalonym torsem, wykładającego kamiennymi płytami ścieżkę do domu. Nicard w znakomitym humorze wynurzył się nawet ze swojego dyrektorskiego gabinetu, żeby pomóc przeciążonym pracą handlowcom, wprowadzał życzliwie klientki w subtelne różnice między piłami wahadłowymi a wycinarkami hydraulicznymi. Absolutnie zaskoczony osiągniętym sukcesem, zaproponował nawet Arianie, żeby na jesieni zaangażować „współpracowniczki płci pięknej”. Wszystko szło jak z płatka, naprawdę. Młoda kobieta zastanawiała się przez chwilę, czy nie czuje się nieswojo po tym, co zaszło między nią a Flanvartem.

Nie, to niemożliwe. Po raz pierwszy w życiu udało jej się przespać z mężczyzną, nie zakochując się w nim z marszu. Bóg jeden wie, ile razy wpadła wcześniej przez ten sentymentalizm! Jak tylko jakiś chłopak jej dotknął, zwłaszcza jeżeli znał się na rzeczy, to od razu traciła głowę. Taka seksualność w stylu cesarzowej Sissi długo wprawiała jej matkę w osłupienie. „Uważaj, bo zaczynasz trącić midinetką, kochanie. Serce i dupa to dwie różne sprawy” - beształa ją jako kobieta, która dzieliła swoje życie na „przed lekturą Shere Hite” i „po lekturze”.

Ale teraz Liza byłaby dumna z córki: z nosem wtulonym w ręcznik kąpielowy Ariana myślała o Flanvarcie tak beznamiętnie jak gospodyni domowa o tym, co przygotuje na kolację. Powinna być zadowolona, zwłaszcza z tego, że nie odczuwa żadnego niepokoju, wzruszenia czy lęku. Ani przez chwilę nie czuła się winna wobec męża. Ta przygoda, pierwsza podczas jej długiego stażu małżeńskiego, nie miała nic wspólnego z nimi dwojgiem, absolutnie nic. Ariana nawet nie mogła tego uznać za cudzołóstwo. W Mikołaju Flanvarcie znalazła odpowiednik tego, czego szukają klientki Totalwynajmu: poprawiającej samopoczucie wymiany usług. Dobry *deal*, ograniczony w czasie, bez komplikacji. Zresztą dlaczego miałyby się czuć winna? Nie planowała powtórzenia eksperymentu, który traktowała zgodnie ze stanem faktycznym - nie była to ani chwila zapomnienia, ani intryga, ani w ogóle nic istotnego. Nie chodzi o możliwości jej współpracownika jako kochanka, chociaż ich jedyne zbliżenie, pewnego wieczoru, w zamkniętym na klucz gabinecie, można nawet ocenić jako całkiem udane. Młoda kobieta w ogóle nie myślała o sprawach, które ją zwykle zaprzętały w takich sytuacjach: skończyć się rozbierać z wdziękiem, wciągnąć brzuch, przyjąć pozycję, w której wygląda się korzystnie, nie otwierać oczu, żeby nie parsknąć śmiechem na widok miny, jaką akurat może przybrać partner, i tak dalej. Przeciwnie, tamtego wieczoru Ariana była zachwycona, że może zakosztować cierpkiego smaku spółkowania bez min czy póź. Jak mężczyzna miała przez cały czas oczy szeroko otwarte i obserwowała miednicę handlowca przyklejoną do jej miednicy, kształt jego ramion i

członka, na który naciągnęła prezerwatywę z zaskakującą dla niej zręcznością: z pewnością fart debutantki. Nawet się nie skrzywiła na widok slipów Flanvarta, które tak spadły na ziemię, że wycięcia na uda skierowane były do sufitu.

Ariana westchnęła. Dlaczego, do cholery, ma tak podłe samopoczucie? Pogłębiając introspekcję, przywołała migawki z końca lipca. Co konkretnie skłoniło ją do tego, żeby pewnego wieczoru o dziewiętnastej trzydzieści wezwać Flanvarta do swojego gabinetu? Przez całe lata była jedną z tych kobiet, o których mówi się, że „nigdy nie spojrzała na innego mężczyznę poza własnym mężem”, co nigdy nie jest prawdą; wierne kobiety spoglądają na innych mężczyzn co najmniej równie często jak pozostałe, choć widzą jedynie to, że ich mąż bije wszystkich na głowę. Są wciąż zakochane, i tyle.

Dlaczego więc tamtego wieczoru Ariana zapragnęła faceta, któremu nawet dobrze się nie przyjrzała? Dlaczego przyjęła go z nabrzmiałymi sutkami i wyciągniętymi rękoma, a także z czymś w rodzaju cichej wściekłości? Kiedy to w ogóle się zdarzyło? Tak, oczywiście, nazajutrz po wyjeździe dzieci do Lizy. W tamtą środę, kiedy Hugo pojawił się niespodziewanie w Totalwynajmie.

Wyjechała wtedy z domu przed siódmą, przewidując, że mąż trafi na ogłoszenie w „*Courrier de l'Ouest Parisien*”. Nie wątpiła, że zareaguje szybko i gwałtownie. Chociaż Hugo sprawiał wrażenie zadowolonego, że uwolnił się od Totalwynajmu, czegoś takiego jej nie daruje. Nie chciała być w pobliżu Hugona, kiedy dotrze do niego, że przedsiębiorstwo, które założył jako prawdziwą świątynię wartości męskich, staje się, wyłącznie za sprawą jego żony, przybytkiem w tym samym stopniu męskim, co kurewskim. Wołała czmychnąć niż stawić czoło rozgniewanemu mężowi, czego nie sposób uznać za akt odwagi, ale co jednak należy zrozumieć, zważywszy na to, że, jak pamiętamy, stała się ona mężczyzną.

Dokładnie o dziewiętej, kiedy, jak każdego ranka, młoda kobieta piła w holu kawę ze swoim dyrektorem generalnym, mała agila w kolorze różowym zatrzymała się przed samym wejściem.

Ariana i Adolf w najwyższym zdumieniu patrzyli, jak Hugo biegnie do nich blady jak płótno, w jaskrawoczerwonych dżinsach i podkoszulku z poprzecznym napisem: „*Rejs Versace*”. Uśmiechnął się półgębkiem do Nicarda, chwycił żonę za rękę i dosłownie wciągnął ją do gabinetu.

Ariana od razu zaczęła go uspokajać:

- Hugonie, nie mówiłam ci o tym, bo umówiliśmy się, że nie będziemy sobie nic opowiadać, ale nie miałam wyboru. Wynajemtotal szykuje wstrętny dumping na wrzesień, tymczasem obroty spadły...

Przyłożył palec do ust, dając jej znak, żeby umilkła.

- Kochanie, określę to jednym słowem. Genialne. Jesteś geniuszem. A teraz, kiedy już trochę wiem, jak kobiety harują w domu, mogę ci powiedzieć, że zmieciesz całą konkurencję. To prawda, że kiedy się nosi spódnicę, każdy rzemieślnik cię wykiwa, a kierowanie w klapkach na obcasach dźwigiem z wysięgnikiem teleskopowym też nie jest najłatwiejsze.

Roześmiał się, co zabrzmiało, jakby ktoś spuścił wodę w klozecie, i mówił dalej:

- Przyjechałem ci powiedzieć, że jestem z ciebie dumny. Skoro już wiem, co robisz, mogę ci teraz opowiedzieć o „F jak Frywolna”? Wiesz, że odwaliliśmy z Zozo kawał roboty?

Zbita z tropu Ariana wyjąkała:

- Nic mi nie mów, mam do ciebie całkowite zaufanie. Naprawdę cieszysz się z wprowadzenia chippendalsów do Totalwynajmu?

- Oczywiście, pchełko, to jest cudowne. Zrobię ci wspaniałą reklamę u moich klientek. Zresztą muszę już lecieć, mam bardzo ważne spotkanie z panią Perrouin, psią fryzjerką.

Powiedział do niej „pchełko”. Ariana widziała, jak jej mąż, w sandałkach z rudawej skóry, biegnie truchcikiem do wejścia. Widziała, jak mija Nicarda i nie zatrzymuje się, tylko macha ręką na pożegnanie, przebierając w powietrzu koniuszkami palców. Widziała, jak znika w drzwiach obrotowych, wsiada do samochodu, przerzuca nogi na bok i przygląda się swojemu odbiciu w przedniej szybie, a dopiero potem rusza.

Wtedy poczuła, że jest bliska płaczu.

Wtedy też umówiła się z Flanvartem na ten sam wieczór, dokładnie o dziewiętnastej trzydzieści.

Nazajutrz rano zadzwoniła do niej Liza. Ariana bała się, jak diabeł świeconej wody, szóstego zmysłu matki, próbowała więc ją oszukać, mówiąc radosnym głosem, że jest zachwycona, „bo czują się z Hugonem jak młode, bezdzielne małżeństwo”, chociaż „oczywiście nie może się doczekać, żeby usłyszeć przez telefon dzieci”.

Po drugiej stronie bezprzewodowej linii zaległa długa cisza, a potem:

- Dlaczego w takim razie nie zadzwoniłaś do nich wczoraj wieczorem?

Niech to cholera!

Jak powiedzieć matce, że poprzedniego dnia wróciła z pracy około dwudziestej drugiej trzydziści, tłumacząc się koszmarnie męczącym zebraniem, podczas gdy jedyne, z czym się natrudziła tamtego dnia, było usuwanie za pomocą dużej ilości mydła w płynie śladów zbliżenia z handlowcem, który nosi buty na słoninie? Jak opowiedzieć, że stchórzyła, kiedy oświadczyła Hugonowi, że jest wykończona, chcąc w ten sposób zrobić najskuteczniejszy unik i udawać, że zasnęła. Jak wytłumaczyć, że męczyło ją wtedy poczucie winy, ale nie z powodu zdrady, tylko, wręcz przeciwnie, z braku wyrzutów sumienia.

Dlatego nic nie powiedziała. Wyczuwając, że córka jest zmieszana, Liza odezwała się bardzo łagodnie:

- Kochanie, twoje życie prywatne mnie nie obchodzi... ale chyba powinnam cię przestrzec...

„Nie może być - pomyślała Ariana. - Ledwo się odezwałam, a ona od razu się domyśliła, że zacznym molestować seksualnie swoich pracowników, chociaż dopiero staję się facetem. Tonie moja matka, tylko Endora, matka kochanej czarownicy”.

- Chodzi o twoje dzieci...

Uff, chociaż raz czarodziejska moc nie zadziałała. Po chwili wahania Liza mówiła dalej:

- Wczoraj wieczorem odbyliśmy długą rozmowę. Moim zdaniem one są trochę... jak by to powiedzieć... zbite z pantałyku. Hektor mi się zwierzył cichym głosem: „Chyba bardziej mi się podobało, jak było przedtem, kiedy tata nie był mamą. Tata jest w porządku, ale to nie jego miejsce”. Lulu nic nie mówiła, tylko wzdychała. Niedługo stracisz swoje dzieci, Ariano.

Młoda kobieta włączyła automatycznego pilota, żeby powtórzyć słowa, które znała już na pamięć.

- Dzieci świetnie się przystosowują, są jak z plasteliny. Na pewno będą się potem śmiały z tych kilku miesięcy jakby wziętych w nawias.

Ale od tamtej pory nie tylko Liza Honfleur nie wierzyła w ani jedno słowo tej mowy obrończej *pro domo*: Ariana też przestała w nią wierzyć.

Akurat kiedy o tym myślała, zobaczyła, że dzieci wyszły z wody i biegną do niej. Stała na ręczniku i radosna wyciągnęła ręce, ale Luiza potknęła się i wyłożyła jak długa na kamieniach. Ariana rzuciła się, żeby ją podnieść, i usłyszała ryk: „Tato, tato, boli”.

Dalej biegła do córki, tego swojego słoneczka, ukochanego kwiatuszka, ale Hugo ją wyprzedził. Z przymkniętymi oczyma szeptał: „Ciii...”, kołysząc dziecko i całując je delikatnie, raz po raz, w to samo miejsce na główce. Luiza, zanosząc się od płaczu, mocno trzymała ojca



za szyję, z noskiem wtulonym w jego tors i nóżkami obejmującymi go w talii. Nikt więcej się dla nich nie liczył i Ariana poczuła, że zaraz umrze ze smutku.

W jej głowie zderzyły się dwie zapamiętane scenki: ona dawniej, zdmuchująca z dłoni pocałunki, które dzieci łapią na niby w rączki i ściskają jak największy skarb, i ona teraz, całująca je na odczepnego przed snem, zbyt zmęczona na zwyczajowe pięć minut łaskotek.

Wróciły również, niczym koncentryczne koła, inne wspomnienia. Ona dawniej, z głową w srebrnych papilotach jak w kasku z sardynek, przerzuca u fryzjera „Galę”. Ona teraz, z włosami skręconymi w kok, w który wtyka ogryziony długopis, rano energicznie wklepuje w twarz wodę kolońską chluśniętą na zagłębienie dłoni. Znów ona dawniej, kupuje do spółki z Zozo sięgające do połowy ud wiśniowe botki firmy Michel Perry, i ona teraz, tak nie na czasie, że nie wie nawet, gdzie jej najlepsza przyjaciółka wynalazła nowy pasek opadający na biodra. Ona dawniej, poirytowana, bo nie wie, w co ma najpierw wsadzić ręce, nerwowa, ale zakochana w swoim mężu. Ona teraz, chcąc tylko przespać się z mężczyzną, którego jeszcze kocha.

Tamtego dnia Ariana nie umarła ze smutku, ale zrozumiała, że sprawy mają się jeszcze gorzej, niż sądzi matka: nie tylko straciła męża i dzieci, ale również swoją pracę, swój dom, swojego psa, swoją najlepszą przyjaciółkę, nawet swoją stronę łóżka. W sumie całe swoje życie. Ale miała zamiar wszystko odzyskać, i to w najbliższym czasie.

Mecenas Maurycy Cantuis

Komornik sądowy

Członek kierownictwa FSMKS-u

Dotyczy: eksperyment Marsiaców

Raport z oględzin: miesiąc sierpień 2002 roku

Uwaga: dokument czasowo do użytku wewnętrznego

Uwagi ogólne

Dziwny miesiąc: od piętnastego żadnych wiadomości od Marsiaców. Ich komórki mają czynną pocztę głosową, ale ani jedno, ani drugie do mnie nie oddzwoniło. Nie sposób dowiedzieć się również niczego o Lizie Honfleur, ponieważ jest na kursie „Poznajemy kulturę Inuitów”, odbywającym się w Laponii, poza zasięgiem mojej komórki, taryfa Ola, z trzygodzinnym ryczałtem na rozmowy, z Korsyką włącznie.

Jestem bardzo zaniepokojony.

## Wrzesień

*Skoro wrzesień, to już jesień, ale jabłek pełna kieszeń.*

mądrość ludowa

Są ludzie, którzy zawsze chcą, żeby wszystko zostało po staremu. Jak wiadomo, Marsiacowie do nich nie należeli. Dlatego też przeżyli niemiłą niespodziankę, przekraczając po powrocie z wakacji próg swojego domu. Prawdą jest, że robotnicy niczego nie zniszczyli. Wszystko było w takim stanie jak w dzień ich wyjazdu miesiąc wcześniej. Mimo obietnic Dilabaulta żaden członek jego dream-teamu nie raczył pokazać się przy rue du Gai-Pinson dwanaście, departament Yvelines. Można sądzić, że wszyscy rzemieślnicy umówili się, żeby ani o milimetr nie posunąć remontu u tego zakichanego prywaciarza. Pełne wyposażenie kuchni leżało jeszcze w kartonach, które zdążyły pokryć się grubą warstwą kurzu. Podłoga w salonie nadal przypominała mozaikę z betonu komórkowego, gipsu, plam po farbie i końcówek przewodów, pospiesznie schowanych pod sklejką.

Ariana próbowała wykorzystać okazję.

- Moje biedactwo, wiesz, że jutro mija równy rok od rozpoczęcia remontu? Nie urządzisz małego przyjęcia dla robotników? Kto wie, może to skłoniłoby ich do przyjścia? Ale, na serio, jak sobie dasz radę z dalszym remontem, tym bardziej że niedługo zacznie się szkoła? Wiesz co? Możesz jutro wrócić do Totalwynajmu i zostawić cały ten kram na mojej głowie.

Hugo miło się uśmiechnął.

- Jak powiedziałem, że nie, to nie. Nie zmienię zdania Ariano.

„To jednak dziwne, że muszę wciąż to powtarzać” - pomyślał.

Od burzliwej rozmowy, którą przeprowadzili w sierpniu Ariana wciąż ponawiała ataki, używając wszystkich środków: czarowała, groziła, gniewała się, była miła albo smutna. Ale wszystko na nic.

Zaczęła dyplomatycznie, pewnego pięknego wieczoru na wakacjach, wychodząc z sypialni. Uroczo wyglądała w makijażu, z włosami upiętymi w kok, ubrana w prawie przezroczystą sukienkę. Powiedziała: „Niespodzianka! Zapraszam cię do restauracji, kochanie!", i dziesięć minut później byli już w restauracji „Sola Mia”, najlepszej na wyspie.

Ledwo weszli, zaproponowała, żeby zagrali w „kto pierwszy się odezwie, ten przegrywa” siedzącą przy sąsiednim stoliku parą, która do spółki liczyła nie więcej niż sześćdziesiąt lat, a już nie miała sobie nic do powiedzenia. Ariana wybrała mężczyznę i przegrała; przy serach jej pionek głupio wpadł, bo spytał swoją towarzyszkę, czy podzieliłaby się z nim serkiem „Saint-marcellin”. Klasyczny numer. Jako osoba umiejąca przegrywać Ariana z przyjemnością zafundowała Hugonowi szampana. Przez cały wieczór uwodziła go, przekręcając głowę na bok, mrużąc rozkosznie oczy, rozchylając usta, pokazując dekolt... Hugo, trochę zdziwiony, skorzystał z okazji, żeby jej opowiedzieć o nowej kolekcji „Prawdziwa Bizuteria - F jak Frywolna”, miał na to wielką ochotę.

Ariana klasnęła w dłonie.

- Jesteś nadzwyczajny, kochanie, wiesz, że zawsze w ciebie wierzyłam!

Mąż, zachwycony tak życzliwą reakcją, skierował rozmowę na temat, który leżał mu na sercu: po tylu tygodniach „funkcjonowania”, kiedy nie mieli czasu na spokojną rozmowę, mogą wreszcie porozmawiać o nich, o ich uczuciach i o ich małżeństwie. Ariana powstrzymała się od ziewnięcia i przez uprzejmość udawała, że słucha socjopsychologicznej paplaniny małżonka. Nie było to trudne; wystarczyło, że od czasu do czasu spytała: „Co wtedy dokładnie czułeś?”, by on znów gadał przez pięć minut. Dopiero przy deserze wyłożyła karty na stół. Chwyając nad stolikiem dłoń Hugona, powiedziała bardzo wolno: „Oddaj mi moje życie”.

Najpierw udawał, że nie rozumie. Dlaczego? W czym problem? Wszystko się dobrze układa, umowa ma obowiązywać do grudnia, dlaczego mieliby nie dotrzymać obopólnego przyrzeczenia? Ariana powiedziała wprost, że jest gotowa zwrócić mężowi jego pilota do telewizora i wszystkie przywileje, jakie się z tym wiążą. Zamiana, której dokonali, udała się aż za bardzo. Dlatego ona czuje się teraz pomniejszona, wyjałowiona, niepotrzebna. Dość logicznie Hugo przypomniał jej, że pół roku wcześniej, opisując swoje złe samopoczucie, używała tych samych przymiotników. W jaki więc sposób życie, które niemal doprowadziło ją do szaleństwa, może kilkanaście tygodni później pomóc jej odzyskać rozum? W odpowiedzi Ariana nie znalazła lepszych argumentów poza tym, że - wbrew pozorom - od marca bardzo dużo zrozumiała, a mąż pozostał tępym facetem, który nie zna się wcale na psychologii.

To był błąd. Hugo z największym spokojem wziął rachunek.

- Stać mnie na to, żeby cię zaprosić, wyobraź sobie - oświadczył.

Sekundę potem dobił ją:

- Mam po dziurki w nosie twoich kaprysów, Ariano. Nie oddam ci twojego życia, bo umowę zawarliśmy z twojej inicjatywy. Tak się składa, że mnie jest świetnie z moją pracą, moim domem i moimi dziećmi.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, że jesteś patetyczny? Tylko facetki nadużywają przymiotników dzierzawczych. Nie jesteś mężczyzną w domu, tylko czymś w rodzaju domowego transwestyty.

- Mam to gdzieś. Wiesz, co ci powiem? Nie jestem pewien, czy chcę wrócić na tę kretyńską autostradę menedżera. Dlatego nic nie zmienię do trzydziestego pierwszego grudnia, może nawet dłużej, jeszcze się zastanowię.

Ariana, nie mając więcej argumentów, postanowiła się rozplakać. Dawniej to zawsze działało na Hugona. Mąż podał jej tylko papierową serwetkę i powiedział z drwiną:

- Przestań, mężczyźni nie płaczą.

Załamana Ariana zrozumiała, że zaczęła się walka na śmierć i życie.

Koniec lata minął, jak sobie można wyobrazić, w serdecznej atmosferze. Pozornie wszystko było w jak najlepszym porządku. W rzeczywistości małżeństwo Marsiaców przypominało kartel z Medellin - niespodziewane ataki i ciosy poniżej pasa. Ariana wciąż próbowała dopiąć swego, ale Hugo stawiał jej opór. Korzystały na tym jedynie dzieci, bo rodzice prześcigali się w prezentach i pieszczotach, gotowi przychylić swoim pociechom nieba. Spod plażowego parasola Gudrun z przerażeniem obserwowała rosący stos piłek, kół ratunkowych z kaczuszkami, raketek do tenisa plażowego i gumowych delfinów, przekonana w duchu, że trafiła do szaleńców.

Do tego doszło. Kiedy kolejne fiasko remontowe nie zniechęciło męża do roli gospodyni domowej, Ariana zrozumiała, że jakakolwiek walka jawna jest z góry przegrana. Postanowiła działać podstępnie.

Przez chwilę Hugo zastanawiał się, czy miał rację, upierając się, że nie będzie używał wózka na zakupy: wózek Ariany, z pluszu imitującego krowią skórę, na pewno był niekorzystny dla jego image'u, ale mimo to przydałby się, bo rączki plastikowych toreb nie wrzynałyby się w dłonie. Przebiegł całe merostwo Le Vésinet, dźwigając w każdej ręce po siedemnaście kilogramów zakupów z Franprix, zanim wreszcie znalazł drzwi, na których wywieszono informację: „Zapisy na zajęcia sportowe”. W kolejce stało już około dwudziestu kobiet, a na ich twarzach malowała się taka rezygnacja jak u radzieckich gospodyń domowych w latach pięćdziesiątych. Na szczęście zauważył w tłumie uśmiechniętą buzię Melanii Vilmain,

matki pięcioletniego Rudolfa, kolegi Luizy z przedszkola, obiecującego młodzieńca, który miał gameboya advance i świnkę morską nazwaną Jenifer, przez jedno „n”, co w sumie zapewniło mu wielkie powodzenie u starszaków płci żeńskiej.

Po chwili zawołała do Hugona: „Tu jestem, zajęłam ci kolejkę!”. Czekające matki zaczęły gniewnie warczeć, ale on beczelnie precisnął się do Melanii, powtarzając z obłudnym uśmiechem „przepraszam”, a jednocześnie rozdając co szkaradniejszym kobietom mściwe ciosy swoimi torbami. Kiedy już dotarł do Melanii i schylił się, stawiając zakupy na ziemi, skorzystał z okazji, żeby dokładniej przyjrzeć się miłym dla oka krągłościom wypychającym koszulkę młodej kobiety. Cicho powiedział: „Dziękuję. Podobno jest tylko piętnaście miejsc na zajęcia we wtorki o siedemnastej. Bez ciebie nie dałbym rady. Nie mogę zapisać dzieci na środę, bo o drugiej jest piłka nożna, o czwartej kończy się rytmika, a zaraz potem lecę po starszego na warsztaty ceramiczne. Uratowałeś mi życie”. Wsunął pod pachę saszetkę z dokumentami potrzebnymi do zapisania na basen, to znaczy: po dwa zdjęcia paszportowe każdego dziecka, wykonane niedawno bez nakrycia głowy na białym albo jasnoszarym tle, dwa zaświadczenia lekarskie, że dzieci mogą uprawiać sport, dwie metryki, czek - po trzydzieści euro za semestr i za dziecko, dwa zaświadczenia o zameldowaniu, książeczkę rodzinną celem potwierdzenia pokrewieństwa i wewnętrzny regulamin basenu szkolnego podpisany przez oboje rodziców. Pamiętał nawet o ofrankowanych kopertach, zaadresowanych do siebie, na wyniki testu „kijanek”, odbywającego się pod koniec roku szkolnego.

Melania Vilmain spojrzała na Hugona. Naprawdę jej zaimponował. Nigdy nie widziała takiego faceta. Czasem widywała ojców czekających na swoje dzieci pod szkołą. Rozwodników, we wtorki i w piątki. Okazyjnych, wysłanych *manu militari*. Przez żony w nagłych wypadkach. Bezrobotnych, którzy wyglądali na nieszczęśliwych, że muszą to robić, ale większość ich na szczęście po kilku tygodniach przestawała się pokazywać. Tak jakby obecność mężczyzny na dziedzińcu szkolnym lub przedszkolnym o szesnastej trzydzieści była jednoznaczna z rozpadem małżeństwa, rodziny albo fiaskiem zawodowym. Ale nigdy, przenigdy nie przyszłoby jej do głowy, że facet może tak się cieszyć, będąc na co dzień matką rodziny lambda. Melania pomyślała o swoim mężu, wyjątkowo miłym facecie, którego czasem miała ochotę zamienić w eksmęża, kiedy jej mówił ze szczerze zdziwioną miną: „Nie wpadło ci do głowy, żeby do quiche zrobić sałatę?”. Była pewna, że Hugo należy do tych, co gratulują swojej żonie, że pomyślała o zdjęciu opakowania z kupnej tarty serowej, zanim włożyła ją do

piecyka. Dlatego nie mogła zrozumieć dziwnego telefonu od Ariany Marsiac, który odebrała tamtego ranka.

Trzykrotne pukanie do drzwi. Czerwony alarm Nicarda. Generalna dyrektorka Totalwynajmu odłożyła słuchawkę, schowała pod podkładkę kartkę z nagłówkiem: „Dane rodziców uczniów klasy piątej”, i powiedziała swojej prawej ręce, że zaprasza do środka. Ale to nie był Adolf. Stał przed nią Mikołaj Flanvart, z nosem zwieszonym na kwintę i smutnym spojrzeniem pudła w poczekalni salonu piękności dla psów.

- Przepraszam, że przychodzę bez uprzedzenia. Ale wiem, że Nicard w nagłych wypadkach puka zawsze trzy razy, a ja muszę z tobą porozmawiać.

Ariana zmarszczyła brwi. Czemu pracownik, tylko dlatego, że zerwał jej majtki zębami, czuje się upoważniony do przejścia z nią na „ty”?

- Powinien pan do mnie zadzwonić na bezpośredni telefon.

- Chciałem panią zobaczyć. Od powrotu z wakacji w ogóle się pani do mnie nie odzywa, a ja wciąż o pani myślę.

Sto kilo flaków z olejem... Fakt, że powinna z nim oficjalnie zerwać. Ale żeby zerwać, trzeba jeszcze mieć co zerwać, chociażby załątek jakiejś przygody. Niestety, patrząc na Flanvarta, miała wrażenie, że prawie go nie widzi. W beżowym garniturze był przezroczysty. Nie wyglądał jak widmo, co to, to nie, nie bała się go, raczej postrzegała go jak ektooplazmę. Jak powiedzieć ektooplazmie, żeby znikła? Zastanawiała się, co wiarołomny szef firmy powiedziałby w takiej sytuacji. Pomyślała, że na jej miejscu Hugo... Nie, tylko nie Hugo, na myśl, że mąż mógł w tym gabinecie... zrobiło jej się niedobrze.

Nie ma co się dręczyć - powiedziała sobie w duchu. Trzeba odsunąć takie myśli, wystarczy, że zaimprovizuje mówkę, powie miłe banały, które nie są obraźliwe, ale też nie pozostawiają złudzeń, jak Michael Douglas w filmie *W sieci*. Co to dla niej?

- Mikołaju, bardzo pana lubię, chyba pan w to nie wątpi, ale muszę zachowywać się rozsądnie, myśleć o firmie. W lipcu oboje ulegliśmy chwili słabości, ale trzeba panować nad sobą. - Ariana coraz częściej używała zwrotów w stylu „jedno z dwojga” albo „nie dość, że na dodatek”. - Oboje mamy rodziny, na których nam zależy, lepiej więc zapomnieć o tym, co było. Rzecz jasna, zachowa pan swoje stanowisko w Totalwynajmie, ma pan moje słowo.

Siedząc wzrokiem odchodzącego Mikołaja, który wyglądał jak smutny pudel, już po kąpieli, doszła do wniosku, że zachowała się bardzo nieprzyjemnie. Mimo to miała ochotę



zatrzeć z radości ręce. Trzydzieści pięć sekund potem myślała już wyłącznie o czekającym ją zebraniu. W życiu współczesnych decydentów nie ma miejsca na litość.

Liza Honfleur pomyślała, że przyszła pierwsza, ale przy stoliku zarezerwowanym przez córkę siedział już jakiś mężczyzna. Uznała, że właśnie tak mógłby wyglądać ktoś, kto stołuje się regularnie „Pod Tłustą Indyczką”. Mężczyzna przedstawił się, a kiedy się pochylił, całując jej dłoń, zobaczyła prawdziwą łysinę, bez przeszczepów ani régécoloru, co policzyła mu na plus. To był więc ten słynny Adolf Nicard. Wkrótce potem zjawił się punktualny Momo. Z przykrością zobaczył swoją Dulcyneę w towarzystwie faceta, który, sądząc po wyglądzie, mógł być przewodniczącym FSKSS-u (Francuskiego Stowarzyszenia Komorników Sądowych Seniorów), i szukając zaczepki, usiadł bez pytania obok niej. Zaraz po Momo przybyli Piotr Gantois, a potem Dilabault z zaróżowioną z wrażenia Gudrun. Każdy z tego przypadkowego, zdawałoby się grona, popijając wodę Badoit, zastanawiał się, co tu robi.

Wtedy pojawiła się Ariana w sukni przeciętej pasem srebrnych łusek. Od kwadransa czekała ukryta na parkingu, aż wszyscy się zbiorą, żeby mieć udane wejście. Wiedziała, że musi wygrać. Czuła się jak Joanna d'Arc śpiesząca na pomoc swojej rodzinie, bojowniczką o szczęście małżeńskie, prawie świętą. Starannie dobrała gości: bez tego „kolektywu” nie miałyby żadnych szans na wygraną.

Drżącym ze wzruszenia głosem, nad którym usiłowała zapanować - chciała wypaść jak Julia Roberts podczas wręczania Oscarów - powiedziała, co ją gryzie. Otóż Hugo tylko sprawia wrażenie, że tryska radością, bo w rzeczywistości jest z nim bardzo źle i tylko najlepsi przyjaciele są w stanie mu pomóc. Ci przyjaciele to oczywiście oni, siedmioro życzliwych, przywiązanych do niego ludzi. Wspólnie powinni zawrzeć święte przymierze z myślą o jej mężu.

Wszyscy przy stoliku zmarszczyli ze zdziwienia brwi, najbardziej zaskoczeni byli Gudrun i Dilabault, zaliczeni do grona najbliższych przyjaciół.

Z myślą o tych, którzy nie znali jeszcze szczegółów „eksperymentu Marsiaców”, Ariana wyjaśniła, jak do niego doszło. Nicard nie spuszczał z niej rozszerzonych z grozy oczu, podczas gdy Dilabault zaczął wreszcie rozumieć, dlaczego Szwedka *au pair* nie nazywa swoich pracodawców inaczej niż „szajbusy”.

Młoda kobieta zakończyła *speech* serią bezapelacyjnych formułek, którymi potrafiła żonglować jak nikt inny.

- Pan Dilabault zgodzi się ze mną, że lepsze jest wrogiem dobrego. Hugo mydli wszystkim oczy, ale jest u kresu sił, osamotniony i zaślepiiony w swoim uporze. Mam powiedzieć, dlaczego tak uważam? Dlatego, że nie chce mi zwrócić mojego życia. Nie dość, że stał się kobietą, to na dodatek upierdliwą. Jeżeli mi nie pomożecie, za kilka miesięcy Hugo Marsiac ostatecznie skończy się przeobrażać. Ten mężczyzna, o którym wszyscy mówili, że jest z niego kawał chłopa, a do tego urodzony przywódca, zamieni się w znerwicowaną gospodynię domową ze skłonnościami do bovaryzmu, uzależnioną od telekupna i od krzyżówek w pismach *people*.

Zebrani, nie bez powodu, aż się wzdrygnęli z przerażenia. Każdy pytał Ariane, jak może pomóc. Domyślcie się, że Ariana wcześniej wszystko zaplanowała. Należy zewrzeć szeregi i cierpliwie drażyć w ukryciu. Trzeba przekonać Hugona, rozbudzając jego męskie ego, żeby wrócił do swojego poprzedniego życia. Hugo znów musi poczuć się dumnym macho. Jakich metod używać? Najróżniejszych - sprytnych, podstępnych, dostosowanych do okoliczności. Drobnie uwagi na temat radzenia sobie w kuchni i prowadzenia domu, uśmieški na widok wciąż nieskończonego remontu, wyrażane na głos wątpliwości co do talentów pedagogicznych, drwiące komentarze, że Hugo ubiera się jak damski fryzjer, częste wspomnianie jego wieloletnich sukcesów zawodowych, których już nie może odnosić. Każdy otrzymał zadanie do wykonania: Nicard ma przekonać Hugona, że przyszłość Totalwynajmu zależy od jego powrotu; Piotr, że cały rodzaj męski jest w niebezpieczeństwie, bo jego najlepszy przyjaciel zdradził sprawę; Liza, że dzieci domagają się matki; Momo powinien oświadczyć publicznie, że jest przerażony wynikiem eksperymentu Marsiaców; Dilabault, który dostał wolną rękę, żeby skutecznie opóźnić remont, przyjął tę wiadomość, uśmiechając się jak anioł z katedry w Chartres; Gudrun przykazano pozostać tym, czym była, to znaczy wyzwaniem dla steranych nerwów Hugona. Zapowiadała się wojna, rozłożona w czasie, brutalna, niedająca chwili wytchnienia, bezlitosna, brudna wojna.

Wsiadając z powrotem do audi, Ariana czuła się uskrzydłona. Pogratulowała sobie, że nie zaprosiła „Pod Tłustą Indyczkę” Zofii. Resztki kobiecej intuicji podpowiedziały jej, że najlepsza przyjaciółka już z nią nie trzyma. Kilka dni wcześniej Zozo chciała ją namówić na wspólny obiad; Ariana zerknęła do notesu i zaproponowała spotkanie za trzy tygodnie.

- Wcześniej nie mam wolnego terminu, kochana. Zofia ostrym tonem odpowiedziała:

- JA też mam dużo roboty po powrocie z wakacji, ale byłam gotowa przesunąć spotkania, żeby przez chwilę spokojnie z tobą porozmawiać, tak jak kiedyś.

O la la, ile zawołanych zarzutów! Szefowa Totalwynajmu miała co innego do roboty niż słuchać pouczeń... humorzastej panienki. Jeżeli Zofia nie potrafi pójść w ślady swojej przyjaciółki, jeśli nie może poczekać, aż sytuacja trochę się unormuje - jej strata. Nie zasługuje na to, żeby jej opowiedzieć o epizodzie z Flanvartem, ot co. Poza tym Zofia mówiła ostatnio tylko o Hugonie i perspektywa, że miałyby wygłosić kazanie najlepszej przyjaciółce, przekraczała wytrzymałość tej ostatniej...

Natomiast Ariana wcale nie podejrzewała, że „Pod Tłustą Indyczką” nie przekonała dwojga gości. I to nie tych mniej ważnych.

Gdyby szefowa Totalwynajmu była bardziej czujna, na pewno zauważyłaby, że Momo w ogóle nie otworzył ust podczas obiadu. Jak wielu mężczyzn nabrała przekonania, że sam fakt płacenia dostawcy gwarantuje jego lojalność. Pamiętając o hasle FSMKS-u: „Zapewnić najlepsze doradztwo w każdej sytuacji”, myślała, że Momo bez żadnych skrupułów zmieni się z coacha żony i męża w chirurga plastycznego - naprawiacza. Tymczasem w ciągu półgodziny komornik zobaczył, jak piękna winda, wioząca go do wyższych warstw społecznych, spada z hukiem na sam dół. Wychodząc z restauracji, myślał tylko o jednym: za nic nie może dopuścić do tego, by młoda kobieta przeszkodziła mu zrealizować cel, nawet gdyby sam miał z nią zacząć walczyć.

Nie wiedział jeszcze, że podczas obiadu zyskał niespodziewaną sojuszniczkę. Liza Honfleur, oburzona tym, że córka okazała się tak przebiegłą intrygantką, stanęła po stronie zięcia.

- Zofio, kupiłem w Monoprix piękną łopatkę jagnięcą. Pół godziny w rozgrzanym piekarniku, gałązka świeżego rozmarynu i gotowe. Jest też tatar, bo pomyślałem, że jagnię może być dla ciebie nie dość krwiste. To nasz wkład w kolację. Chyba nie miałaś czasu wpaść do rzeźnika, skoro musisz skończyć projekty dwóch kolekcji bożonarodzeniowych.

„Hugo jest cudowny” - pomyślała młoda kobieta po raz trzydziesty tamtego dnia. Chwyciła paczkę z mięsem i pocałowała Ariane, stojącą dwa kroki za swoim mężem. Bardzo się ucieszyła, że wygląda ona na trochę spokojniejszą niż podczas tej głupiej rozmowy telefonicznej, kiedy to nie udało im się umówić na obiad. W gruncie rzeczy Piotr wpadł na dobry pomysł, organizując tę skromną kolację bez wcześniejszego umawiania się.

Ale była to dziwna kolacja. Piotr i Ariana sprawiali wrażenie zdenerwowanych. Jakby starali się w ogóle na siebie nie patrzeć. Kiedy Zofia i Hugo odnosili talerze do kuchni, dobiegły ich szepty tamtych dwojga. Wspólna rozmowa przy stole też miała dziwacznego

przebieg. Najpierw Piotr opowiadał o swojej pracy, o radości, jaką daje przebywanie w atmosferze męskiego braterstwa i przeświadczenie, że przede wszystkim liczą się muskuły i jaja. Dziwne - pomyślała Zofia - zazwyczaj jej mąż uskarżał się na zawód dziennikarza sportowego, który musi pisać tylko „o jednych krasnych bykach dla drugich krasnych byków”. Ariana przejęła pałeczkę, opowiadając szczegółowo o amerykańskich badaniach nad testosteronem, którego poziom obniża się, podobno drastycznie, kiedy mężczyźni uwalniają się od stresu, jaki wywołuje wyjątkowo aktywne życie zawodowe. Hugo krzyknął zachwycony: „Na szczęście przy dzieciach, remoncie i klientkach mój poziom testosteronu musi być porównywalny z zadłużeniem Afryki!” Piotr zaczął ni w pięć, ni w dziewięć mówić o feminizacji współczesnych mężczyzn, o tym, że nie mogą dostarczyć swoim dzieciom męskich wzorców, o złych skutkach „demaskulinizacji” i innych tym podobnych banałach, którym Ariana przytakiwała energicznie głową. Hugo, domyślając się, że są to aluzje do niego, śmiał się, zasłaniając usta dłonią, tak jak ostatnio lubił to robić.

Słuchając duetu Ariany i Piotra, Zofia przypomniała sobie patrolujące słonie z *Księgi dżungli*, które „szły powoli, wystawiając uszy do wiatru, z trąbami wysuniętymi do przodu”. Zirytowana, poszła do kuchni zaparzyć kawę, zabierając tam przy okazji przyjaciółkę.

- Co kombinujesz razem z Piotrem? Próbujecie pomniejszyć Hugona w jego własnych oczach, tak?

Z kamiennym spokojem przyjaciółka jej odpowiedziała:

- Ocknij się, Zofio. Co byś powiedziała, gdyby twój mąż przez pół nocy projektował prototyp torebki dla mężczyzn, która nie może się kojarzyć ani z Derrickiem, ani z Huggym? Co byś powiedziała, gdyby twój mąż zastanawiał się, czy nie wstrzyknąć sobie botoksu, żeby - cytuję - „usunąć te lwie zmarszczki i zyskać w ten sposób młodszy wygląd”? Co byś powiedziała, gdyby się na ciebie gniewał przez cztery godziny, bo zapomniałaś uczcić rocznicę waszego pierwszego pocałunku?

Zofia uśmiechnęła się.

- A jeżeli czuje się z tym szczęśliwy?

- A to, że ja nie mogę już tego wytrzymać, to się nie liczy? Cholera, Zozo, nie jestem taka jak ty ani jak moja matka, nie jestem święta, wcześniej zresztą też nie byłam, a odkąd żyję jak facet, tym bardziej nie jestem, jak możesz się domyślać. Wysłałam za mąż za męskiego faceta, silnego, dającego poczucie bezpieczeństwa, a nie za manikiurzystkę, kurwa mać! Do-

stałam towar z ukrytą wadą. Jestem pewna, że gdyby Hugo był w normalnym stanie, zrozumiałby, że jego miła żonka stała się

Jeanem Claude'em van Damme'em, noszącym stanik w rozmiarze dziewięćdziesiąt pięć „D”. Sam też dał się wykiwać. Zamiana ról to był mój pomysł, zgoda. Pomyliłam się, przyznaję się do tego z całą pokorą, ale trzeba jak najszybciej włączyć wsteczny bieg. Dlaczego, do cholery, dwie kobiety, które kocham najbardziej na świecie, mnie nie rozumieją?

Skoro mowa o *Księdze dżungli*, wilczyca, czyli Liza Honfleur, dokładnie w tym momencie wyszła z lasu razem z Momo. Był to las Vincennes, gdzie podczas koncertu pod gołym niebem wysłuchali *Requiem* Mozarta. Nie wiadomo, czy to z racji wykonywanego zawodu, ale Momo nie lubił muzyki będącej oprawą smutnych uroczystości. Fauré, Verdi, Mozart - znał wszystkie msze żałobne na pamięć. Pogwizdując *Dies irae* (*Dzień gniewu*), dokonał najbardziej znaczących przejęć, co często wspominał ze wzruszeniem.

Tamtego wieczoru komornik wyglądał raczej na włochatą kulkę, wrogo nastawioną do świata. Szukając tematu do rozmowy, Liza spytała go, czy wie, że Mozart, zanim umarł, najprawdopodobniej skomponował słynny KV 626 tylko do połowy, i to jego asystent, Süßmayr, dokończył pisanie partytury. Momo, który o tym nie wiedział, odparł, że oczywiście wie; w marokańskiej dziurze, skąd pochodzi, można było słuchać stacji RF1 przez radio kryształkowe, bo, *Allah akbar*, Francja w swojej nieskończonej łaskawości nigdy nie szczędziła pieniędzy na oswojenie dzikusów. Naprawdę był w złym humorze. Liza, zaciekawiona, próbowała się dowiedzieć, o co chodzi.

- Momo, czy pan tak się gryzie fiaskiem eksperymentu Marsiaców? Nie rozumiem dlaczego. Nic dziwnego, że ja się niepokoję, skoro moja rodzina jest w niebezpieczeństwie. Ale co pan straci, jeżeli dojdzie do rozpadu małżeństwa Ariany i Hugona?

Nagle stanął i przyjrzał jej się uważnie. Wyglądała korzystnie w inuickiej kamizelce z makramy, wykonanej z futra renifera. Była piękna i stateczna, dojrzała, godna pożądania i z góry stracona. Co ryzykował, mówiąc jej wreszcie prawdę?

Wziął ją za rękę i zaciągnął bez słowa do kawiarni przy Porte-de-Vincennes. Opowiedział jej o wszystkim. O impasie, w którym się znalazł. O życiu prywatnym zmarnowanym z jego winy, o życiu zawodowym, w którym brak perspektyw i uznania dla jego pracy. Nic nadzwyczajnego, banalna opowieść o integracji, którą równie trudno uznać za udaną, jak i za całkowicie nieudaną. Mały Arabus zasługujący na pochwałę ma marzenia, które przerastają jego możliwości. Kiedy pojawili się w jego życiu Ariana i Hugo z tym dziwnym



pomysłem, pomyślał, że będą królikami doświadczalnymi, które wykorzysta, by wziąć odwet; życie jest jak gra z wesołego miasteczka: kiedy ludzie wychodzą ze swojej roli, zamieniają się w grzybki, w które trzeba stuknąć młotkiem, żeby zdobyć punkty. Zagrał i przegrał: musi teraz wrócić do swojej nory, z głową grubo owiniętą bandażem. Wszystko zaczęło być zrozumiałe. Za bardzo się starał. Ale nadal był przekonany, że zamiana ról nie jest złym pomysłem. Popęłnił tylko błąd przy coachingu. Był zbyt wymagający, mnożył treningi i co miesiąc podnosił poprzeczkę, aż zawodnicy nie wytrzymali tego nerwowo. Myślał, że jest Aimé Jacquetem od małżeństw, podczas gdy był zaledwie Rogerem Lemerre'em\*, ot co. Pozostało mu wrócić do swojej codzienności, ponurej jak konto bankowe zadłużonego po uszy bezrobotnego.

Tylko kobieta formatu Lizy Honfleur, ta święta ateuszka, mogła wysłuchać spowiedzi Momo, chociaż uważała go za złego ducha swoich dzieci. Kiedy odkryła, że Momo od początku manipulował ludźmi w takim samym stopniu jak Ariana w ostatnich dniach, nie wpadła w gniew. Była nawet bardziej skłonna usprawiedliwić komornika niż rodzoną córkę.

Bez złości powiedziała:

- Pan jest dla siebie zbyt surowy. To Ariana i Hugo pana ściągęli. Kłopot w tym, że, moim zdaniem, podchodzi pan do kwestii małżeństwa zbyt... radykalnie. Pamięta pan, jak powiedziałam, że odciął się pan od swojego maghrebostwa? Myliłam się. W rzeczywistości wracało ono jak bumerang podczas prowadzonych przez pana treningów. Przez całe dzieciństwo miał pan zapewne przed oczyma model stosunków między kobietą a mężczyzną trochę... jak by to powiedzieć... integrystyczny. Dlatego usiłował pan zrobić z mojego zięcia coś więcej niż kobietę, bo muzułmankę na starą modłę, zajmującą się wyłącznie gotowaniem i wychowywaniem dzieci. A moja córka stała się władczą głową rodziny, w rodzaju trudnego we współżyciu handlarza wielbłądami. Nie przegrał pan z przyczyn technicznych, tylko kulturowych. To było nieuniknione.

Momo westchnął głęboko. Liza zapewne miała rację. Pomysł, żeby Hugo zajął się haftowaniem, był chyba przesadą. Tak samo jak formalny zakaz, żeby Ariana sprzątała ze stołu po posiłku. Mężowie, którzy są rodowitymi Francuzami, odnoszą zawsze swój talerz do kuchni, zanim z czystym sumieniem zasiądą przed telewizorem. Z przerażeniem coach zdał sobie sprawę, że posunął się zbyt daleko. Co ma robić w tej sytuacji?

- Być może jest wyjście! - krzyknęła naraz Liza. - W końcu dążymy do tego samego, pan marzy o tym, żeby doprowadzić eksperyment do końca, a ja chcę tylko ostudzić emocje, nie



dopuścić do rozlewu krwi w tym małżeństwie. Znając moją córkę, wiem, że ona nie ustąpi: będzie niszczyć swojego męża, dopóki nie odbierze mu swojego domu, swoich dzieci i swojej pracy w niepełnym wymiarze godzin. Pozostaje porozmawiać z jedyną w tym domu rozsądną osobą. Z małżonką. To znaczy z Hugonem. Jeżeli mu powiemy, co się święci, jako odpowiedzialna kobieta, która chce uratować swoje małżeństwo, może odruchowo włączyć wsteczny bieg, żeby nie być zmuszonym do znoszenia upokorzeń spiskującej siódmki. Ratowanie małżeństwa jest domeną kobiet. Wszystkie moje znajome usiłowały, usiłują albo będą usiłowały ratować swoje małżeństwa. Gdybym przedwcześnie nie owdowiała, chyba też poświęciłabym na ten cel całą energię.

Momo pomyślał, że gdyby jego żona też usiłowała ratować ich małżeństwo, musiałaby to robić bardzo dyskretnie, stąpając na czubkach palców, żeby nie obudzić kochanka. Ale zrozumiał, że Liza ma rację. Zwrócenie się o pomoc do Zofii również jest dobrym pomysłem. Zadzwoń do niej, od razu, jutro.

Ariana spojrzała na listę. Został tylko Jan Baptysta Vrignaut. Przypomniała sobie jego matkę, niską blondynkę tryskającą energią, najbardziej typową mieszkankę Le Vésinet, jaką można sobie wyobrazić, z błękitną apaszką na głowie, zawiązaną jak u Matki Boskiej, oszalałą konformistką, z rodzaju tych, co na urodziny swoich dzieci organizują zabawę w podchody w kościołach: pierwszy, kto znajdzie Jezusa, zdobędzie dziesięć punktów, ewangeliści są po pięć, a inni apostołowie po dwa. Hektor, który z uporem szukał „chipsów” - jak określał zapasy niepoświęconych hostii - wracał zawsze z nagrodą pocieszenia, z reguły była to fotografia papieża. Maria Szarlota Vrignaut, z domu Flanchart du Pélage, karząc się za niezbyt chrześcijański żal z powodu utraconej partykuły, duszą i ciałem dawała wyraz swojego żalu za grzechy: w ciągu sześciu lat zrobiła pięcioro dzieci swojemu mężowi, ponuremu informatykowi cierpiącemu na chorobę Basedowa.

Słyszając głos Ariany, sprawiała wrażenie zaskoczonej.

- To dopiero, od miesiący nie widzieliśmy pani w szkole! Muszę przyznać, że trochę się niepokoiliam o pani dzieci.

Ariana miała ochotę powiedzieć, że powinna się również martwić o to, żeby jej i cudze dzieci nie nabawiły się zapalenia płuc, pielgrzymując do lodowatych kościołów.

- To miło z pani strony. Właśnie dlatego dzwonię do pani i do innych matek, które znam osobiście. Przypuszczam, że odbierając dzieci o szesnastej trzydzieści, często widuje pani mojego męża.

- Prawie codziennie. O co chodzi?

- Chciałam tylko spytać, czy pani zdaniem on wygląda normalnie, czy nie ma niczego dziwnego w jego wyglądzie?

- Co pani ma na myśli?

- Przykro mi, ale nie mogę powiedzieć nic więcej. Gdyby jednak pani była taka miła i okazała czujność... Proszę mnie zawiadomić, jeżeli zauważy pani coś odbiegającego od normy, to może ocalić moje dzieci. Z góry dziękuję.

Odłożyła słuchawkę, zachwycona tym, co zrobiła. Trzydzieści razy. Na dodatek, nie ma bardziej złośliwej plotkary od Marii Szarloty Vrignaut; zaraz pójdzie głosić złą nowinę w szkole. Całe stado matek, czekając na dzieci pod szkołą i pod przedszkolem o szesnastej trzydzieści, będzie rzucało Hugonowi inkwizytorskie spojrzenia. To go zniechęci do odgrywania roli wzorowego ojca.

Gonçalvo ściszył *Afflição y consternação*, przebój Amalii Rodrigues, i rozłożył ręce, demonstrując swoją niewiedzę.

- Ja nie wiem, dlaczego nie ma płytki, panie Marsziac. Dilabault miał zamówić szódmą dzień s'tembru, nicz nie rozumiem, Dilabault jeszt za miaszto Bóg wie kiedy. Jego telefon movel nicz nie mówi, ja jesztem zasztopowany z moja robota, absolutnie zasztopowany.

Hugo zaklął tak szpetnie, że mała Luiza otworzyła usta ze zdziwienia. Jej tatuś zrobił się jakiś dziwny. Przez cały czas mówił „o la la”, wznosząc ręce do nieba, tak samo jak Karolina, jej wychowawczyni z przedszkola, ale Karolina nie dodawała „kurwamaćjawaswszystkichpierdołę”... I nie pachniała tak ładnie „after sejmem” jak jej tata. Kiedy zobaczyła w drzwiach babcię, tak się ucieszyła, że zaczęła wykręcać swoje kitki na wszystkie strony. Babcia zawsze wie, co robić, i pomoże tatusiowi, żeby już nie musiał wymachiwać rękoma. Za babcią stał Momo, ten śmieszny pan, który mówił do niej jak David Pujadas z telewizji, bardzo powoli, używając trudnych słów i patrząc jej w oczy, jakby była dorosła i bardzo lubiła słuchać o nudnych rzeczach. Za Momo stała jeszcze Zofia. Zofia to mama jej koleżanki Alicji, jest bardzo piękna, zawsze ma pełno naszyjników i falbanek, jak jej mama przedtem. We trójkę rozśmieszą w końcu tatusia, to pewne.

Świat widziany oczyma dziecka jest zawsze ładniejszy niż w rzeczywistości. Kiedy święta trójca, Liza-Momo-Zozo, sobie poszła, Hugo miał ochotę tylko na jedno: wznosić ręce do niedokończonych sufitów w długim lamento.

Na początku myślał, że żartują, kiedy powiedzieli, że jego żona uknuła spisek, by go zmusić do powrotu do dawnego życia. Słuchając o spiskowcach zaproszonych na obiad „Pod Tłustą Indyczkę”, nawet parsknął śmiechem. Ale tamci mówili serio. Hugo wciąż powtarzał, że Ariana to wariatka, a tymczasem ona naprawdę zwariowała. Zupełnie jej odbiło. Należało ją umieścić w zamkniętym pomieszczeniu, oznakowanym wielkimi samoprzylepnymi tabliczkami z napisem: „Uwaga, niebezpieczna wariatka”. Naraz stały się zrozumiałe wszystkie dziwne rzeczy, które wydarzyły się od rozpoczęcia roku szkolnego: spotkane pod szkołą matki omal nie robiły znaku krzyża na jego widok; Dilabault, który w swojej poczcie głosowej nagrał wiadomość: „Nie wiem, jak długo będę nieobecny, ale cierpliwość zawsze jest wynagrodzona”; Gudrun, która od zeszłego tygodnia rozumiała po francusku znacznie mniej niż przedtem i nie potrafiła reagować nawet na tak proste polecenia, jak „napuścić dla dzieci wody do wanny” albo „kupić pieczywo”; i Piotruś, który wciąż udawał przy nim Sylvestra Stallone. Zaskoczenie Hugona szybko zamieniło się w gniew. Zrobić coś takiego jemu, najmiłszemu, najbardziej ugodowemu i prostolinijnemu facetowi pod słońcem! Żona odwdzieczyła się za to, jaki jest, namawiając jego najbliższe otoczenie, żeby mu wbiło nóż w plecy!

Podczas gdy Hugo rozczulał się coraz bardziej nad swoją kryształową osobą, wyszydzoną przez Ariane, Liza próbowała go uspokoić.

- Nie trzeba tak tego odbierać. Może Ariana podeszła do sprawy niezbyt zręcznie, ale świadczy to raczej, że ona cię kocha, chce, żebyś znów był taki jak przedtem, i martwi się o ciebie. Sam wiesz, że teraz ma trudności z wyrażaniem swoich uczuć.

Rozgoryczony Hugo wrzasnął:

- Potrafiła jednak namówić sześć osób, w tym moją prawą rękę i mojego najlepszego przyjaciela, żeby jej pomogły wysadzić mnie z siodła!

- To dlatego, że ona nie umie już z tobą rozmawiać! Nie widzisz, do diabła, że ona stała się mężczyzną?! Najbardziej zakochani faceci są często najbardziej małomówni. Przypomnij sobie, że dziesięć lat temu oświadczyłeś się jej faksem. Hugonie, eksperyment Marsiaców miał trwać do trzydziestego pierwszego grudnia. Nie będziemy się targować o głupie trzy miesiące. Słyszysz, jak mówisz: „Chyba nikt w tym domu nie zdaje sobie sprawy, jak ja tu haruję”? Można pomyśleć, że to mówię ja albo Zofia czy też któraś z twoich klientek. Stałeś się kobietą, mój biedny Hugonie, do tego bardzo dzielną, taką jak lubię.

Momo dodał:

- Hugonie, to moja wina. Chyba popełniłem błędy przy coachingu. Powinno być inaczej. Ariana ma rację: zbyt dużo frywolności szkodzi męskości. Spróbuj podejść do tego z większą nonszalancją.

Zofia podsumowała:

- Hugonie, kiedy matki zaczęły szeptać między sobą, że na pewno jesteś pedofilem, przestraszyłam się. Wszystkie klientki pytają mnie, czy znam twojego partnera, a kiedy mówię im, że jesteś żonaty, one na to: „Oczywiście, jak wszyscy homoseksualiści”, i śmieją się. Ze społecznego punktu widzenia znalazłeś się w wielkim niebezpieczeństwie. Świat nie dorósł do tego, żeby docenić takich pionierów jak ty. Zgadzam się, że spisek Ariany może się wydawać tandetnym plagiatem *Spisku głupców*, ale w gruncie rzeczy ona może mieć rację. Poza tym, jak wiesz, nie ma mowy, żebyś się zupełnie rozstał z „F jak Frywolna”, jesteś nie-za-stą-pio-ny, mógłbyś być konsultantem, co o tym myślisz?

Hugo myślał, że nie daruje Arianie. Ale, chcąc pozbyć się piekielnego tria, obiecał, że poukłada sobie wszystko w głowie, zanim poprosi żonę o wyjaśnienia.

Ledwie wyszli, zadzwonił telefon. Na donosicielskim ekranie wyświetlił się numer Totalwynajmu. Hugo wahał się, czy odebrać, bo nie miał wcale ochoty rozmawiać z Arianą, ale po końcówce numeru poznał, że to Nicard.

- Adolf? To dopiero niespodzianka!

Jego była prawa ręka najwyraźniej wiła się w męczarniach.

- Hugonie, twoja żona wyszła akurat z biura, chciałem mieć pewność, że jej nie będzie, kiedy do ciebie zadzwonię. Muszę z tobą porozmawiać o trochę drażliwej sprawie.

Od obiadu „Pod Tłustą Indyczką” Adolf Nicard prawie nie spał. Co noc przewracał się w wykrochmalonej pościeli, patrząc bez cienia radości na imponujących rozmiarów ciało Antoniny, która chrapała jak najęta u jego boku. Bez przerwy zastanawiał się, co powinien zrobić i jak się do tego zabrać. Nie miał kwalifikacji do rozplątywania takich małżeńsko-zawodowych supłów.

Nie da się ukryć, że Ariana zyskała w jego oczach. Początki były żałosne, ale potem dała sobie radę. Pomysł z wynajmowaniem mężczyzn był prosty, ale trzeba było na niego wpaść. Nicard był skłonny przyznać, że wesołość Ariany, jej autentyczna świeżość i energia sprawiły, iż odnalazła się w Totalwynajmie. Wcale nie przeszkadzałoby mu, gdyby została jeszcze trzy miesiące. Ale Adolf był człowiekiem obdarzonym poczuciem obowiązku, poza tym wiedział, ile zawdzięcza Hugonowi Marsiacowi. To, co podczas tamtego obiadu mówiła o nim Ariana,

dosłownie go zmroziło. Spojrzał na Antoninę i wyobraził sobie, że zamiast niej leży obok jego szef w koronkowej koszuli nocnej, z „Femme Actuelle” na brzuchu, otwartą na przepisach kulinarnych. Trzeba Hugonowi pomóc ocknąć się, żeby sobie przypomniał, co dla mężczyzny powinno być najważniejsze. Co gorsza, choć Adolf Nicard nie potrafił tego jasno sformułować, czuł, że eksperyment Marsiaców może zachwiać zachodnim modelem małżeństwa; pomieszanie płci i rodzajów może jedynie wprowadzić chaos. Na dodatek, gdyby ten idiotyczny pomysł z zamianą znalazł naśladowców, on, Adolf, po przejściu na emeryturę musiałby nie tylko grać w belotkę i zajmować się ogrodem, ale jeszcze skubać drób i depilować sobie nogi.

Adolf napotkał jednak poważną przeszkodę, chcąc wywiązać się z zadania, które mu powierzyła Ariana. Pod jakim pretekstem zadzwonić do Hugona? Firmie Totalwynajem nic nie zagraża. Od operacji „Chippendalsi” wręcz prosperuje. Dyrektorowi generalnemu byłoby trudno kłamać albo fałszować księgowość czy bilans, skoro nigdy nie zawiódł zaufania szefa. Szukał innego powodu, tak ważnego, że zmusiłby każdego mężczyznę, nawet zagubionego, do powrotu na swoje miejsce.

Śpiąca obok Antonina mruknęła. Trochę przypominało to jęk rozkoszy. Adolf, choć raczej wyzbył się złudzeń, nie miał pewności, czy żona śni o nim, czy też o schabie w mleczku kokosowym, zachwalanym w „Femme Actuelle”.

Wtedy wpadł na pomysł.

- Hugonie, uważam, że powinienes... wrócić do Totalwynajmu jak najprędzej.

„Łajdak - pomyślał Hugo - dobrze się przygotował z zadanej lekcji”. Przez niezdrową ciekawość pozwolił jednak swojemu dyrektorowi generalnemu dalej plątać się w zeznaniach.

- Co się dzieje, Adolfie? Grozi nam plajta? Moja żonka nie stanęła na wysokości zadania?

Nicard był zbyt zdenerwowany, żeby wyczuć ironię w głosie Hugona.

- Bynajmniej, przeciwnie, raczej, przepraszam, to nie moja sprawa, ale wszyscy plotkują...

- Ona jest bardzo ładna, a tutaj są sami mężczyźni, na dodatek zatrudniła kulturystów do obsługi sprzętu i ludzie mówią po cichu... wiesz, co mam na myśli...

- Wyrażaj się jaśniej, Nicard.

Hugo znów mówił tonem oschłym, dyrektorsko-kostycznym.

- Wiem z pewnego źródła, że twoja żona miała przygodę z Mikołajem Flanvartem z działu handlowego.

Kwadrans później wróciła Ariana. Hugo czekał na nią w przedpokoju, w musztardowym burberry ściągniętym paskiem. Choć czuł się znieważony, z godnością oznajmił przez zaciśnięte zęby:

- Kolacja dla dzieci jest w piekarniku. Cordon-bleu z indyka. Uważaj, bo w środku zawsze są gorące. Ja wychodzę. Odkryłem już ten twój zakichany spiszek i wiem również, że przespałaś się z tym palantem Flanvartem, to byłoby na tyle. Przez grzeczność informuję, że zamierzam wystąpić o rozwód, z twojej wyłącznej winy. Życzę miłego wieczoru.

Mecenas Maurycy Cantuis

Komornik sądowy

Członek kierownictwa FSMKS-u

Dotyczy: eksperyment Marsiaców

Raport z oględzin: miesiąc wrzesień 2002 roku

Uwaga: dokument czasowo do użytku wewnętrznego

Uwagi ogólne

Jak opowiedzieć, co się wydarzyło w ciągu tego miesiąca, bez uczucia lekkiego zniechęcenia? Powiedzmy wprost, że z technicznego punktu widzenia doświadczenie nad zamianą płci w pełni się udało. Jak trzy czwarte kobiet Hugo Marsiac postanowił wystąpić o rozwód. Co się zaś tyczy innych aspektów eksperymentu, powodów do radości jest niewiele.

Z powodu nadgorliwości podlego Nicarda spiszek Ariany się nie udał i zręczny kontrspiszek, zawiązany jednocześnie przez Lizę Honfleur i przeze mnie, nie doprowadził do rozbrojenia małżeńskiej bomby, tykającej u Marsiaców.

Obecnie mój klient już wrócił na rue du Gai-Pinson. Kiedy przyszedł do mnie, oznajmiwszy wcześniej żonie, że występuje o rozwód, usiłowałem przemówić mu do rozsądku, używając argumentów ważnych z prawnego punktu widzenia: żądanie separacji po opuszczeniu ogniska domowego byłoby szaleństwem. Całe szczęście, że przekonałem go jako prawnik. Hugo gra o wysoką stawkę: chce uzyskać opiekę nad dziećmi, wysokie alimenty i dom.

Ze swojej strony jego żona bardzo źle zniosła tę wiadomość. Mówi, że „wpadła w pułapkę, którą ten łajdak już dawno na nią zastawił”. Oczywiście odrzuca nawet pomysł „wspólnej opieki nad dziećmi”. W najbliższej przyszłości ma zamiar - cytuję - „wszystkich zamordować, zaczynając od tego łajdaka, ale na rozwód nigdy się nie zgodzi”.

Sam przechodzę trudne chwile. Żegnajcie, sny o potędze! Nonszalancja i frywolność były tylko złudami, musiałem szybko wrócić do statusu skromnego członka kierownictwa



FSMKS-u. Niemniej walczę ze zniechęceniem, pamiętając o formule: „Doradztwo przede wszystkim”, tym pięknym hasłem naszego stowarzyszenia. Ku mojemu wielkiemu zmartwieniu muszę przejść na coaching nienawidzących się małżonków. *Sic transit...*

L R

## Październik

*W październiku chłop się poci.*

mądrość ludowa

Wbrew wszelkim oczekiwaniom remont szedł pełną parą i przy rue du Gai-Pinson dwanaście wyglądało jak na reklamie Manpower: mężczyźni w roboczych drelichach podawali jakieś kawałki rur innym mężczyznom w drelichach, a spod każdego kasku wyglądały szczere oczy i dyskretny uśmiech robotnika miesiąca, wybitnego fachowca, a zarazem skromnego człowieka.

Dlaczego stał się ten cud? Pewnego ranka Dilabault znalazł w skrzynce na listy pół tuzina niebieskich kopert z nadrukiem „doradca prawny Hugona Marsiaca”. Zaskoczony kierownik budowy zadzwonił do Ariany. Po dłuższym milczeniu młoda kobieta cichym, znużonym głosem powiedziała mu, żeby zapomniał, o czym była mowa „Pod Tłustą Indyczką”. Spowolniona, niezdecydowana, półprzytomna, co kilka słów powtarzała z patosem: „jak by to powiedzieć...” Dla spokoju ducha kierownika budowy... jak by to powiedzieć... żeby nie przypłacił tego życiem, lepiej byłoby, gdyby znów zajął się remontem... jak by to powiedzieć... z właściwą sobie energią, a nawet z jeszcze większym zapałem niż zazwyczaj. Jej mąż... jak by to powiedzieć... zmienił się, sytuacja jest coraz bardziej... jak by to powiedzieć... niebezpieczna.

Dilabault wywnioskował, że Marsiacowie doszli do stanu, który brać budowlana nazywa pękaniem. Można się domyślać, że chodzi o granice wytrzymałości nerwowej klienta. Niektórzy dochodzą do tego po dwóch tygodniach opóźnienia przy remoncie, inni, lepiej wytrenowani, wytrzymują wśród gruzów nawet dwa miesiące. Do tamtej pory Dilabault spotkał tylko jednego człowieka, którego pod względem cierpliwości można było porównać z Marsiacami: mocno starszego pana, dość schorowanego, który, o ile pamięta, zniósł bez słowa skargi dziewięćmiesięczne opóźnienie, zanim głupio zmarł w dniu, kiedy sędzia nakazał zablokować konta bankowe przedsiębiorcy. Jak na ironię Marsiacowie załamali się, gdy byli już bliscy pobicia rekordu. Tym gorzej dla nich, nie dostaną na pamiątkę ładnego medalu, który mogliby powiesić w przedsiionku.

Ani przez chwilę Dilabault nie potraktował poważnie groźby, że skończy karierę, odmawiając areszt; sędziowie też są prawie zwykłymi obywatelami i też muszą czasem przeprowadzić remont; podobnie jak fuszerki chirurgów plastycznych albo fachowców, którzy u klienta naprawiają elektryczny sprzęt gospodarstwa domowego, przestępstwa popełniane przez kierowników budowy długo jeszcze pozostaną nieukarane. Niemniej z biegiem miesięcy Dilabault przywiązał się do tego dziwnego małżeństwa i uznał, że pora na gest z jego strony. W ciągu trzech dni skrzyknął pana Pedro - hydraulika, pana Bouchikriana - malarza, któremu zawsze towarzyszyło dwóch milczących uczniów, i pana Nervo - elektryka. Wszyscy stawili się bez ociągania, żeby pomóc Gonçalvowi. Odkąd wróciła jego żona, zmęczona długimi tygodniami odsalania dorsza w zapadłym zakątku Estremadury, murarz był w świetnej formie: koniec z *fado desolação*, na budowie w Le Vésinet słychać było tylko radosne akordy samby.

Kontrast między karnawałowym nastrojem rzemieślników a napięciem państwa domu był tym bardziej przejmujący.

Czy warto opisywać cechy typowe dla skłóconego małżeństwa? Na pewno nie. Wszyscy znają te pogardliwe spojrzenia, usta, które tylko wypluwają przykre słowa, zasypianie w atmosferze wrogości w stylu „oberża «Pod Obrażoną Dupą»”, żalosne próby zastraszenia, drobiazgowo rozmowy o pieniądzach, małostkowe aluzje w obecności osób trzecich, czasem przetykane wymownym milczeniem - „Jestem na dnie, tak bardzo żałuję, kochanie, naprawdę bardzo” - które druga strona odbiera jednak jako dalszą porcję pogardy, złośliwości, podłości i tchórzostwa. Ariana i Hugo, chociaż byli bohaterscy, nie potrafili się przed tym ustrzec, bo, jak nieraz się okazało, każde skłócone małżeństwo, nawet sympatyczne, staje się okropnym dwumianem z dwiema niewiadomymi. Dodajmy do tego wyjątkowe zamieszanie spowodowane zamianą płci i już wiecie, dlaczego przy rue du Gai-Pinson nie słyszało się gruchających gołąbków.

Powody do radości były mizerne i nieliczne: Ariana znów spała po swojej stronie łóżka, co nie wymagało od niej żadnych wyczynów, skoro Hugo co wieczór schodził do pralni, gdzie dzielił się z Markizem materacykiem z leżaka. W wielkodusznym geście młoda kobieta zwróciła mężowi wielofunkcyjnego pilota o zasięgu pięćdziesięciu metrów, ale szybko tego pożałowała, bo telewizor stał w sypialni, a Hugo w podziemiu, ze złośliwą przyjemnością, zmieniał jej bez uprzedzenia kanały.

Z rozdziału podłostek zabawnych dla tego, do kogo nie są one kierowane, można dodać, że Ariana i Hugo rozmawiali ze sobą tylko za pośrednictwem Gudrun. Niestety, mimo kolosal-

nych postępów we francuskim, które młoda Szwedka zawdzięczała ciągłemu obcowaniu z Di-Dilabaultem, nie poznała ona jeszcze tego języka w stopniu pożądanym; wiadomości, takie jak: „Powiedz temu panu, żeby zechciał wynieść śmieci”, zamieniały się po drodze w „Ariano, porównanie niczego nie dowodzi, ale Hugo kazał mi powiedzieć, że wyglądasz jak kubel na śmieci”

Jedyne, w czym małżeństwo było zgodne, to kwestia dzieci. Podobnie jak wszyscy, którzy chcą się rozstać, postanowili zgodnie: „Nie ma mowy, żeby mieszać dzieci do naszych spraw, nigdy nie będziemy przy nich mówili o sobie źle”. Dwa tygodnie później posunęli się już do szyderczych uwag: „Wyglądasz jak Christian Karembou, pchełko, to twój ojciec cię uczesał?” albo „Co to jest, frolic? Nie, to słynne kulki mięsne twojej matki”. Wtrąćmy mimochodem następującą wskazówkę semantyczną: kiedy wyrażenia „twój ojciec”, „twoja matka” systematycznie zaczynają zastępować zwyczajowe „tata” i „mama”, małżeństwo przeżywa kryzys. Bankowo.

Hugo już wygrał jedną sprawę: dopóki rozwód nie zostanie oficjalnie ogłoszony, dopóty każde będzie żyło tak jak dotychczas, to znaczy życiem drugiej strony. Obaj adwokaci byli stanowczy: nie należy jeszcze bardziej komplikować sytuacji, którą już teraz sędzia od spraw rodzinnych mógłby ogarnąć jedynie po dużych dawkach optalidonu.

Ariana nadal jeździła co rano do CRH, bez radości, ale też i bez żalu. Niewątpliwie odkład Nicard na nią doniósł, ich stosunki były lekko napięte: za pierwszym razem, kiedy znalazł się na drodze Ariany, odruchowo rzuciła w niego marmurowym przyciskiem do papieru w kształcie logo Totalwynajmu. Ale widząc, jak wysięgnik dźwigu mija o włos łysinę czołową Nicarda, pożałowała swojego gestu - w końcu nie była złą kobietą - i zgodziła się wysłuchać jego wyjaśnień. Adolfowi było przykro, tak bardzo przykro! Myślał, że robi dobrze. Ariana chciała, żeby mąż wrócił na swoje dawne miejsce, prawda? Mimo wszystko musi przyznać, że rozbudzenie zazdrości to zręczne posunięcie! Pech chciał, że przygoda z Flanvartem, wymyślona przez Nicarda w chwili paniki podczas tej feralnej rozmowy telefonicznej, okazała się prawdą. Skonsternowana Ariana zrozumiała, że w kwestii subtelności psychologicznych jej prawa ręka jest nogą. Głupią jak but. Z lewej nogi. Nawet nie mogła mieć tego Nicardowi za złe; tak samo jak nie można mieć za złe kalece bez nóg, poruszającemu się na desce z rolkami, że hamuje ruch uliczny, bo zbyt wolno się przemieszcza. To oczywiste. Wystarczy delikatnie zatrzeć i wyprzedzić. Ariana zmyła więc głowę Nicardowi i sprawy wróciły prawie do normy. Firma prosperowała i młoda kobieta, zasłużenie, była z tego dumna. Każdemu, kto chciał jej

wysłuchać, mówiła, że gdyby mąż nie stał się taką koszmarną, typową samicą z Le Vésinet, obwieszoną perlami, ona nie musiałaby opuszczać Totalwynajmu przed czasem. Robiła to, żeby „ratować swoje małżeństwo”. Jak zrozumieliście, skoro Ariana tak mówiła, znaczyło to, że zaczęła się wycofywać z eksperymentu Marsiaców.

Ma się również rozumieć, że nie można było powiedzieć tego samego o jej małżonku. Godny i wściekły Hugo przestał się do niej odzywać, za to ostentacyjnie obnosił minę znieważonej madonny. Ulubionym klientkom opowiadał o swoich kłopotach małżeńskich, prezentując się, rzecz jasna, jako ten dobry. Prosił je o rady, których, oczywiście, nie słuchał. Ani przez chwilę nie dostrzegał - rzecz jasna - uprzejmego znużenia, z jakim słucha się zawsze zwierających się kobiet.

Było więc jak w *Wojnie państwa Rose* z jednym wyjątkiem: to mężczyzna, nie raz, nie dwa, miał ochotę zdjąć ze stopy laczek i trzasnąć nim żonę w głowę i to żona chętnie przejechałaby małżonka, siedząc za kierownicą wielkiego audi.

Nie różnili się niczym od zwykłych, rozpadających się małżeństw: chociaż przy rue du Gai-Pinson obelgi, groźby i tępe narzędzia nie były w użyciu, Ariana i Hugo jeszcze się kochali.

Nie chodzi tu o upiększanie czegokolwiek ani o zapowiedź happy endu. W rzeczywistości przyszli rozwodnicy nie przeżyli jeszcze swojej miłości do końca.

Uświadomiły to sobie bliskie im osoby. Po jedenastym września, kiedy grom spadł z jasnego nieba, Hugo zażądał rozwodu z winy Ariany, wszyscy przyjaciele zaszyli się każde w swoim kącie, z potwornym poczuciem winy. Pierwsza otrząsnęła się Liza, zwołując pospolite ruszenie „spiskujących głupców” u Momo w biurze.

Opisać, jakie Momo miał biuro? Nic trudnego, wyglądało jak dekoracja do sztuki z lat sześćdziesiątych, zatytułowanej *Komornik już tu nie przychodzi*. Skóra i drewno, zieleń i złoto, dywan i wykładzina, smutne i staroświeckie. Bardziej marakońskie niż marokańskie, niestety! Siedząc w fotelu w stylu Ludwika XIII, zalecanym przez FSMKS, Momo sprawiał wrażenie zagubionego, wyglądał jak pluszowy miś, zapomniany na siedzeniu samochodu.

Tamtego wieczoru, punktualnie o osiemnastej, spotkali się wszyscy - zaczynając od Nicarda, zdrajcy mimo woli, a na głupiej Gudrun kończąc, nie zapominając o Dilabaulcie, gotowym na wszystko, byle tylko powstrzymać powódź niebieskich listów, które, z uwagi na ilość, mogły spowodować, że dozorczyńni zaczną na niego krzywo patrzeć. Jak wiele par, które zbliżają się do siebie, kiedy inne pary się kłócą, Baignonowie trzymali się za ręce.

Ponownie dokonano wnikliwej analizy sytuacji. Ale, jak we wszystkich tragediach antycznych, ten dramat też można było przedstawić w kilku słowach: Marsiacy rozwodzili się, chociaż nadal się kochali. Świadczyły o tym niezliczone obserwacje. Momo sporządził listę:

1. Ariana znów się maluje podczas weekendów, mimo że nie wybiera się do biura.
2. Hugo ma zbyt wielką ochotę dać popalić żonie, żeby to było całkiem szczerze.
3. Oboje są dumni jak paw z sukcesów odniesionych w ich dawnej pracy przez drugą stronę. Dowód? W długich litaniach zarzutów, które wysuwają, ani razu nie pada „mój/moja były/a nic nie potrafi”.

Pozostało opracować strategię. Kiedy Nicard powiedział, że ma pomysł, antyczny chór zaśpiewał: „Cicho!” Lepiej polegać na dwumianach, które się uzupełniają jak ostrza rytualnych noży: Liza i Momo przygotowują włos do ścięcia, czym z kolei zajmą się Zofia i Piotr. Ublągano pozostałych spiskowców, żeby nic nie robili, żadnego przejawu inicjatywy, nawet najkrótszego telefonu podyktowanego przyjaźnią, żadnego „chcę ci tylko powiedzieć, że wiem, jak ci teraz ciężko, jestem myślą przy tobie”, żadnej litości, absolutnie niczego. Potem wszyscy, podbudowani, rozeszli się.

Hugo wyciągnął dłoń po swoje bokserki od Calvina Kleina. Ubrał się w półmroku i cicho wyszedł z pokoju, nie rzucając nawet okiem na Marię Delsol. Nic nie stracił i wiedział o tym. Nawet z brylantem oprawionym w platynę, kupionym kilka godzin wcześniej od firmy „F jak Frywolna”, biedaczka nie przedstawiała się korzystnie ze zmiętą twarzą, sztucznymi rzęsami przecinającymi przez środek górne powieki i obwisłym biustem zsuniętym na jeden bok.

Zegar na desce rozdzielczej agili wskazywał trzecią pięćdziesiąt osiem. Ze złośliwą satysfakcją Hugo stwierdził, że żona uznała go już za martwego. To o niej myślał, kiedy zapinając wisior na szyi Marii Delsol, zaczął mocno ugniatać jej potylicę. Handlowiec, mimo serca na temblaku, był na tyle apetyczny, że klientka, powalona odkryciem jego ewidentnego heteroseksualizmu, uległa mu. Poza tym była to zacna kobieta: ani przez chwilę nie miała złudzeń co do finału ich zbliżenia, ale oddała się Hugonowi w sposób naprawdę miły. Reakcja ujawniająca piękną filozofię życiową: Maria Delsol, która nigdy nie skąpiła innym czasu ani trudu, twierdziła, że każdy, w miarę swoich możliwości, powinien wspierać potrzebujących; nieważne, że dobre uczynki chętniej wyświadczała w łóżku niż w ciężarówce-jadłodajni dla ubogich.



W drodze powrotnej do domu Hugo nie posiadał się z radości. Upiekł dwie pieczenie na jednym ogniu: po pierwsze, zemścił się, a jego konkietka nie była z górnej półki, tak samo jak konkietka żony; po drugie, wyobrażał sobie Ariane, jak stoi w oknie, zerka wciąż na zegarek i wykręca sobie ręce z rozpaczy, przekonana, że została wdową, nie otrzymując wcześniej pocałunku przebaczenia.

Kiedy dotarł do domu, wszyscy już spali. W przedpokoju zachowywał się, jak mógł najgłośniejszy, szurał butami po terakocie i mocnym pchnięciem otworzył drzwi do garażu, ale spod drzwi sypialni nie wydostawało się światło.

Łajdaczka spała, całkowicie nieświadoma tego, że otarła się o katastrofę, z której wyszłaby na zawsze okaleczona psychicznie, co, trzeba przyznać, byłoby zasłużoną karą dla tej wstrętnej zdrajczyni.

Nie wiedział, że Ariana płakała bezgłośnie, z oczyma szeroko otwartymi, w ciemności.

- Już nie pamiętam, kto to powiedział, Churchill, Konfucjusz czy Noël Mamère\*, ale nie zapominaj, kochanie, że „to, co cię nie zabije, uczyni cię silniejszą”.

- To piękne, mamó. Przypomina „Szczęście to walka” - zdanie Hegla, które napisałaś mi nad łóżkiem, kiedy się poskarżyłam, że nie mam krzyża, jak inne dziewczynki z mojej klasy.

Liza Honfleur, chociaż urażona, nie zatrzymała się jednak w pół drogi, która mogła ją doprowadzić do celu. Wiedziała, co chce osiągnąć. Niewzruszona przemawiała dalej:

- Pomyśl, jakie masz szczęście! Spójrz, remont postępuje, niedługo będzie skończony i, wybaczyć, co powiem, funduje to twój mąż.

- Nie, mamó. Teraz ja płacę.

- Tak, ale jednocześnie bierzesz od kwietnia jego pensję. Myśl o przyszłości, kochanie. Na pewno ty dostaniesz dzieci i dom, w ośmiu przypadkach na dziesięć sędziowie przyznają dzieci matce.

- Mamó, co ty mówisz? Teraz ja jestem ojcem.

- Ależ skąd! Kiedy sędzia przekona się na własne oczy, że jesteś śliczna jak polny kwiat w tym drelichu khaki, zrozumie, że zachowałeś dość kobiecości, żeby sprostać wyzwaniu. Jak mówiłam, niedługo będziesz wolna! Nie ukrywam, że już najwyższy czas.

- Dlaczego tak mówisz?

- Bo monogamiczny związek trwający blisko dziesięć lat jest nie do wytrzymania, kochanie! To jakaś mania, żeby sypiać tylko ze swoim mężem, jeździć z nim na wakacje, jeść z

nim posiłki i spać z nim! Nikt już tak nie żyje. Obudź się! Ugrzęzłaś w małżeńskiej mazi, pora się z niej wyrwać!

- Jakim prawem tak mówisz o moim życiu? Byłam szczęśliwa z Hugonem, przedtem.

Zachwycona Liza utwierdziła się w przekonaniu, że wybrała właściwą metodę. Potrząsnęła głową.

- Gdybyś była szczęśliwa, za nic nie chciałabyś żyć tak jak twój mąż!

- Mamo, źle zrozumiałaś. Wykańczało mnie, że czuję się jak chomik, który obraca się razem ze swoim kółkiem, ale kochałam moją klatkę! Dozownik suchego pokarmu, pojemnik na wodę, ściółka, wszystko mi się podobało.

- Co się stało w takim razie?

- Wszystko było dobrze, dopóki mój mąż nie zwariował, przecież wiesz. Zaczął wracać nad ranem tylko po to, żeby mnie straszyc. Głowę daję, że sypia w samochodzie zaparkowanym na rogu ulicy, z budzikiem nastawionym na czwartą.

- Uważasz, że nie ma w tym wcale twojej winy?

- Mamo, zmuszasz mnie podstępnie do rachunku sumienia! Ale to szyte grubymi nićmi. Wiesz, że stosujesz metody matki przełożonej?...

Liza przerwała jej wściekła:

- Widzisz, jaka się stałaś, biedaczko. Jesteś teraz kimś w pół drogi między dyrektorem a pit bullem, kimś, kto stale próbuje ranić i gryźć! Przez swoją pychę stracisz męża, który nadal cię kocha, to oczywiste! Powinnaś kurczowo trzymać się takiego męża, bo drugiego faceta, który by z tobą wytrzymał, nie znajdziesz za pomocą tych kretyńskich dźwigów teleskopowych.

Liza Honfleur z wielką godnością chwyciła swoją torebkę, utkaną przez prawdziwych wojowników Masajów, i wyszła, trzaskając drzwiami.

Ariana nawet nie próbowała wybiec za nią: dobrze wiedziała, że nazajutrz się pogodzą i nawet nie okupią przeprosin łzami. Myślała tylko o jednym: „...stracisz męża, który nadal cię kocha, to oczywiste”. Dla kogo oczywiste? Czy zakochany mężczyzna chce ci odebrać twoje dzieci, twój dom, twoją pracę? Nie. Od rozpoczęcia eksperymentu Marsiaców Hugo stał się zbyt patetyczny, by docenić, że żyje z taką kobietą jak ona. Ariana miała sobie za złe, że wzruszyła się ckliwą uwagą matki, „...stracisz męża, który nadal cię kocha, to oczywiste”. To groteskowe, naprawdę groteskowe. Ale, dziwna rzecz, odkąd usłyszała te bzdurę, jakby kamień spadł jej z serca.

Momo krzyknął z najwyższym podziwem:

- Jakie to piękne! Biżuterię znam z licznych przejęć, ale nigdy nie widziałem tak czystych linii, kamieni tej klasy...

Hugo, zachwycony jego entuzjazmem, uśmiechnął się skromnie, wskazując Zofię jako tę, której należy się komplement. Po raz pierwszy Momo odwiedził Hugona w siedzibie firmy „F jak Frywolna”. Komornik wszędzie zajrzał, zdziwił się, że numery „Voici” z całego roku leżą ułożone na biurku Hugona, pochwalił starannie prowadzoną kartotekę klientek, ilustrowaną polaroidami, zupełnie jak katalog modelek, zachwycił się szkicami do przyszłej kolekcji o nazwie „Ulotności”, wymyślonej przez byłego szefa Totalwynajmu. Pod koniec wizyty ten ostatni westchnął:

- Już rozumiesz, Momo, dlaczego nie chcę rzucić tego wszystkiego i wrócić do hangaru zapchanego wycinarkami do trawników?

- Wycinarki też są interesujące. Wyobrażam sobie, że mogą się przydać ludziom, którzy mają i trawniki, i ułożone na nich płytki.

Hugo przerwał mu:

- Po co przyszedłeś, Momo?

Komornik spuścił wzrok i wyszeptał:

- Martwiłem się o ciebie. Sam wiem, jak ciężko przeżywa się rozwód.

Marsiac spojrzał na niego szczerze wzruszony. Rzadko się spotyka tak uczuciowych mężczyzn, w dodatku komorników. Zachwycony pomyślał, że będzie wreszcie mógł pogadać z facetem o tym, co czuje. Z Piotrusiem było to niemożliwe. Ostatnio, za każdym razem, kiedy wymawiał słowo „wrażliwość”, jego najlepszy przyjaciel odpowiadał: „Co masz na myśli? Owłosioną skórę głowy? Uważaj, żebyś nie wyłysiał z dnia na dzień”.

Znów westchnął.

- Co robić? Ariana nie pozostawia mi wyboru.

- Dlaczego tak mówisz, Hugonie? Z powodu spisku, który zawiązała za twoimi plecami?

- Gdyby tylko o to chodziło. Widzisz, to tak jak z tą przygodą z handlowcem z Totalwynajmu. Moim zdaniem czuła się zagubiona, bo w gruncie rzeczy wcale nie chciała mnie zdradzić. Ten cwaniak to wykorzystał. Jestem pewien, że zaraz potem ją splawił i ona czuje się z tego powodu poniżona. Mógłbym o tym zapomnieć, gdybym przy okazji nie przejrzał na oczy. Dużo myślałem. Starłem się, jak mogłem, zrozumieć, o co chodzi. Chcesz znać prawdę, Momo, naprawdę chcesz, żebym ci powiedział, jak jest?

Komornik chciał.

- To proste, Ariana nie może znieść, że jestem szczęśliwy. Dlatego przerwała doświadczenie Marsiaców. To modliszka.

Z miną tego, który drogą dedukcji przeniknął do zakamarków duszy Ariany, dodał, cedząc słowa:

- Uwolniony od krępujących mnie łańcuchów, zacząłem stawać się kimś, kto ją przeraża.

Komornik kiwnął głową.

- Rozumiem. To interesująca analiza. Coś podobnego można znaleźć w *Czego pragną mężczyźni*. Przeczytałem tam o samcach, które odbierają emancypację swoich partnerek jako zagrożenie. Tak musiało być również w przypadku Ariany. Widząc, że rozkwitasz, poczuła się zdradzona, potraktowała to jak pierwszy krok do opuszczenia małżeńskiego gniazda, które zbudowała...

Zofia, pochylona nad szkicownikiem, nie uroniła ani słowa; zakasłała, żeby zamaskować napad śmiechu. Momo mówił dalej z niezmaconym spokojem:

- Na usprawiedliwienie twojej żony trzeba powiedzieć, że obecnie nie jest w swoim stanie normalnym.

Siedząc na krawędzi biurka, z jedną nogą w powietrzu, Hugo z największym zainteresowaniem słuchał teorii komornika. Zdaniem coacha Ariana ma problem ze swoją seksualnością, ponieważ stała się mężczyzną. Siłą rzeczy musi odczuwać nieznaną jej dotąd potrzeby. Badania amerykańskie wykazały, że chłopcy myślą o seksie trzy razy na godzinę, a dziewczyny tylko trzy razy na dzień.

Na tym etapie wykładu, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pojawił się Piotruś. Wyjaśnił, że poczuł nagłą potrzebę pocałowania żony. Zofia z wrażenia wypuściła z dłoni ołówek HB. Piotr Baignon dał upust swojemu popędowi małżeńskiemu, całując przelotem żonę w czoło, i włączył się do rozmowy mężczyzn.

- To prawda z tymi danymi statystycznymi. Mnie, z moim wybujałym libido, odziedziczonym po ojcu, zdarza się to nawet do trzech razy w ciągu pół godziny.

Zofia znów zaczęła kaszleć.

- To prawda, Zofio, wcale się nie zgrywam, nic na to nie poradzę, to nie moja wina. Ze strony ojca wszyscy mamy takiego jak ręka dziecka i długo nie każemy się prosić. Chyba pod tym względem nie możesz się, kotku, na mnie skarżyć.

Piotruś nie zapomniał mrugnąć dyskretnie do Zofii, a ta powstrzymała się od powiedzenia, że co do dziecięcych rąk, to jej mąż, tak jak większość mężczyzn, ma członka całkiem normalnego, wielkości stopy oseska, to znaczy w stanie spoczynku, co zresztą wcale jej nie przeszkadza.

- Chcecie mi dać do zrozumienia, że już nie zaspokajam żony i dlatego ona zwariowała? Jesteście... potworami.

Piotruś zaczerpnął głęboko powietrza i krzyknął:

- Wcale nie! Tylko jak się miało przez lata, tak jak Ariana, kawał mężczyzny niezbyt... wyrafinowanego, lepszego w działaniu niż w filozofowaniu - o ile wiesz, o co mi chodzi - a potem ma się do czynienia z facetem, który wciąż chce tylko rozmawiać o swoim małżeństwie, to można przeżyć szok. Zofia przytaknęła z poważną miną.

- Spójrz na siebie, Hugonie. Wyglądasz rewelacyjnie, ale jesteś trochę podobny do aktora z brazylijskiego serialu. Nauczyłeś się wyrażać swoje myśli, mówić, co czujesz, ale już nie sprawiasz wrażenia prawdziwego faceta. Nie wyczuwa się twojej cielesności, twojego zapachu, twojej męskości. Od razu widać, że brakuje ci testosteronu.

Piotruś wbił nóż jeszcze głębiej.

- Przepraszam, że cię o to pytam, stary, ale od jak dawna nie zerznąłeś tak naprawdę Ariany?

Hugo wydał z siebie takie dźwięki jak mysz, która się złapała w pułapkę.

- To nie wasza sprawa! Nic nie powiem. Ale skoro nasze pożycie tak bardzo was interesuje... - wpadł w histerię, prawie krzyczał - możecie być spokojni, że od marca... wiele razy robiliśmy to, co powinniśmy. Oczywiście z powodu pracy i dzieci wieczorami jestem wykończony i nie myślę o tym tak często jak kiedyś, ale...

Najlepszy przyjaciel triumfalnie wymierzył w niego palec wskazujący.

- Widzisz! Jeszcze pół roku temu, przypomnij sobie, jedyne, co nas interesowało po tenisie, to który, jak, z kim, ile razy, gdzie...

Zozo otworzyła usta, żeby spytać, co znaczy „z kim”, ale przezornie wolała je szybko zamknąć.

- Ja, gdybym był na twoim miejscu, poszedłbym do mojej żony i przypomniał jej w najprostszy sposób, kto w naszym małżeństwie ma kutasa.

Momo, potwornie zażenowany, uznał, że pora zadać ostatni cios.

- Jeżeli chcesz nawiązać kontakt z Arianą, powiem ci tyle, że dziś o ósmej wieczorem będzie sama w barze Trianon w Le Vésinet.

Zbiorowe kopanie Hugona w jego męskość nie było posunięciem zbyt eleganckim, za to jedynym, które mogło dać wyniki. Wprawdzie udowodnienie giętkości psychicznej i umiejętności autoadaptacji w procesie dobrowolnego wcielania się w skórę kobiety jest powodem do dumy, ale jak człowiek urodził się z penisem, to powinien wiedzieć, kiedy ma przestać się wygłupiać. Słuchając swoich przyjaciół, Hugo Marsiac poczuł, że męskie hormony zaczynają buzować pod pasiastym podkoszulkiem od Paula Smitha.

W małym różowym samochodzie, śpiewając na cały głos *Staying Alive* Bee Geesów, czuł się znieważony, ale znów w czynnej służbie, i szykował już ripostę.

Odkąd Ariana zaczęła wracać wcześniej do domu, żeby wkupić się z powrotem w łaski dzieci, Markiz stał się dla niej zdecydowanie miłszy. Niedawno zdarzyło się coś niesłychanego: znów wskoczył na małżeńskie łóżko, co szalenie zmartwiło jego pana. Młoda kobieta obtaczała akurat w jajku i w bułce tartej trzy sznycle cielęce - poprzedniego dnia Hugo specjalnie podał carbonary o osiemnastej trzydzieści, żeby nic nie zostało dla żony - kiedy zadzwonił telefon. Liza kończyła swoje dzieło, wymagające podwójnych ostrzy.

- Już dzwonisz, mamó? Myślałam, że będziesz się na mnie gniewać co najmniej do rana.

- Chcę ci tylko powiedzieć, że zaraz znów będę u ciebie. Popilnuję dzieci, bo ty wychodzisz.

- Ja wychodzę?

- Musisz koniecznie być w barze hotelu „Trianon” o ósmej wieczorem, zrób się na bóstwo, to wszystko, co mam ci do powiedzenia.

- Co to za pomysł, mamó?

- Kochanie, nie ciągnij mnie za język, obiecałam, że będę milczeć. Znasz mnie, zadasz jeszcze dwa pytania i wszystko wygadam. Potem będę miała do ciebie o to żal i znów się pokłócimy. Wybierz się do „Trianon”, spotkasz tam kogoś, kogo bardzo dawno straciłaś z oczu, i bardzo się z tego ucieszysz.

Byłoby przesadą twierdzić, że Ariana wcale nie przeczuwała, co się święci. Wiedząc, jak sentymentalna jest jej matka i jak bardzo ci kretyni od spisku pragną odkupić swoje winy, w ciągu pół sekundy odgadła, kogo spotka w „Trianon”. Ciekawiło ją tylko, jak tamci zdołają przekonać Hugona do szytej grubymi nićmi „niespodzianki”; zważywszy na nastawienie swojej drugiej połowy, nie wyobrażała sobie, żeby Hugo przybył na spotkanie bez broni.



Jeszcze jedno ważne pytanie pozostawało bez odpowiedzi: dlaczego ona zgodziła się na spotkanie w hotelu ze znieważanym mężem? Przez grzeczność wobec tych, którzy uknuli ten plan - pomyślała w pierwszej chwili. Na pewno zrzucili się na rezerwację apartamentu, co najmniej czterysta euro, biedacy. Potem Ariana zmusiła się do szczerości wobec samej siebie i przyznała, że jest ciekawa, jak Hugo zareaguje, widząc ją w miejscu neutralnym. Wreszcie młoda kobieta uświadomiła sobie, że idiotyczne słowa wypowiedziane przez jej matkę - „...męża, który nadal cię kocha, to oczywiste” - miały wpływ na pośpiech, z jakim wskoczyła w najbezwstydniej seksowną sukienkę, jaką kiedykolwiek widziano na wynajemcy ciężkiego sprzętu.

Niewielki, jakby przycupnięty relikw z innej epoki, „Trianon” wyglądał jak miniatura luksusowego hotelu paryskiego. Obrotowe drzwi wejściowe w sekundę i jedną czwartą wykonywały pełen obrót, puszyste dywany miały wymiary dywaników modlitewnych, w recepcji było zaledwie dziesięć kluczy, przy barze z politurowanego drewna wiśniowego stały tylko trzy stołki, klienci - głównie wiarołomni rejenci i cwaniurki podające się za fryzjerki - przemykali pod ścianami, nawet personel wyglądał, jakby się skurczył w praniu.

Ariana, stając się z powrotem kobietą, którą była wcześniej, zjawiała się przed czasem. Bała się, że przez sukienkę z obcisłej lycry widać, jak mocno bije jej serce. Wreszcie zobaczy swojego mężczyznę, swojego pana i władcę, swojego kochanego męża Hugona! Pomyślała z dużym zadowoleniem, że wygląda na kurwę, jak tak siedzi sama przy stoliku. Zawahała się, co zamówić: szampana? Za wcześnie. Kieliszek chardonnay? Za bardzo w stylu Bridget Jones. Piwo, o którym marzyła? Też nie. Hugo, ostatnio upijający się tylko san pe, uznałby to za wulgarne. Zdecydowała się na krwawą Mary, dokładnie tak jak Mireille Darc w *Różowym telefonie*. Nadeszła pora, żeby pokazał się Pierre Mondy.

W holu rozległ się strzał. Obrotowe drzwi osiem razy obróciły się wokół osi. Stukot kowbojskich butów dotarł aż do baru. Głośny głos zażądał kluczy tak, jak Stallone domaga się interwencji GI w kretyńskich filmach o Wietnamie. Ariana z niezadowoleniem pomyślała, że grupa Teksaszczyków zajęła hotel i nie będzie nastroju, który, zgodnie z jej wyobrażeniem, miał być smutny i czuły, podniecający i śmiertelnie romantyczny.

Naraz dwie długie nogi pokryte dżinsem zasłoniły jej horyzont. Przed nią stał Hugo Marsiac, jej mąż, w kowbojskich butach, kraciastej koszuli rozpiętej aż do końca mostka, w czapce z daszkiem przekręconej tyłem do przodu. Zaciskał szczęki, na przedramionach wystąpiły mu nabrzmiące żyły, a wokół rozchodziła się potwornie ostra woń piżma, jakby

wydziałina kaszalota. Nawet nie zdążyła parsknąć śmiechem. Objął ją wpół, przerzucił przez ramię i przeskakując po cztery stopnie, zaniósł na górę do sypialni.

Do następnego ranka nie zamienili ani słowa. I nie zmrużyli oka. Na drugi dzień sytuacja nie uległa zmianie. Ale byłoby błędem myśleć, że pogodzili się na dobre.

Mecenas Maurycy Cantuis

Komornik sądowy

Członek kierownictwa FSMKS-u

Dotyczy: eksperyment Marsiaców

Raport z oględzin: miesiąc październik 2002 roku

Uwaga: dokument czasowo do użytku wewnętrznego

Uwagi ogólne

To dopiero poryw uczuć! Jeszcze jeden raport, który ma więcej wspólnego z kącikiem z serduszkim w piśmie dla kobiet niż z raportem z oględzin zasługującym na tę nazwę.

Tym razem nasza komórka interwencyjna wręcz przekroczyła założone cele. Hugo, dotknięty do żywego wątpliwościami co do jego męskości, dosłownie porwał swoją żonę. Od dwóch dni jest z nią zamknięty w pokoju hotelowym. W kolektywie nie ma jednomyślności w kwestii dalszych działań: ja uważam, że należy interweniować i uwolnić Arianę, ale ani Zofia, ani Liza nie zgadzają się ze mną. Ta bezwstydnica, która jest już babką, wygłasza każdemu, kto chce jej słuchać, że w każdej wielkiej miłości zawsze bardzo ważna jest dupa i najwyższy czas, żeby przywrócić jej należne prawa. Zofia, jak zwykle bardziej umiarkowana w opiniach, zauważyła, że przyjaciółka w żaden sposób nie daje do zrozumienia, iż potrzebuje pomocy, i być może miałyby za złe, gdyby to małżeńskie spotkanie twarzą w twarz skończyło się przedwcześnie. Cokolwiek myśli na ten temat nasz kolektyw, zamierzam udać się dziś wieczór do baru „Trianon”, żeby mieć czyste sumienie. Zupełnie nie rozumiem, co się dzieje.

Piotr Baignon jest rozradowany. Jak tylko mnie widzi, chce przyklepywać piątkę, wydzierając się na cały głos: „Ten Hugo to dopiero!”, co z jednej strony wydaje mi się sympatyczne, lecz z drugiej - nie na miejscu. Osobiście zawiadomiłem Adolfa Nicarda, że Ariana będzie nieobecna w pracy nie wiadomo jeszcze jak długo, bo „nie jest w stanie, ale nie ma to nic wspólnego ze stanem jej zdrowia, domyśla się pan, o co mi chodzi”; ten tuman Nicard nie zrozumiał jednak cienkiej aluzji i spytał, czy może w czymś pomóc.

Przykład Ariany i Hugona okazał się zgubny. Mały Hektor zaskoczył Dilabaulta baraszkującego z Gudrun w piwnicy przy rue du Gai-Pinson. Baignonowie wciąż się głaszczą po rękach przy ludziach.

Na wiadomość, że wybieram się wieczorem do hotelu, Liza Honfleur postanowiła mi towarzyszyć, żeby - jak mówi - poddać się działaniu tajemniczych fal, które być może pieczętują właśnie rozejm jej dzieci. Domyślam się tysiąca niedomówień, tylko co ma się za nimi skrywać? Sam nie wiem, co o tym sądzić.

## 11

### Listopad

*Choć listopad mgłą otuli, to od chłodu człek się skuli.*

mądrość ludowa

Przy rue du Gai-Pinson nadeszła pora wybierania klamek do drzwi. Niby nic, ale po trzynastu miesiącach remontu wywołuje to takie uczucie jak napisana w dzienniczku wiadomość, że po tysiącu trzystu godzinach korepetycji, piętnaście euro każda, uczeń przejdzie do następnej klasy. Robi to ogromne wrażenie. Radość zmienia się szybko w euforię, tak wielką, że aż klaszcze się w dłonie przed działem „Drzwi i okucia dekoracyjne” w Leroy Merlin. Niestety, nieufność i przesady zbyt często psują to pełne, zdawałoby się, szczęście, jakie nas ogarnia, gdy kończy się koszmar. Co będzie, jeżeli szczęście pryśnie, remont zacznie się od nowa i potrwa jeszcze dłużej?

Ariana walczyła z ogarniającym ją strachem, popychając wózek na zakupy w alejkach wielkiego sklepu z materiałami budowlanymi, który odwiedzała regularnie od ponad roku. Przychodząc tu, nie wątpiła, że będzie musiała zaryzykować. Nie ma mowy, żeby wyszła, niczego nie kupiwszy. Trudno, chociaż nie bardzo wie, jakie klamki pasują do drzwi otwierających się na lewą stronę, a jakie na prawą, jakie są wymiary kwadratów (siedem czy osiem milimetrów?), a jakiej wielkości powinny być szyldziki maskujące dziurkę od klucza, czy jaki jest numer klucza korbowego, przez który można przeciągnąć pieska rasy chihuahua. Czowała się silna i dzielna, nie bez powodu. Miała w kieszeni preferencyjną kartę rabatową, cudowną kartę upoważniającą do dwudziestu procent zniżki na całość zakupów dokonanych jednego dnia, niezależnie od tego, co kupi i kiedy - zniżka obejmuje również aktualne promocje

- chodzi tylko o to, żeby dobrze wybrać dzień, w którym zamierza się wydać najwięcej, bo promocje są raz na trzysta sześćdziesiąt pięć dni, a nie dwa razy. Ariana wiedziała o tym i szła powoli alejką, obliczając, czy wydatek na „klamki do drzwi” pokryje z zawartości koperty z napisem „karnisze”, którą powinna otworzyć dopiero za miesiąc. Koło działu „farby do wnętrz i na zewnątrz” przyspieszyła z lekkim sercem, to już miała za sobą na dobre, teraz była w fazie wykańczania, macie pojęcie? Raptem, widząc parę obejmującą się przy ekspozycji paneli, poczuła, że nie robi kroku dalej. Byli brzydzy, tłustawi, zwyczajni i zamierzali pokryć podłogi, ściany i sufity panelami, ale ona oddałaby swoją kartę, żeby tylko być na ich miejscu. Ona, ta zrozumiała, wyniosła Ariana. „Nie, Ariano, to wcale nie koniec remontu!” - zwróciła sama sobie uwagę. Prace remontowe są na ukończeniu, zgoda, ale jak od miesiąca wygląda jej życie prywatne? Lepiej nie mówić. „Po co kupować klamki do drzwi, skoro nie masz klucza do własnej przyszłości?” - zadała sobie pytanie, jakby wyjęte z wiersza, przechodząc przez bramkę „wyjście bez zakupów”.

Z pustym wózkiem i ciężkim sercem, odblokowała pilotem centralny zamek audi.

Hugon tryskał energią. Wszystko sprzedawał. Zofia nie wiedziała, co jeszcze mogłaby mu dać do sprzedania. Zimowa kolekcja sztucznej biżuterii rozeszła się w okamgnieniu, a prawdziwa biżuteria była prawie w całości u klientek, które regularnie co tydzień przedłużały wynajem, zakładając, że ich mężowie poddadzą się i przed Bożym Narodzeniem sięgną po złote i platynowe karty płatnicze.

Każdego ranka wspólnicy dziękowali Bogu za to, że założyli firmę w tej sielskiej gminie, położonej w zachodniej części wielkiego Paryża. Wprawdzie Le Vésinet, jak każde przedmieście, borykał się z trudnościami: niedostatek przystojnych trenerów golfa, zachłanność dealerów BMW, nadmiar dziecięcych wózków „Silver Cross” na placach zabaw, itepe, ale mimo kryzysu osiedle prywatnych pracodawców - wszak mówi się o osiedlach robotniczych - przywodziło na myśl kapsułę wydzieloną z otaczającego ją świata, wyposażoną we wszystko, co potrzebne do życia w luksusie, jakby zastygła w czasoprzestrzeni między cudownymi latami sześćdziesiątymi a pierwszym kryzysem naftowym. Tam mężowie nadal płacili kartami za spokój w domu, a ich małżonki oceniały szczęście domowe podług wielkości swoich ubieralni.

Od pewnego czasu zdawało się, że nic nie jest w stanie pohamować Hugona: nie miał żadnych wątpliwości, nie zastanawiał się, nie opracowywał żadnych wyrafinowanych strategii. Przeżył metamorfozę. Gdyby mógł, sprzedawałby platynowe łańcuchy do land-roverów. Podwykonawcy ciężko pracowali, żeby zaspokoić gargantuiczny apetyt handlowca. Dla

klientek kończył się czas „automatycznego wpadania w sidła”, Hugo naprawdę był przekonany, że cytryn pasuje nawet do jasnej karnacji, a dziewczyna nie może czuć się szczęśliwa, nie mając w szkatułce na biżuterię brylantowych kolczyków.

Od słynnej trzydniówki w barze „Trianon” zmienił się nie do poznania. Ale nie w innego mężczyznę, niestety. W inną kobietę.

Niepokoilo to Zofię. Egzaltacja Hugona była zbyt „dziewczynowa”, żeby mogła być nieudawana. Nic nie opowiedział współpracownicy o swoim małżeńskim epizodzie. Żadnych zwierzeń, w ogóle ani słowa. To Ariana zatelefonowała do przyjaciółki i rozmawiała z nią swoim dawnym głosem, nie tym roztargnionym i zimnym, którym mówiła, odkąd zaczęła pracować w Totalwynajmie, ale normalnym, niezbyt wyraźnym i zdyszonym.

- Zozo, to koszmar. Spędziłam trzy najlepsze dni mojego życia. Było jeszcze lepiej niż na Zielone Świątki w osiemdziesiątym siódmym z Hieronimem Richedonem. Pamiętasz, nazywałam go „anakonda”, chociaż miał ręce.

- Brawo, kochanie! Twoja matka się nie myliła, takie rozbudzanie od nowa zmysłów musi być cudowne. Dlaczego mówisz, że to koszmar?

- Hugo powiedział, że więcej mnie nie dotknie.

- Nie potrafiłaś go zaspokoić?

- Nie wygłupiaj się, Zozo. Pod koniec tych trzech dni myślałam, że już wszystko w porządku i między mną a Hugonem będzie jeszcze lepiej niż dawniej, ale kiedy się ubieraliśmy, on stanął przede mną nagi i powiedział: „Chciałem ci tylko udowodnić, mała, że nadal jestem mężczyzną. Przyjrzyj mi się dobrze, żebyś wiedziała, co tracisz, bo z tym już koniec”.

- Cholera.

Handel na dupę. Dobry, stary handel na dupę. Najstarszy sposób wywierania presji na męża, stosowany od tysiącleci przez pokolenia gospodyń domowych, doprowadzonych do ostateczności. Pomyśleć, że Hugo upadł tak nisko. Niby poczuł przypływ męskości, a w rzeczywistości te trzy dni cielesnych uciech podsunęły mu pomysł najwstrętniejszego szantażu seksualnego. Jego nieprawdopodobna energia i nowy zryw do pracy były podsycane chęcią zemsty.

Podczas małżeńskich niesnasek mężczyznom często wystarczy pogodzić się w łóżku. Po dobie zdrowej małżeńskiej gimnastyki w „Trianon” Ariana, jako poczciwy facet, przedwcześnie uznała, że wszystko już jest w porządku. Ale Hugo, który stał się kobietą, po prostu użył swoich wdzięków jako broni. Co za regres! Z upierdliwej, ale w gruncie rzeczy dobrej

dziewczyny przeistoczył się w obrażoną i zawziętą kobietę. Obsesyjnie chciał ukarać małżonkę. Czy zdradzając go i napuszczając wszystkich na niego, nie próbowała dokonać na nim aktu kastracji? Teraz niech ona pocierpi. W hotelowym pokoju Hugo dlatego tyle jej dał, żeby wiedziała, ile traci.

Pozornie między nimi wszystko wróciło do normy, ale groźba rozwodu dalej istniała. Hugo nie chciał wypowiedzieć się jasno na ten temat, powtarzając tajemniczo, z miną żony z sitcomu: „Jeszcze nie podjąłem decyzji”. Ariana, głosem łamiącym się ze zdenerwowania, wyznała przyjaciółce, że odkąd wrócili z „Trianon”, mąż co wieczór paraduje przed nią nago, podrzucając swoje gonady ze stosowną do sytuacji miną, a potem schodzi na dół, śmiejąc się sardonicznie, podczas gdy jego męskość co stopień opada i podnosi się dostojnie. Tortura dla zakochanej kobiety. Bo Ariana była zakochana, bardziej niż kiedykolwiek: wiadomo, że zwodnice mają wielkie powodzenie u mężczyzn, a męskiemu ego Ariany nawet podobało się, że mąż stawia opór.

Zofia, poruszona jej losem, radziła zachować cierpliwość. Dziewczyny, które już karały w ten sposób facetów, dobrze wiedzą, że z reguły pierwsze mają tego dość. Nie było powodu, żeby Hugo nie zaczął w końcu cierpieć z powodu ciosów, które sam sobie zadawał. Udając skruszoną i czekając, aż czas zrobi swoje, Ariana może wrócić do łask. Młoda kobieta obiecała, że wytrzyma, ale dni mijały, a mąż wydawał się coraz bardziej rozpromieniony, tryskający energią w pracy, w świetnym humorze przy dzieciach, elokwentny i zabawny, kiedy rozmawiał przez telefon z klientkami, wyluzowany przy robotnikach. Było to tym bardziej wredne, że kiedy zostawał sam z żoną, wbijał w nią wzrok, mrużąc oczy, jakby mówił: „A ty masz szlaban, idiotko”.

Przy mężu, zachowującym się wypisz, wymaluj jak żona, która postanowiła dać popalić swojemu mężowi, samopoczucie Ariany było z każdym dniem gorsze. Dlatego, kupując kłamki w Leroy Merlin, zachowała się jak przestraszony koń, który wylamuje się przed przeszkodą, bo nie wie, co go czeka potem.

Gdyby chociaż mogła liczyć na wsparcie i pocieszenie ze strony matki! Niestety, Zofia zwróciła jej delikatnie uwagę, że nie jest to akurat najlepszy pomysł.

Nadejdzie dzień, kiedy radiesteci i magowie pochylą się nad zagadką hotelu „Trianon” w Le Vésinet. Jakie tajemnicze fale tam docierają, jakie wibracje przenikają przez ściany, że każde ciało, zanurzone w tym, zdawałoby się, całkiem zwyczajnym pałacyku i hotelu w jednym, wydobywa się stamtąd, ociekając rozpustą? Kiedy Liza i Momo spotkali się w



tamtejszym barze, żeby opracować enty plan antyzamachowy swojego kolektywu, byli przekonani, że potrwa to ze dwie godziny. Tymczasem, podobnie jak Ariana i Hugo, wyszli przez obrotowe drzwi dopiero po dwóch dniach z okładem.

Spotkanie zaczęło się w sposób najzwyczajniejszy pod słońcem. Momo, trochę sztywnym tonem, opowiedział Lizie, że udało mu się zamienić w przelocie parę słów z jej zięciem. Hugo, bardzo podniecony, wyłożył mu swój plan: chce, żeby jego żona - cytat - „jęczała zapędzona w kozi róg, żeby błagała o litość”. Szatański pomysł, co?

Liza zbaraniała, jakby zobaczyła sklonowaną owieczkę. Ale opanowała się: nie przyszła do „Trianon” tylko po to, żeby się dowiedzieć, co słyhać u córki. Miała dla Momo propozycję. Chodzi o pracę. Ostatnio wiele widziała, wiele rozmyślała i wiele się nauczyła. Według niej współczesne małżeństwa znalazły się w impasie. To, co zdarzyło się Arianie i Hugonowi, nie jest błahostką: dzieci tych, którzy robili francuski maj sześćdziesiąt osiem, płaciły za ślepy optymizm rodziców. Nie, równość płci wcale nie została osiągnięta, nie, podział obowiązków wcale nie jest czymś oczywistym. Kobiety i mężczyźni wcale nie są wymienni i nie powinni być. Jako Matka Courage Liza czuła się winna, że nie potrafiła dobrze doradzić córce. Pragnąc odkupienia, wpadła na pomysł, żeby pomagać młodym, którzy, tak jak jej dzieci, czują się zagubieni i niezrozumiani.

- Momo, proponuję panu, żebyśmy założyli wspólnie firmę consultingową dla par przeżywających kryzys. Bardzo cenię pana jako człowieka i myślę, że ze swojej strony mam pewne doświadczenie, które w połączeniu z kobiecym spojrzeniem na życie mogłoby się przydać. Sądzę, że razem moglibyśmy zrobić kawał dobrej roboty.

Momo oniemiał. Ze łzami w oczach zamówił nowe koktajle.

Ani jedno, ani drugie nie pamiętało, co się stało między chwilą, w której dopili koktajle, a tą, kiedy zupełnie nadzy wylądowali na kapie z różowym obrzeżeniem w miniapartamencie „Józefina” na ostatnim piętrze hotelu. „Można pomyśleć, że zostaliśmy znarkotyzowani” - zwierzał się później Momo, łakomie odymając usta. Liza, ze swojej strony, usiłowała racjonalnie wytłumaczyć, dlaczego zaszumiała w niej krew.

„Biedny Momo, był tak zdeprimowany; eksperyment Marsiaców się nie udał, problem jego maghrebostwa nie został rozwiązany, na dodatek wstrząsnęła nim propozycja pracy, która wyszła ode mnie. Zrobiło mi się go żal”. Zawracanie głowy. Liza Honfleur nie była kobietą pokroju Marii Delsol. Słowo „miłosierdzie” nie istniało w jej słownictwie. Przespała się z komornikiem po prostu dlatego, że od dawna miała na to ochotę.

Na pewno pamiętacie, że na początku tych dwoje wcale za sobą nie przepadało. Gdyby kilka miesięcy wcześniej ktoś powiedział matce Ariany, że zakocha się w komorniku sądowym przypominającym z wyglądu cukinię, śmiałyby się tak, że w jej staniku potrzaskałyby fiszbiny z roślinnej kości słoniowej. Ale dużo wody upłynęło i Momo dał się poznać taki, jaki był: subtelny, wrażliwy, kulturalny i na dodatek inteligentny. Zresztą Liza nie wątpiła, że te cztery cnoty główne Mohameda al-Kantaui przyczyniły się bezpośrednio do tego, że on się w niej zakochał.

Ponadto, chociaż matka Ariany przespała się wcześniej z Afrykańczykiem ze wschodu, nie miała jeszcze do czynienia z kimś, kto pochodzi z północnej części tego pięknego kontynentu, a jak pamiętamy, była kobietą kochającą podróże i nowości. Liza nie lubiła się zwierzać, ale kiedy później Piotruś, niezbyt elegancko, rzucał jej pytające spojrzenia, odpowiedziała mu dowcipnie: „Pamięta pan, Piotrusiu, co powiedział Toulouse-Lautrec z wysokości swojego metra pięćdziesiąt? «Jak mi staje, to wyglądam jak czajnik». Otóż w «Trianon» odkryłam, że ubóstwiam herbatę miętową”. I tyle.

W przeciwieństwie do Ariany i Hugona gołąbeczki wcale nie przestały gruchać po wyjściu z hotelu „Trianon”. Od miesiąca Liza nie wypuszczała swojej zdobyczy z rąk i *vice versa*, ona i komornik stali się nierozłączni. Momo znów miał pełno pomysłów i pogwizdując piosenki Dalidy, biegał po mieście w poszukiwaniu nowych klientów. Wiadomo, jak to jest, zakochani izolują się od świata. Żaden obcy element nie docierał do tangerskiego Filemona ani do normandzkiej Baucis. Mieszana para, oszalała i oczadziała z miłości, wpadła w autyzm. Małżeński klinch Marsiaców obchodził ich tyle co zeszłoroczny śnieg.

Biedna Ariana. Wszystko ją przygnębiało. W ostatnich dniach czuła się dziwnie nie w formie, jakby jej kobieca powłoka nie chciała gościć mężczyzny, którym ona, Ariana, się stała. Brakowało tylko większego kłopotu w pracy, żeby biedaczka musiała się udać na konsultację do psychiatry.

Prawo Murphy'ego, według którego wszystko, co może się zepsuć, zepsuje się wcześniej czy później - zawsze się sprawdza, i tak też się stało. Któregoś ranka Nicard obudził Ariane o szóstej czterdzieści pięć, dzwoniąc na komórkę.

- Ariano, właśnie rozmawiałem z komisariatem w Bachelay. Jest tam jeden z naszych chłopaków. Pewna klientka twierdzi, że chciał ją zgwałcić, a on twierdzi, że było na odwrót.

Półprzytomna Ariana, walcząc z mdłościami, usiłowała zebrać myśli i ubranie z poprzedniego dnia, podczas gdy Markiz przeciągał się, nadstawiając swoje tłuste ciało. Ze

strychu dochodziły zduszone jęki. Ostatnio Dilabault przyjął za punkt honoru zjawiać się skoro świt na budowie, żeby dopieszczać gładź Szwedki. Starając się unikać porannego chuchu psa, Ariana pomyślała, że poza jej mężem w tym mieście wszystkim tylko seks w głowie.

Kiedy dotarła do komisariatu, zastała tam Nicarda w oplakanyim stanie. Według niego po tak gorszącym incydencie firma „Totalwynajem i Spółka” zostanie, w najlepszym razie, zamknięta za wyjątkowo wyrafinowane stręczycielstwo. Czy można temu zapobiec? Wkrótce w całym CRH będzie wiadomo, że znana firma wynajmująca ciężki sprzęt stała się przykrywką zbrodniców seksualnych, atakujących z wiertarką w jednym ręku, a penisem w drugim. Po pół roku botoks zupełnie przestał działać i Ariana mogła zmarszczyć czoło z „miną zatroskanego pracodawcy” numer siedem. Potem poprosiła o szczegółową relację ze zdarzenia.

Było to wstrząsająco proste. Opisany w katalogu jako „John Pitch, wzrost: metr osiemdziesiąt sześć, waga: siedemdziesiąt pięć kilogramów, wiek: trzydzieści sześć lat”, Jaś Pichon-Labasse, operator dźwigu, twierdzi, że Nadyna Rolchain, czterdzieści dwa lata, metr pięćdziesiąt pięć wzrostu, czyli klientka, zaproponowała mu tego samego wieczoru dodatkowy zarobek, przy użyciu innego narzędzia, którym dysponował i którym ona miała się zająć, jak potrafiła najlepiej. W trosce o swoją nietykalność cielesną i czystość moralną Jaś Pichon-Labasse grzecznie odmówił. Wtedy klientka wpadła w szał; drąc na operatorze dźwigu ubranie i potrząsając głową, rzeźbiła: „Jesteś zwykłą dziwką, to mi się należy, to mi się należy”. Wobec stanowczej odmowy kłamczucha bez zwłoki wezwała policję i odwróciła kota ogonem, twierdząc, że padła ofiarą szaleńca, który próbował płaskim kluczem ściągnąć jej majtki.

Ariany nie rozśmieszyła nawet wyszukana elegancja, z jaką Adolf opowiedział jej tę scenę. Za to zażądała natychmiastowego widzenia z Pichon-Labasse'em. Na widok pocziwej facjaty body-buildera z niskim czołem szefowa Totalwynajmu odniosła wrażenie, że mówi on prawdę. W zdarzeniu nie było niczego absurdalnego. Czy ona też nie miała ochoty rzucić się jak dzikuska na swojego męża? Dlaczego Nadyna Rolchain nie mogła paść ofiarą nagłego przypływu hormonów, który jest smutną konsekwencją zrównania płci? Co?

Komisarz, stary znajomy Nicarda, wyjątkowo zezwolił Arianie na rozmowę z poszkodowaną. Przez dziesięć minut rozmawiały w pewnym oddaleniu od zebranych. Ariana z miejsca zaatakowała. O ile drelich roboczy Johna, wiek: trzydzieści sześć lat, był porwany w strzępy w okolicy rozporaka, o tyle ubrania „ofiary” były nienaruszone, na pewno kłamała, nawet policja kiedyś do tego dojdzie. Nadyna Rolchain pękła i rozsłochała się. „Ciii” - powiedziała szefowa Totalwynajmu, przytulając ją do siebie. Przez jakiś czas szeptały.

„Rozumiem, przeżywam teraz to samo” - mówiła łagodnie Ariana. Pod koniec siostry w nieszczęściu objęły się i strona zgłaszająca przestępstwo wycofała oskarżenie.

Całkowity sukces nie uspokoił jednak Nicarda. Po powrocie do biura wybuchł:

- Widzi pani, do czego prowadzi ta cholerna równość płci? Kobiety zaczęły się rzucać na mężczyzn! Dokąd zmierza ludzkość?

- Jest to tylko sprawiedliwe odwrócenie ról, Adolfie.

- Ten numer nie przejdzie, moja droga! Pomieszanie płci to lipa! Poza tym nie można zdobywać mężczyzn siłą, tak się nie da. Od niepamiętnych czasów uwodziły nas kobiety miłe, łagodne i troskliwe. Na przykład moja małżonka, zawsze dbająca o najmniejszy szczegół - wątróbka cieleńca niezbyt wysmażona co poniedziałek, moje inicjały wyszyte na poduszce, którą kładę na siedzeniu kosiarki, obrany jak banan czopek czekający na stoliku nocnym. To się podoba mężczyznom. I będzie podobało, rozumie pani?

Ariana spojrzała na niego zaskoczona. Wiedziała, że Antonina Nicard, cholera jakich mało, terroryzowała swojego męża. Czy to możliwe, żeby Adolf nigdy sobie tego nie uzmysłowił?

- Jest pan żonaty od ponad czterdziestu lat...

- W marcu przyszłego roku miną czterdzieści dwa lata.

- Mógłby pan zaimponować każdemu z nas. Pańska żona musi być wyjątkową kobietą. Na czym polega jej sekret?

Adolf obracał obrączkę na palcu i zastanawiał się dłuższą chwilę, patrząc w sufit.

- Jej zdaniem czuję się potrzebny. Ona mnie potrzebuje i nie wstydzi się do tego przyznać - powiedział ze łzami w oczach.

Ariana gwizdnęła. Brawa dla tej pani. „Antonina Nicard powinna być wzorem dla wszystkich kobiet” - pomyślała. To jej nasunęło pewien pomysł. Nie będzie czekać, aż Hugo sam do niej wróci, tylko go zdobędzie od nowa, w dawnym stylu, à la Antonina Nicard. Ona też potrzebuje swojego męża i też nie będzie się wstydziła mu tego powiedzieć. Po prostu przez kilka miesięcy nie przyszło jej to na myśl.

- Johnie, dopiero wróciłam z pracy. Jestem skonana, sam sobie zrób coś do jedzenia.

- Jakbym zdjął koszulę, to zaprosiłabyś mnie do restauracji, co, Cindy?

Słyszając, jak mała Luiza Marsiac bawi się lalkami, nietrudno było zrozumieć, że czuje się zagrożona. Uparła się, żeby nadać inne imiona Barbie i Kenowi, które dostała od Lizy na szóste urodziny.

Babcia zaproponowała José i Bové\*, ale dziewczynka szybko wybrała imiona głównej pary bohaterów serialu *Namiętność, duma i rozkosz*. Dziwna rzecz, lalce z długimi włosami przypadło w udziale imię John, a miniaturze wytatuowanego typu słodkie imię Cindy. Hugo zobaczył, jak córka chwyta Barbie i uderza nią Kena.

\* José Bové - francuski anarchosyndykalista, przeciwnik globalizacji. Jego popularność doprowadziła do zjawiska zwanego „josebovémania”.

- Nie najlepiej im się układa. Co się dzieje?

- Biją się.

- Dlaczego się pokłócili?

- Już nie są zakochani dlatego, bo tata Cindy wścieka się dlatego, bo jego żona John nie chce oddać samochodu.

Ojcu ścisnęło się serce.

- Luizoz, nie mówi się „dlatego bo”, tylko „dlatego że”. Może oni są jeszcze zakochani i przestaną się kłócić.

- Chyba nie - westchnęła dziewczynka.

Wtulony w kanapę Hektor posłał jej spojrzenie, które świadczyło, że też tak uważa. Po raz pierwszy paskudna mrówka, która była jego siostrą, miała rację. Ta para kretynów, Cindy i John, zmierzała prosto do rozwodu. Jak się ma osiem lat, nie wierzy się już w to, co wygadują dorośli.

Chłopiec oglądał wiadomości piłkarskie na Eurosporcie. Hugo zdziwił się:

- Od kiedy interesujesz się piłą nożną?

- Mama opowiedziała mi o Mundialu dziewięćdziesiąt osiem, byłeś wtedy u fryzjera.

Chłopiec kpił, ale wcale nie było mu do śmiechu.

- Hektorze, jak możesz? Dlaczego mówisz do mnie takim tonem?

Dziecko spuściło głowę, żeby ukryć lekko drżący podbródek.

- Nie mówię do ciebie żadnym tonem. Tato, ty nienawidzisz mamy i dlatego chcesz rozwodu?

Zaskoczony Hugo miał wrażenie, że mały mówi o kimś innym. Rozwód był logicznym argumentem w walce, którą toczył z żoną. W ustach syna słowo to brzmiało rozdzierająco, nieprzyzwoicie. Zwłaszcza w połączeniu z „nienawidzisz mamy”. Przecież jedno nie ma nic wspólnego z drugim. Ludzie, którzy się nienawidzą, mogą się nie rozwodzić, a pary, które

nadal się kochają, rozstają się, to wcale nie jest takie proste. Między nim a Arianą nie chodziło o brak uczucia - w gruncie rzeczy żona wciąż wydawała mu się równie pociągająca/podniecająca/zabawna/seksowna/upierdliwa - był to raczej problem terytorialny. Zresztą, zawsze toczą się wojny o terytoria. Tylko jak to wytłumaczyć dziecku?

- Nie wiem, co ci odpowiedzieć, Hektorze. Chyba sam się w tym gubię.

- Tato, byłoby ci smutno bez mamy?

- Tak, kurczaczku.

Dwudziesta druga trzydziści. Markiz rzucił się do drzwi, jedna połowa psa zjeżyła się, a druga merdała radośnie. Choć upłynęło osiem miesięcy, odkąd jego państwo zaczęli się zamieniać rolami, nadal nie wiedział, kogo woli. Ariana weszła do salonu błada i zapłakana. Zaniepokojony Hugo podbiegł do niej.

- Co się stało z samochodem?

- Nie martw się, audi jest całe - powiedziała wolno, poważna i wzruszona jak Céline Dion, kiedy zapewniała na Stade de France, że „René czuje się dobrze”. - Życie jest straszne, kochanie.

„Kochanie”, przez tyle miesięcy zwracała się do męża wyłącznie po imieniu, na dodatek nieprzyjemnym tonem, a tu nagle powiedziała „kochanie”! Spryciula upodabniała się do Antoniny w szybkim tempie.

- Chciałam ci ostatni raz powiedzieć, że mimo całego zła, które sobie nawzajem wyrządziliśmy, kocham cię. Wchodząc do domu, zobaczyłam cię przez okno i serce zaczęło mi walić pod kurtką tak jak kiedyś. Ostatnio siliłam się na godność i dumę, ale tak bardzo cię potrzebuję, kochanie! Wiedz, że przez dłuższy czas nie będę ci się naprzykrzać.

Hugo zastanawiał się podejrzliwie, co ona znów kombinuje.

- Wróciłam tak późno, bo miałam spotkanie z radcą prawnym Totalwynajmu. Hugonie, jutrzejszą noc mogę już spędzić w więzieniu.

Nawet nie kłamała. Zła wiadomość spadła na nią cztery godziny wcześniej, kiedy kończyła sporządzać „listę postanowień mających na celu odzyskanie miłości Hugona Marsiaca”. Była przy literze „S” jak „samochód”: „pytać go regularnie o zalety i wady różnych opcji, udawać, że nie wiem, jak posługiwać się podnośnikiem, klaskać w dłonie, dodając: jakie ty masz silne przedramiona, kochanie!”, kiedy Nicard wpadł bez tchu do jej gabinetu, nie pukając nawet trzy razy, jak miał w zwyczaju w nagłych wypadkach.

- To straszne, absolutna katastrofa, Jaś Pichon-Labasse jest przeciwko nam.



- Słucham?

- Przystąpił do kontrataku. Złożył skargę na Nadynę Rolchain o molestowanie seksualne, a nas oskarża o narażanie na krzywdy moralne.

- Narażanie na krzywdy moralne? Istnieje coś takiego?

- Tak. Odkąd trzydziestego pierwszego kwietnia dwa tysiące pierwszego roku wprowadzono prawo przeciw molestowaniu. Jest napisane czarno na białym: „Osoba fizyczna lub prawna, która celowo albo przypadkowo stawia jednostkę w sytuacji zagrażającej jej nietykalności psychicznej bądź seksualnej, będzie pociągnięta do odpowiedzialności karnej”. Wystawianie przez cały dzień mężczyzn z gołymi torsami pod nos nowoczesnych kobiet stawia ich w sytuacji zagrożenia - twierdzi John Pitch, wzrost: metr osiemdziesiąt pięć, waga: siedemdziesiąt pięć kilo, wiek: trzydzieści sześć lat.

- Skurwysyn!

- Też tak uważam. Moim zdaniem Pichon-Labasse ma doradcę, który wyczuł, że można nieźle zarobić, domagając się odszkodowania.

Ariana przypomniała sobie szyderczą minę Flanvarta, kiedy go zobaczyła w południe przy automacie do kawy. Zebrało jej się na mdłości. Aczkolwiek groźba więzienia była, jej zdaniem, cudownym pretekstem, żeby wzbudzić współczucie męża.

Hugo śmiał się: łapał się za brzuch, odchyłał do tyłu, zginał w pół. Wybuchy radosnego śmiechu to rozbrzmiewały, to cichły, to oplatały nogi niskiego stolika, to miękko odbijały się od ścian pomalowanych farbą Giorgia Armaniego w odcieniu „quasi-bieli”. Ariana natychmiast poczuła się uspokojona. Mąż w domu ma tę zaletę, że od razu sprowadza wszystko do właściwych wymiarów: po ośmiu miesiącach pracy w dużej firmie nie miała wystarczającego doświadczenia, żeby dostrzec groteskowość tej sytuacji. Młoda kobieta wpadła w schemat zawodowej hysterii w stylu amerykańskim, gdzie wszyscy podejrzewają się nawzajem o najgorsze, przekonani, że „nawet paranoicy mają wrogów”. Ze swojej strony Hugo, zrelaksowany po wielu miesiącach pracy w smali businessie, ani przez chwilę nie potraktował groźby poważnie. Nie, jego żona nie zgnije w więzieniu tylko dlatego, że wpadła na absolutnie genialny pomysł powiększenia wachlarza usług firmy specjalizującej się w wynajmie maszyn budowlanych o dołączenie do oferty chętnych operatorów dźwigów.

Zanosilo się jednak na batalię prawną. Zachwycona Ariana zrozumiała, że mąż chwycił przynętę. Wtulona w fotel, z podwiniętymi nogami, z których wcześniej zrzuciła obuwie, miłutka, malutka i nieśmiała, poprosiła go o pomoc. Powiedziała mu, co zresztą było prawdą, że

ostatnio nie czuje się dobrze, może to początek depresji; czy w imię ich dawnej miłości może liczyć na niego, „powiedz, kochany, jedyny, jesteś dla mnie całym światem, chociaż utraciłam cię wyłącznie z własnej winy, niech będą przeklęte kobiety, które zbyt późno rozumieją, jakie to szczęście oddychać tym samym tlenem, co tak wspaniała istota”. Rozczulony Hugo poczuł, że jej pragnie. Ale tylko ją poprawił: „Powinnaś raczej powiedzieć «tym samym azotem», bo w powietrzu jest znacznie mniej tlenu niż azotu”, i obiecał, że zrobi wszystko co w jego mocy, ale nie w imię dawnej miłości ani w imię czegokolwiek innego. Ot tak, po prostu.

Poszli spać, każde do siebie.

Nazajutrz Ariana nie zeszła na śniadanie. Przechylając się przez poręcz schodów, krzyknęła, że nie czuje się dobrze, i znów poszła się położyć. Dwadzieścia minut później, kiedy Hugo wrócił po odwiezieniu dzieci do szkoły i do przedszkola, zobaczył audi.

Zaintrygowany zajrzał do sypialni. Pokój był pogrążony w mroku, ale jego żona nie spała. Siedziała na łóżku, plecami do drzwi, i nie odwracając się w jego stronę, powiedziała głuchym, rwącym się głosem:

- To ty, Hugonie? Nie zapalaj światła, lepiej, żebyś mnie nie widział. Pamiętasz, że kupuje się je po dwa? Został mi jeden, po ostatnim razie... wiesz, chodziło wtedy o Luizę... zobaczyłam, że nie jest przeterminowany. Czułam się naprawdę źle dzisiaj rano i zrobiłam ten test, na wszelki wypadek, trochę tak, jak się wypija resztkę syropu na kaszel, prosto z butelki, żeby się nie zmarnował. Nawet nie spojrzałam na zegarek, przecież wiedziałam, że nic nie wyjdzie, ale dziesięć minut później wróciłam do łazienki i zobaczyłam. Niebieską kreskę w kwadracie po prawej. To znaczy, że wtedy w „Trianon” nie zabezpieczyłeś się nawet w najmniejszym stopniu, czego można się jednak spodziewać po uczciwej kobiecie. Myślę, że już wiesz, co się stało, i masz oczy rozszerzone z przerażenia, chociaż tego nie widzę. Będziemy mieli dzidziusia, kochanie. Ciii, nic nie mów, jeszcze nie teraz. Oczywiście będzie tak, jak . zechcesz, masz miesiąc na podjęcie decyzji, ale gdybyś, tak jak ja, nie uznał tego za złą wiadomość, wiedz jedno: dwa razy nie dałeś mi wrócić do mojego kobiecego życia, więc to ty będziesz nacinany przy porodzie.

Mecenas Maurycy Cantuis

Komornik sądowy

Członek kierownictwa FSMKS-u

Dotyczy: eksperyment Marsiaców

Raport z oględzin: miesiąc listopad 2002 roku

Uwaga: dokument czasowo do użytku wewnętrznego

Uwagi ogólne

Niestety, inne zajęcia nie pozwoliły mi na spotkanie z małżeństwem Marsiaców po piętnastym bieżącego miesiąca. Tym samym raport zostanie przedstawiony w terminie późniejszym.

## 12

### Grudzień

*Jak grudzień w śniegu przychodzi, to przyszły rok obrodzi.*

mądrość ludowa

Koniec remontu? Parapetówka? Jakaś rocznica? Wcześniejsza Gwiazdka? Próba generalna przed Bożym Narodzeniem? Na zaproszeniach było napisane: „Święto wszystkiego i niczego”. Ale dzień dwudziesty drugi grudnia nasuwa skojarzenia.

Gudrun, której zlecono udekorowanie domu, zaczerpnęła pełnymi garściami ze skandynawskiej tradycji bożonarodzeniowej: dom przy rue du Gai-Pinson dwanaście tonął w powodzi sosnowych szyszek, pyzatyh aniołków, czerwonych i zielonych kokard, Świętych Mikołajów z filcu, świec ze skrzącymi się napisami: „Radość” i „Pokój”. Markiza, cały obwieszony bombkami, w czapce z pomponem na łebku, chodził zygzakami po kuchni; Luiza, kiedy go zobaczyła, spytała zaniepokojona opiekunkę, czy przypadkiem bożonarodzeniowe ciasto polano nie ożyło i nie ucieka przed deserem.

Gudrun zażądała nawet od Dilabaulta, żeby przebrał się za renifera. Robiąc „dobrą minę do złej gry”, zgodził się i witał gości przy wejściu głośnym rykiem, od którego drżało jego poroże, ozdobione gdzieś z łotymi dzwoneczkami. Około dziewiętnastej Luiza i Hektor, podekscytowani do ostatecznych granic, zaczęli kręcić się po domu jak bączki; znacznie wcześniej rzucili pod jakiś mebel swoje „eleganckie” buty i „grzeczne” ubranka, które powykręcały się na nich na wszystkie strony.

Jeżeli chodzi o bufet, catering był nie byle jaki, bo z hotelu „Trianon” w Le Vésinet. Stali bywalcy tego przybytku nie zdziwili się więc na widok tac w kształcie serc, uginających się

pod ciastem francuskim z imbirem, ciastem piaskowym z różą i minipolanami o obscenicznym - jakżeby inaczej - kształcie.

Liza i Momo, którzy mieli przyjść o wiele wcześniej i pomóc w przygotowaniach, zjawili się o dwudziestej trzydzięci, a więc pięć minut przed innymi gośćmi. Od pewnego czasu wyglądali jak dwugłowy centaur: dwa ciała splecione rękami i nogami; kiedy jedno się drapało, drugie zaczynał swędzić policzek; kiedy jedno mówiło coś zabawnego, drugie było pewne, że to ono doprowadziło ludzi do śmiechu. Tego rodzaju fuzja stałaby się w końcu potwornie irytująca, ale życie jest tak dobrze urządzone, że nie trwa ona nigdy dłużej niż trzy miesiące. Liza i Momo mieli na liczniku dopiero jeden miesiąc i uważali, że ssanie partnerowi ucha przy ludziach jest czymś rozkosznym.

Zofia i Piotr Baignonowie promienieli. Po check-upie wykonanym w czwartym kwartale dziennikarz zobaczył, jak oddała się widmo raka mózgu. Skłaniał się więc ku zwykłym cystom na potylicy. „Na razie się nie powiększają, aczkolwiek należy mieć na nie oko” - stwierdził onkolog, który znał swojego klienta na pamięć i wiedział, że pożywka dla jego hipochondrii będzie dlań najpiękniejszym prezentem bożonarodzeniowym. Zofia myślała już tylko o pakowaniu walizek. Na Boże Narodzenie miała zabrać rodzinę do mauretańskiego pałacu. Dzięki sukcesowi, jaki odniosła nowa kolekcja biżuterii, mogła po raz pierwszy w życiu skorzystać z oferty zamieszczonej na stronach „Słońce zimą” w „Elle Déco”. Radość Zofii była tak wzruszająca jak radość dzieci wybierających się na wycieczkę z całą klasą. Na wypadek gdyby miała spotkać na wakacjach kogoś z wyższych sfer, wybrała się do Erèsa, gdzie nabyła dwa kostiumy kąpielowe, wykrojone laserem, nie pytając nawet o cenę. Dopiero w samochodzie spojrzała jeszcze raz na wydruk płatności dokonanej niebieską kartą. O mało nie zemdlą, prawie tydzień noclegów ze śniadaniem i kolacją w czterogwiazdkowym hotelu za dwieście gramów lycry, kto by pomyślał? Jakoś się otrząsnęła, musiała zacząć oswajać się z myślą, że płacenie potrójnej ceny jest obowiązkiem obywatelskim tych, którzy dużo zarabiają.

Goście schodzili się. Matki koleżanek i kolegów małych Marsiaców, ciekawe jak sroki domu ich rodziców: na pewno spodziewały się, że gabinet Hugona będzie wyłożony różowym jedwabiem, a buduar Ariany antracytową flanelą. Wraz z matkami przybyli ich mężowie w tweedowych marynarkach i w sztruksowych spodniach, wszyscy tacy sami: nikt nie jest bardziej podobny do ojca koleżanki lub kolegi dziecka niż drugi taki ojciec.

Klientki od stóp do głów w biżuterii firmy „F jak Frywolna”. Nie stawiała się tylko Maria Delsol, która wybrała się z małżonkiem na Karaiby, gdzie wielki koncern farmaceutyczny zorganizował seminarium „Implanty przyszłością nowoczesnej protetyki”.

Pracownicy Totalwynajmu, poza Flanvartem, który z niejasnych powodów opuścił firmę. Antonina Nicard, w łososiowym kostiumie i odpowiednio dobranych sztucznych perłach, przypominała typ dojrzałej kobiety opisany w powieściach Mary Higgins Clark. Trzymając mocno pod rękę swojego Adolfa, rzucała dookoła krytyczne spojrzenia, z komentarzem: „Oryginalne, ale ładne”. Inni zachwycali się proporcjami wnętrza, pięknym wykończeniem, wyrafinowaną prostotą surowców. Renifer, uważając się za adresata komplementów, potrząsał tylko skromnie porożem, szepcząc: „Cierpliwością i pracą...”.

Brakowało jednak jeszcze kogoś. Zirytowany Hugo spojrział na zegarek.

- Gdzie ona się podziewa? Specjalnie wyrwałem się wcześniej z pracy, a jej wciąż nie ma.

Zofia uspokoiła go.

- To moja wina. Poprosiłam ją o odebranie twojego zamówienia, żeby nie pojawiła się zbyt wcześnie.

- Nie powinna tyle pracować. Po to wróciłem, cholera, do Totalwynajmu, żeby mogła wypocząć.

- Ona świetnie się czuje, Hugonie. Zresztą już jest.

Ariana weszła: ach, och, mój Boże, wcale się tego nie spodziewałam, kto wpadł na ten genialny pomysł, to ty, kochanie, byłam tego pewna, dzieci, jak wy ślicznie wyglądacie, Lulu, jesteś podobna do księżniczki, albo lepiej, do zwyciężczyni konkursu elegancji, w którym biorą udział tylko najpiękniejsze księżniczki na świecie, jak pomyślę, że prawie nie mam makijażu, nie chciałabym przynieść wstydu mojej córce, gdybym wiedziała, a to pani Nicard, o ile się nie mylę, co za miła niespodzianka, wreszcie mogę się spotkać z legendą, o, Maria Szarlota, jak się cieszę, udało ci się wyrwać z niesporów, ach, mama, co za genialny pomysł z tą torebką w kształcie komornika sądowego, Zofio, to cię nie inspiruje do zaprojektowania kolekcji akcesoriów, chyba nie, bo widzę, że jesteś zbyt zajęta nalewaniem ponczu mężowi, biedak ma łokieć tenisisty, Gudrun, dokonałaś cudów, zacny pan Dilabault wygląda jak najprawdziwszy rogacz, jakie to szczęście zostać zaproszonym do siebie do domu, jaka ze mnie idiotka, że się nie domyśliłam, ubrałabym się ładniej.

Oczywiście była przedtem u fryzjera. Oczywiście miała na sobie śliczną, przylegającą do ciała sukienkę z jednym rękawem, a niżej długie nogi w przepięknych sandałkach. Oczywiście w agili musnęła policzki różem. Ale, jak zwykle, wszyscy udawali, że dla Ariany to niespodzianka.

Hugo zrobił jednak niespodziankę swojej żonie. Kiedy Ariana wręczyła Zofii obwiązany wstążką pakuneczek, ta oddała go, mówiąc: „Chyba to ekstrazamówienie jest dla ciebie”.

Ariana podniosła oczy na męża. Odkąd znikła groźba procesu, Hugo i Nicard, zupełnie jakby to był rok czterdziesty, znów szykowali się do wojny, planując rozgromienie konkurencji przez poszerzenie oferty wynajmu o ubrane w szorty operatorki dźwigów, które spełniłyby oczekiwania samców niemajsterkowiczów. Hugo przerwał rozmowę z Nicardem i podszedł do Ariany. Tego wieczoru, podobnie jak każdego już od miesiąca, ubrany był jak mężczyzna, to znaczy nie najlepiej. Zbyt długie włosy, początek brzuszka, który po trzech tygodniach nietrenowania mięśni tułowiowo-pośladkowych znów zaczął być widoczny, skarpetki do pół łydki - te drobne niedociągnięcia bardzo się spodobały jego żonie. Z poczciwym uśmiechem Hugo powiedział Arianie, żeby rozpakowała prezent.

Był to człowieczek ze złota, z ruchomymi kończynami i głową, w rodzaju tych, które mieszkanki Le Vésinet zawieszają jako wisiorek na szyi, dając do zrozumienia, że wielorództwo jest dla nich szczęściem. Człowieczek miał na sobie roboczy drelich i mrużył oko. Po obu stronach głowy wisiały dwie kitki ozdobione wstążkami. W załączonym do wisiorka liściku można było przeczytać: „Frywolna dziewczynka? Nonszalancki chłopczyk? Tak czy owak, chciałbym, żeby ono miało na imię Dezydery/a”.

Hugo, zachwycony zdumieniem, jakie wywołał swoją niespodzianką, śmiał się, potrząsając ramionami. Ariana Marsiac, na oczach męża, zalała się łzami jak najprawdziwsza kobieta, którą z powrotem się stała.



# Epilog

Dziewiętnastego sierpnia 2003 roku o szesnastej czterdzieści siedem posłaniec z Interflory przekroczył próg oddziału położniczego szpitala imienia Focha w Suresnes, departament Hauts-de-Seine, niosąc wielki bukiet w pastelowych barwach. Na kopercie przypiętej szpilką do celofanu było napisane: „Róża i Juliusz Marsiacowie, pokój 506”. Gdyby dostawca był nie-dyskretny, przeczytałby włożony do koperty faks z nagłówkiem: „«Złota Gazela», Tarudant, Maroko”, tej oto treści:

*Moi kochani!*

*Tak mi smutno, że nie zdążyłam na tę chwilę, kiedy pojawiliście się na scenie, ale w równym stopniu cieszę się, że macie się dobrze!*

*Kiedy Wasz tata do nas zadzwonił, Maurycy i ja akurat zamierzaliśmy osiąść beztro-skich wielbłądów, którym też się spodobał dzień spędzony po maghrebowsku z nader życzliwymi Beduinami, i wracać powoli do hotelu. Okazało się, że przyszlście na świat z dwutygodniowym wyprzedzeniem! Mam wielkie poczucie winy, że nie udało mi się znaleźć żadnego samolotu, wylatującego stąd wcześniej niż jutro wieczorem! Wasz prawie dziadek - on nie lubi, jak go tak nazywam, ale co z tego, skoro to takie zabawne - pociesza mnie; rzeczywiście, nikt nie przewi-dział, że pokażecie Wasze śliczne buzie tak wcześnie, całkowicie wierzę Waszej mamie, która mówiła mi, że jesteście wyjątkowo piękni, a poza tym, po tak pełnym wrażeń początku roku, za-służyliśmy na kilka dni wakacji.*

*Później, moi kochani, babcia Wam opowie o tych dziwnych miesiącach, które poprzedziły Wasze narodziny.*

*Opowiem Wam, jaką minę miał Wasz tata, kiedy na początku stycznia dowiedział się, że jest Was dwoje, i jak Wasza mama dostała nerwowego ataku śmiechu, który trwał tak długo, że aż się baliśmy, czy to Wam nie zaszkodzi in utero.*

*Opowiem Wam, że wczoraj w ich głosach było o wiele więcej szczęścia niż lęku.*

*Opowiem Wam, że Zofia, Twoja matka chrzestna, Różo, trzymała mamę za rękę, kiedy się rodziście.*

*Opowiem Wam, że przez ten czas Piotr, Twój ojciec chrzestny, Juliuszu, grał w pokera z tatą w pokoju pielęgniarok.*

*Powiem Wam, że mnie Wasze narodziny zawsze będą się kojarzyć z bardzo szczęśliwym okresem w moim życiu, czemu na pewno nie zaprzeczy Maurycy, który w tej chwili udaje, że masuje mi ramiona, aby lepiej podejrzeć, co do Was piszę.*

*Powiem Wam, że zostaliście aniołami stróżami Cantuis & Honfleur Coaching, ponieważ bez Was „eksperyment Marsiaców”, być może, nie skończyłby się tak dobrze i nie moglibyśmy, Wasz prawie dziadek i ja, założyć naszej spółki consultingowej.*

*Powiem Wam, jako małej dziewczynce i małemu chłopcu, wreszcie to, co powtarzamy dużym dziewczynkom i dużym chłopcom, którzy coraz liczniej obdarzają nas swoim zaufaniem: kobiety i mężczyźni wcale nie są do siebie podobni i niewątpliwie tak jest lepiej. Czasem przestają się rozumieć i są wtedy nieszczęśliwi: próbują różnych metod, czytają różne poradniki, przeprowadzają różne doświadczenia, żeby nadal się kochać mimo dzielących ich różnic. Robią, co mogą, zadają sobie dużo trudu, ale czasem nie zauważają najważniejszego: ludzi trzeba kochać za to, że są inni, a nie mimo to. Jest takie znane zdanie: „Pielegnuj to, co ci się zarzuca, bo to jesteś ty”. Ja zaś mam ochotę Wam powiedzieć, żebyście pielegnowali to, co, być może, zarzucicie kiedyś Waszym partnerom.*

*Wasza kochająca babcia*

*Liza*

